

KANADYJSKIE SAFARI



KANADYJSKIE SAFARI Zbigniewa Adamskiego

ONTARYJSKIE SAFARI

I wydanie w 2000r nakładem autora i rodziny
Ontario w języku Indian Irokezów oznacza „piękną wodę”. Jest rajem dla myśliwych i wędkarzy, jakby uosobieniem piękna, gdzie wszystkie namiętności przyrodnicze, traperskie, wędkarskie, łowieckie i fotograficzne tysiącokrotnie lepiej i ciekawiej można przeżyć.

NAD RZEKĄ ŚW. WAWRZYŃCA

I wydanie w 2002 r. nakładem autora.
Zestaw osobliwych przygód, polowań ze sztucerem i aparatem fotograficznym, obrazów kanadyjskiej tundry, jezior skutych lodem i miejsc, gdzie człowiek nie zagląda przez długie lata, spotkań z Indianami.

TECZOWE LASY KANADY

I wydanie w 2005 r. nakładem autora i ZO PZŁ w Jeleniej Górze.
Na granicy zlewni wód do Morza Arktycznego w prowincji Nipissing, leży wielkie jezioro i graniczy ze wspaniałą puszcza Algonquinów. Na jej obrzeżach istnieje obwód łowiecki nr 47, gdzie polują członkowie Polskiego Klubu Myśliwskiego z Toronto, Kanadyjczycy, Anglicy, Francuzi i oczywiście Indianie. O tych polowaniach mówi ta książka.

ZBIGNIEW ADAMSKI Nad rzeką Św. Wawrzyńca

ZBIGNIEW ADAMSKI



Nad rzeką Św. Wawrzyńca

NAD RZEKĄ ŚW. WAWRZYŃCA

Zbigniew Adamski
KSIĄŻKI PRZYGODOWO – ŁOWIECKIE

Rospudą do Puszczy Augustowskiej - 1980r	Muzeum Karkonoskie
Moje spotkania z przyrodą - 1984r	Muzeum Karkonoskie
Skarbiec św. Huberta w Karkonoszach i na Pogórze - 1997r	SK Wrocław
Ze strzelbą i wędką - 1998r	Zarząd Okręgowy PZŁ w Jeleniej Górze
Ontaryjskie safari - 2000r	Spółka Komputerowa RKA w Inowrocławiu
Nad rzeką św. Wawrzyńca - 2002r	Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Lowy z kamerą - 2003r	Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
W królestwie Diany - 2004r	Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Z wędrówek po puszczach – 2004r	Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Tęczowe lasy Kanady - 2005r	Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Skarbiec św. Huberta w zachodniej Krainie Sudetów - 2006r	Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Na tropach książek (katalog) - 2006r	Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Stowarzyszenia myśliwskie w grodzie nad Bobrem - 2007r	Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
Lowy z wędką - 2008r	Z.O. PZŁ w Jeleniej Górze
W ogrodzie Ducha Gór Rzepióra - 2008r	AD REM w Jeleniej Górze
Nad Bobrem Odrą i Notecią - 2009r	TOTEM w Inowrocławiu
Skarbiec Sudeckiej Puszczy - 2010r	AD REM w Jeleniej Górze
Kolo Łowieckie „Darz Bór” w Jeleniej Górze - 2010r	TOTEM w Inowrocławiu
Kolo Łowieckie „KNIEJA” Jeleniej Górze - 2010r	TOTEM w Inowrocławiu
Dziennik „Foto-Klubu Celwiskoza – 2010r	TOTEM w Inowrocławiu

W PRZYGOTOWANIU

Sudecka Baśń

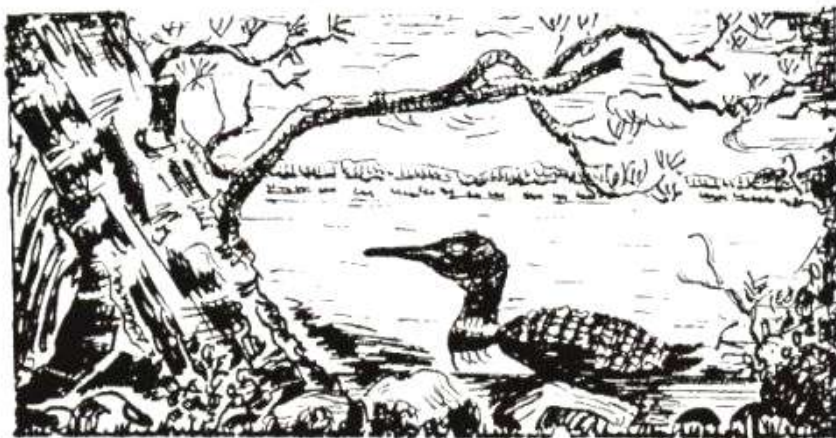
Kolo Łowieckie „Jarząbek” znad Zalewu Mietkowskiego

Moim wnukom
Magdzie, Darii,
Michałowi, Agnieszce, Pawłowi, Natalce i Adasiowi
-poświęcam

ZBIGNIEW ADAMSKI

**NAD RZEKĄ
ŚW. WAWRZYŃCA**

**INDIAŃSKA KLĄTWA
W KANADYJSKIEJ PUSZCZY
NA TURYSTYCZNYM SZLAKU**



**Jelenia Góra - 2010 rok
Printed in Poland**

Polski Związek Łowiecki
Zarząd Okręgowy w Jeleniej Górze

Konsultant: Kazimierz Koncewicz

Redaktor: Andrzej Grzelak

Zdjęcia i rysunki ze zbiorów autora.

Układ graficzny: Dariusz Adamski

Zdjęcia opracował: Krzysztof Malczuk

Elektroniczna korekta okładki i książki:
Zofia Wąsik

WYDANIE CZWARTE
(ELEKTRONICZNE)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Opracowanie to nie może być w żaden sposób reprodukowane, ani w częściach, ani w całości, przy użyciu jakichkolwiek metod, czy też nośników, bez pisemnej zgody autora.

Copyright 2003 by Zbigniew Adamski

This publication parts thereof, may not be reproduced in any form, by any method, for any purpose.

Jelenia Góra – 2010 rok
Printed in Poland



CZEŚĆ PIERWSZA
Indiańska klątwa



1. POD KLONOWYM LIŚCIEM

Państwo spod znaku klonowego liścia powstało zaledwie półtora wieku temu. Szybko dzięki pracowitości swoich mieszkańców i obfitości surowców mineralnych dołączyło do czołówki najbogatszych krajów.

Kanada zajmuje powierzchnię prawie dziesięciu milionów kilometrów kwadratowych. 2,5 miliona to nieużytki, lasy stanowią blisko 4 miliony km²: Jezior jest więcej niż w jakimkolwiek innym państwie. Występuje tu jedna trzecia wszystkich słodkich wód na kuli ziemskiej.

Południowe granice Kanady osiągają szerokość geograficzną Rzymu, podczas gdy północne wiecznych lodów. Pomimo swego ogromu jest słabo zaludniona. Zamieszkuje to państwo niecałe trzydzieści milionów obywateli. Połowa żyje w 150-kilometrowym pasie, ciągnącym się wzdłuż granicy pomiędzy Kanadą a Stanami Zjednoczonymi. Reszta mieszka wśród lasów, prerii, gór, skał, jezior i bagien, na terenach często nie nadających się do osiedlania.

Ponad trzy czwarte kraju jest prawie bezludne ze względu na trudne warunki klimatyczne i geologiczne, nie licząc kilkunaśtu małych osad i rezerwatów Indian. Pozwoliło to w prowincji Ontario, która jest większa trzykrotnie od Polski, na zachowanie prawie w nienaruszonej postaci „tajgi kanadyjskiej”, wraz z jej mieszkańcami, lasów pełnych niedźwiedzi, łosi, wilków, kojotów i setek innych gatunków flory i fauny.

W puszczech pozostali też Indianie, niechętnie szukający kontaktów z białymi, często mieszkający na niedostępnych wyspach i w głębi lasów. Ich dawne obyczaje niestety znikają tak

szybko jak topnieje śnieg w promieniach wiosennego słońca. Wraz z nimi odchodzi pierwotna kultura i obyczaje leśnych Indian, takich jak: Menangawy, nauczyciela z rezerwatu Bronka Marchuta, Orlego Szpona z Kawagama, wodza plemienia Se'ha, ojca Mariusza, czarnookiej Indianki Inhake i wielu innych ludzi, którzy swe życie poświęcili traperstwu i włóczędze, dla fantazji i wielkich przestrzeni.

Minęły prawie cztery wieki od momentu, kiedy Cartier wyszedł na nadmorską skałę w Perc na Półwyspie Gazpezyjskim i ustawił 10-metrowy krzyż, uznając tę część Nowego Świata za własność królów francuskich.

Dziś wiemy, ze starych zapisków i pożółkłych kronik wydobytych z mnisich schowków, dzienników pokładowych rybackich i pirackich korwet, że wcześniej byli tu mnisi buddyjscy, Wikingowie, Normanowie, Baskowie i nawet w roku 1481 kupcy angielscy, utrzymujący ten fakt w tajemnicy przed portugalskimi i francuskimi rybakami. Prawie przez siedemdziesiąt lat udało się im zataić wiadomości o bogatych łowiskach ryb na Labradorze.

Legenda mówi, że pierwszymi przybyszami, którzy wylądowali na tych ziemiach w X wieku, byli norwescy Wikingowie. W Nowej Funlandii założyli nawet osadę o nazwie Vinland, jednak szybko przepędzili ich stąd Indianie. Europejczycy wrócili tu dopiero w XIV wieku, głównie by zaopatrywać się w drewno i ryby.

Dziś traci sens spór o to, kto był pierwszy. Na pewno Indianie są najdawniejszymi mieszkańcami Kanady, ich wielowiekowe doświadczenie sprawiło, że często do dziś pozostają nieufni w stosunku do „błędnych twarzy”. Tajemniczy, trochę wstydliwi, trzymają się z dala od przybyszów. Chętnie jednak korzystają z dobrodziejstw techniki i cywilizacji: samochodów, skuterów śnieżnych, broni myśliwskiej, sprzętu turystycznego i domowego.

W czasie moich wędrówek po obrzeżach jezior i rzek, polowań w puszczy, napotykałem Indian – Algonquinów i Huro-

nów, którzy pobierali bez skrupułów opłaty za parkowanie samochodów, bazowanie łódek i rozbijanie namiotów na ich ziemi. Sprzedawali przy tym pamiątki: totemy, pióropusze, tomahawki, skórki, zwierzątka z tworzyw produkcji chińskiej i bardzo cenione przez bogatych amerykańców obrazy z surowymi północnymi pejzażami.

Kiedy jednak lądowaliśmy na ich wyspach, starali się być niewidoczni. Chociaż jeszcze żar nie wygasł w ogniskach i jeszcze parował blaszany czajnik z pachnącymi ziołami, a w puszkach po konserwach była niedojedzona zupa z pemikanu, obozowiska było puste. Śledziło nas jednak wiele par oczu i ich obecność czuliśmy na sobie zawsze.

O fotografowaniu Indian nie było mowy, chyba, że na imprezach folklorystycznych, ale trudno się temu dziwić. W bogatej Kanadzie, w Killaloe nad jeziorem Złotym, nie tylko pod koniec XX wieku Indianie wystawiali w kolejce po zapomogę, chleb, konserwy i inne produkty żywnościowe, gdyż nie radzili sobie w życiu. Wielu z nich nie chciało, czy też nie umiało zarabiać na jedzenie, ubranie i wychowanie dzieci.

Kanadyjczycy umizgują się do nich, budują im domy, za darmo uczą, leczą chorych, nie pobierają podatku VAT od towarów przez nich kupowanych, pracę przydziela im się w pierwszej kolejności. Stali się obywatelami pierwszej kategorii, a mimo to odnosi się wrażenie, że się wstydzą i unikają jakichkolwiek kontaktów z turystami i przybyszami z zewnątrz.

Po przyjeździe do tego kraju odnosiłem wrażenie, że na temat Indian przeciętny Kanadyjczyk niechętnie mówi, albo niewiele wie, albo też nie chce wiedzieć. Istnieje jakieś zakłęte, wstydlive tabu wokół ich rezerwatów.

Trudno o dobry i ciekawy folder na ten temat, poza pocztówkami, najczęściej z Gór Skalistych i Kolumbii Brytyjskiej. Te z Ontario i Quebecu są drukowane na szarym papierze, a fotografie nie pochodzą od artystów fotografików.

O Indianach i ich bogatej kulturze można się więcej dowiedzieć w pobliskich Stanach, a nawet w Polsce, niż w Kanadzie, choć ostatnio w tamtejszych biurach turystycznych zaczyna się pojawiać więcej informacji i czarno-białych, najczęściej obrazków o życiu kanadyjskich Indian, ale typu komiksowego.

Odnosi się wrażenie, że na tym wielkim terytorium połączyło się wiele narodów w jeden. Przez ostatnie lata przybyło tu tysiące imigrantów, często z bardzo egzotycznych regionów - Karaibów, Indonezji i Bliskiego Wschodu. Do Chińczyków dołączyli Wietnamczycy, coraz więcej jest tu bogatych Japończyków, którzy aktywizują gospodarkę kraju.

Powiększa się grupa latynoska z Ameryki Środkowej, przeważnie uciekinierów z Chile i Argentyny. Ciągły wzrost emigrantów, spycha zainteresowanie Indianami na dalszy plan, czemu kolejne rządy tego kraju starają się zapobiegać.

#

Swoje istnienie zawdzięcza Kanada przede wszystkim kolonistom - angielskim i francuskim kupcom, pracowitym chłopom, księżom, ich determinacji i poświęceniu dla dobra tego kraju, w tym ochrony przyrody. Ta zaś w ostatnich latach przynosi niezłe dochody.

Turyści, żądni spokoju i ciszy, czystego powietrza oraz widoków pierwotnych puszczy, znajdują się za miedzą, u bogatych sąsiadów.

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia Organizacja Narodów Zjednoczonych, na podstawie materiałów zebranych w 160 krajach świata, dotyczących długości życia mieszkańców, poziomu nauki i dobrobytu materialnego, uznała Kanadę za najlepsze państwo na świecie.

2. NAD WIELKĄ RZEKĄ

Kiedy w roku 1534 znany żeglarz francuski Jacques Cartier wpłynął w szerokie ujście Wielkiej Wody do Oceanu Atlantyckiego, uznał, że jest jej pierwszym europejskim odkrywcą. Patronem tego dnia był święty Wawrzyniec i jego imieniem nazwano tę wspaniałą rzekę, płynącą poprzez dzikie puszcze Ameryki Północnej, a przez Indian zwaną Hochelagą.

Pięć wielkich jezior i olbrzymia, majestatyczna rzeka czerpią swe wody z samego serca kontynentu.

Na temat tego gdzie się zaczyna ta Wielka Rzeka dyskusje trwają do dziś. Wielu określa jej długość na 1300 kilometrów, geografowie twierdzą, że ma 3800 kilometrów i jej początku dostrzegają się w stanie Minnesota w USA. Płynie poprzez jeziora: Górne, Michigan, Huron, Erie i Ontario. Zanim jednak jej wody wleją się do Oceanu Atlantyckiego muszą pokonać najwspanialsze „Grzmiące Wodospady Świata” na Niagarze.

Całą nizinę tej rzeki można nazwać „Kolebką Kanady”. Tędy prowadził starodawny szlak kolonistów, misjonarzy, trapezów i handlarzy futer.

Wzdłuż jej brzegów, w obrębie pięciu jezior, na obszarze większym niż kilka państw europejskich razem wziętych, nastąpił duży napływ ludności.

Najczęściej osadnicy docierali naturalnymi drogami – z północy na południe i ze wschodu na zachód.

Jeszcze dziś, jadąc wzdłuż rzeki do wodospadów Niagary, można dojrzeć ślady ówczesnego osadnictwa: typowe farmy, kamienne budowle, stare drewniane forty, posągi i tablice pamiątkowe związane z początkami państwa. Upamiętniają one wydarzenia historyczne. Nie tylko są przypomnieniem przeszłości Kanady, ale też kluczem do jej przyszłości. O tym zaświadcniają nowoczesne, wielkie metropolie, leżące na nizinie rzeki: Montreal, Toronto i stolica państwa Ottawa. Tu również ze względu na obfitość zasobów naturalnych znajduje się większość kanadyjskiego przemysłu. Zbudowano nowoczesne autostrady.

Łagodne pagórki, mieniające się tęczami wodospadów krajobrazy Niagary, ciemne ściany skalne oraz nieprzebyte połączenie lasów i bagien, mają w sobie coś wspaniałego. Lecąc samolotem nad rozległymi obszarami dorzecza tej rzeki przeżywa się wielkie wzruszenie „odkrywcy”. Jak okiem sięgnąć na całym horyzoncie, lśnią w promieniach słońca tysiące jezior i widoczne są zielone dywany lasów. Ogrom przestrzeni jest tak duży, że każdemu dostarcza wzruszeń i emocji.

#

Nowym kolonistom nie było łatwo. Surowa przyroda, niezbyt przyjaźni Indianie, często głód i wyczerpanie z zimna towarzyszyły im przez wiele lat.

Pierwsze osady Europejczyków pojawiły się wraz z przybyciem na te tereny Samuela de Champlaina, którego później nazywano „Ojcem Kanady”. Podjął on wyprawę w górę rzeki Św. Wawrzyńca i założył przyczółek Nowej Francji. Tam rozpoczęła się 200-letnia obecność Francuzów na kontynencie północnoamerykańskim.

Marzeniem mocodawców znakomitego żeglarsza było to, aby dotarł on do brzegów Morza Chińskiego, ale to się nigdy nie miało spełnić. Za to z portów nadrzecznych do ojczyznej Francji zaczęto wysyłać coraz więcej skór bobrów, łosi, wydr i niedźwiedzi.

Champlain zakładał także osady obok indiańskich wiosek, takich jak Standacona, nad urwistym brzegiem rzeki Św. Wawrzyńca. Gwałtownie ona się tam zwęża. Miejsce to Indianie nazywali „kebek”. Stąd wzięła się przyszła nazwa miasta - Quebec.

Pierwsi odkrywcy prowadzili wyprawy w górę rzeki. Aby żyć w zgodzie z Indianami potrzebowali dla nich noży, toporów, igieł, ozdób dla kobiet oraz „wody ognistej”.

Kontakty Indian z podróżnikami przносиły ich z epoki kamiennej do epoki żelaza i brązu. Byli po prostu zachwyceni! Prymitywne gliniane garnki, brzozone kubki, igły z ości, kamienne topory czy sztywne skóry były zastępowane przez brąz, żelazo, wełniane derki i ubrania. A kiedy ich łuki zastąpiły dalekosiężne strzelby, świat nad nimi z radości zawirował. Tym bardziej, że pomagała im w tym obfitość „wody ognistej”.

Legenda mówi, że jedna z ekspedycji ukradła dwóch małych chłopców indiańskich, synów wodza plemienia i przedstawiła ich królowi Francji jako dowód rzeczowy na istnienie nowego, nieznanego kontynentu.

Obaj młodzi czerwonoskórzy spędzili parę miesięcy w Paryżu, by z następną ekspedycją powrócić do swojej wioski. Opowiadali potem swoim ziomkom, jak to w Europie blade twarze źle traktują kobiety. Mówili, że panie są tam ciągane po ulicach przez przywiązane do nich psy. Mieli na myśli paryżanki spacerujące po bulwarach ze swymi czworonogami.

Aby spełnić życzenie swych władców Champlain robił wszystko, by skolonizować nowe ziemie. Do Quebecu prowadzono misjonarzy – jezuitów i franciszkanów oraz siostry Urszulanki, aby nawracali Indian na wiarę katolicką. Ponadto zaczęto nadawać szlachcie zamorskie dobra, sprowadzać osadników i uprawiać ziemię.

Życie wśród dziewiczej przyrody dawało francuskim chłopom poczucie swobody. Mogli przemierzać lasy i wędrować z biegiem rzek. Niektórzy trafiali nawet do puszczy i spędzali całe swoje życie w leśnych ostępach. Nazywano ich „voyageurs”- podróżnikami, lub „coureus de bois” – biegającymi po lesie. Z czasem poślubiali Indianki i stawali się członkami różnych plemion.

Koloniści potrzebowali coraz więcej ziemi, którą dysponowali tylko Indianie. Jej zabieranie powodowało stałe konflikty.

Gubernator Nowej Francji, syn chrzestnego Ludwika XIII, postanowił sprawę ziemi załatwić z Indianami w kulturalny sposób. Zawierał właśnie jeden z wielu traktatów pokojowych z Irokezami, więc zaprosił ich na sutą ucztę w Quebecu, wraz z francuskimi dostojnikami. W czasie tego przyjęcia jeden z wielkich indiańskich wodzów oświadczył, że jest gotów zrezygnować z roszczeń do spornej ziemi, ale w zamianę wódz plemienia Węży, w imieniu jego pięciu szczepów zamieszkujących nad rzeką Św. Wawrzyńca i nad jeziorem Ontario, chce zabrać ze sobą piękną białą panią w habicie.

Uczestnicy spotkania oniemieli z wrażenia, a gubernator znalazł się w najkłopotliwszej sytuacji w swoim życiu. Brak zgody groził natychmiastową wojną. Na jej sygnał czekały setki Indian ukrytych w pobliskich lasach. Zaś oddanie Indianom arystokratki i to przełożonej zakonu Urszulanek, nie mieściło się nawet w wyobraźni jakiegokolwiek Europejczyka.

Gubernator jednak wykazał niezwykłą przytomność umysłu i bez wahania, wbrew opinii generalicji i ku jej zdumieniu wyraził zgodę.

Jak mówi legenda, dopiero później rozpoczął się prawdziwy bal, nie żałowano jedzenia i trunków, a szczególnie wo-

dzowi Węży szczerze dolewano ognistego rumu, aż w końcu wódz odsprzedał przeoryszę gubernatorowi.

Ponoć później jeszcze przez wiele lat gubernator chodził odbierać długi do pięknej zakonnicy. Rywalizacja pomiędzy Indianami Algonquinami i Huronami, którzy chcieli mieć wyłączność na handel z białymi przybyszami, a przedstawicielami innych plemion, doprowadziła jednak do otwartych wojen. Champlain, wraz z zaprzyjaźnionymi Indianami, wstąpił na ścieżkę wojenną i wyruszył przeciwko Wężom – Mohikanom (Mohawkom), należącym do szczepów potężnych Irokezów.

Do Algonquinów dołączyli Indianie zamieszkujący okolice jeziora Erie i Huron. Tereny te słynęły z obfitości bobrów i innych zwierząt futerkowych.

Champlain zamieszkiwał w ich obozach, co jeszcze bardziej podsycalo konflikty.

Im bliższe stosunki panowały pomiędzy szczepami Algonquinów i Huronów a Francuzami, tym gwałtowniejsze stawały się ataki Irokezów, którzy pośpiesznie zaopatrywali się w broń u Anglików, palili stacje misyjne i powoli zaczęli rugować Francuzów z zajmowanych terenów.

Celem ataków Irokezów stał się Montreal. Spalono stację misyjną w Midland nad Georgian Bay, a chrześcijan wymordowano. Pozostała przy życiu niewielka garstka osadników znalazła schronienie w dalekiej prowincji Quebecu.

W tym czasie brytyjscy kolonizatorzy i kupcy znacznie sprawniej opanowywali te ziemie. Wykorzystując przyjaźń z Irokezami wypierali słabszych Francuzów.

Rywalizacja Anglików i Francuzów o zdobycze terytorialne Nowego Świata doprowadziła do wojny.

Nieszczęściem dla Indian było wciąganie ich w liczne konflikty - jednych przeciwko Brytyjczykom, innych przeciw Francuzom. Napady Indian na osiedlających się nowych przybyszów spowodowały wojnę na terenach południowego Ontario i wzdłuż rzeki Św. Wawrzyńca. Pośpiesznie budowano tam forty obronne, a mimo to sąsiedzi wkroczyli do południowej Kanady, paląc częściowo miasto York, jak wówczas nazywało się Toronto.

W odwecie wojska brytyjskie podkradły się pod siedzibę prezydenta w Waszyngtonie i częściowo ją spaliły. Ponieważ mury prezydenckiego budynku zostały mocno okopcone, Amerykanie szybko je zamalowali białą farbą i odtąd zwą go Białym Domem.

Stany Zjednoczone jednak za wszelką cenę chciały przejąć kontrolę nad Górną Kanadą. Brytyjczycy ostrzeżeni w porę przez parę pastuszków, którzy paśli bydło na przedpolach planowanego amerykańskiego ataku, owego czerwcowego ranka w 1813 roku wykorzystali informację o bitwie, w której zginęło 900 żołnierzy amerykańskich.

Dzięki szybkiej i brawurowej akcji żołnierze brytyjscy i Indianie zaskoczyli Amerykanów pod Queenston. Ponownie odzyskano kontrolę nad całym regionem Niagary.



...Świt wstawał tu wcześniej niż na ziemi... idziemy oglądać wschód słońca.



...gigantyczne wieżowce z aluminium i czarnego szkła, szaleńcze pomysły tutejszych architektów. ...



...Miasto jest wielką wspaniałą metropolią nad jeziorem zwanym
Ontaryjskim Morzem. ...



..Indianie obecnie mieszkający w Toronto są z plemion
napływowych...



...ubierają się zupełnie inaczej niż ich poprzednicy, dawni Irokezi czy Huronowie z nad jeziora Ontario.



...Dookoła rozciągały się olbrzymie lasy. ... była to kraina mokradel...

Rok później na tych terenach nastąpił upragniony pokój. Generałom obu zwaśnionych stron, którzy zginęli w tej bitwie, wybudowano wspaniałe pomniki, a pastuszka Laura Socort, która powiadomiła Brytyjczyków o zamierzonym ataku, została patronką najśłynniejszych czekoladek w Kanadzie.

Najgorzej na tych konfliktach wyszli dawni mieszkańcy tej ziemi, Indianie, którzy sprawiali kolonistom ciągle kłopoty. Dlatego też ich liczba stale malała.

W Kanadzie jednak, w odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych, osadnicy potrzebowali Indian, jako pomocników na polowaniach, przy łowieniu ryb, pokonywaniu progów wodnych, wyprawianiu futer, warzeniu syropu klonowego, prowadzeniu canoe i jako przewodników po puszczech.

Szczepy Indian amerykańskich umiały się przystosować, zaadoptować do nowej cywilizacji. Indianie kanadyjscy do dzisiaj tkwią w swojej szczepowej organizacji i powoli znikają z życia społecznego i publicznego. Mieszkają poza ośrodkami cywilizacji, na obrzeżach miast, na niedostępnych wyspach. Jednak są uprzywilejowani, otrzymują zapomogi, bo najczęściej nie mają pracy.

Żyją legendą swych ojców, niegdyś świetnych myśliwych, głęboko związanych z przyrodą i walką o byt w puszczy.

Prowadzą wiele procesów z kolonistami o ziemię, wodę, bogactwa naturalne, są nadal nieufni i unikają kontaktów z białymi.

Kolejne rządy Kanady robią wszystko, aby pomagać Indianom i traktują ich o wiele lepiej, niż innych obywateli.

Perspektywę na przyszłość dają Indianom bogactwa naturalne tkwiące w ich ziemi, na ich terenach i uczciwe podejście Kanadyjczyków do nich.

Jest tu tyle miejsca, jak w żadnym innym kraju, zarówno dla osiedleńców zza morza, jak i Indian. Przecież żyją oni wszyscy w najbogatszym kraju świata, w zasobnych prowincjach nad atlantyckich, w dorzeczu rzeki Św. Wawrzyńca.

Książka ta mówi o staroświeckości i współczesnych przeżyciach, zebranych w czasie włości po obrzeżach dawnych puszczy, na ziemiach Algonquinów, Huronów, Odżibwejów i Indian Cree, pod koniec ubiegłego stulecia.



3. CANADA DAY

Przyglądanie się zza okna uciekającemu horyzontowi i pierwszym oznakom ustępującego dnia było fascynujące. Zanim jeszcze rozpalona kula słońca zatopiła się w pagórkowatym, leśnym krajobrazie Huronii i gęste opary pokryły jezioro Ontario, mgły nad nim coraz bardziej gęstniały, stawały się jednostajne, aż przyjęły obraz smolistej czerni w groźnej wodnej otchłani.

Za to niebo nad nimi mieniło się orgią barw, czerwieni i żółci, od kolorów temperatury hutniczego pieca, po barwy wygasającej lawy wulkanów.

Za oknem zawisła paleta wszystkich odcieni ciepła i harmonizowała z przyciemnioną lampą naszego kawiarnianego stolika.

Z przyklepionymi nosami do szyb nie mogliśmy się nadziwić dotąd niespotykanemu zjawisku.

Restaurację obrotową, położoną na wysokości 351,5 m, z nocnym klubem, opływały ulotne, barwne obłoki. Byliśmy na wieży zwanej CN Tower w Toronto, jednej z największych budowli świata (553,5 m wysokości), do której prowadziły cztery przeszklone, szybkie windy.

W barze i w restauracji było tłoczno, na stolikach stały lampki z dyskretnymi zasłonkami abażurów. Coraz więcej osób

łoczyło się przy oknach i chciało oglądać zapadający szybko zmierzch.

Kiedy zniknął horyzont, w aksamitną czerń nieba i jeziora, prawie spod naszych stóp zaczęły wzbijać się olbrzymie pióropusze barwnych światełek, gwiazdek, fajerwerków i falujących czerwonych dymów, niczym zorza polarna.

W tym właśnie dniu, 1 lipca, Kanadyjczycy obchodzą swoje święto narodowe Canada Day, stąd to barwne widowisko.

Naraz horyzont jeziora zapłonął różnobarwną luną pożarów, a dochodzące znad wody grzmoty jeszcze bardziej podgrzewały kawiarnianą atmosferę. Przed naszymi oknami migotały setki światełek na łodziach i statkach pływających po jeziorze, sznureczki perełek świetlnych, czyli sunących autostradami samochodów, pochodni i lamp ludzi, którzy przyszli tego dnia na bulwary. Przybywało coraz więcej i więcej osób, tłum gęstniał, zanim okryła go noc.

Nastrój podniosły i świąteczny, zapachy whisky, kalmarów i frytek mieszały się wzajemnie i drażniły nozdrza. W głośnych szum, w oczach orgia barw. Ta wysokość podniecała wszystkich, świat zaczął wirować razem z kawiarnią, stawał się piękniejszy, doskonalszy i bogatszy.

Po północy wszystko na zewnątrz ucichło i zgasło, ale nastrój świątecznej zabawy pozostał i trwał nadal w wirującym lokalu. Tylko muzyka tłumiała kawiarniane szaleństwa i rozmowy, od czasu do czasu przytulone pary rozdzielał brzęk komórkowego telefonu, a pyszna zabawa trwała do brzasku dnia.

Świt wstawał tu wcześniej niż na ziemi.

Idziemy oglądać wschód słońca, musimy się spieszyć, aby zająć dogodne miejsce we wschodniej części tego ogromnego talerza.

W pośpiechu skracamy drogę, wchodzimy na szklaną podłogę, zupełnie przezroczystą.

Czujemy naraz ogromny stres, nogi cierpną, stają się miękkie, jakby były z waty, pod stopami widzimy pędzące samochody wielkości pudełeczka od zapalek.

Na szklaną taflę weszliśmy nieświadomie, inni takich błędów nie popełniają. Robią to tylko młodzieńcy popisujący się swą odwagą i brawurą nad czterystumetrową przepaścią.

Po lewej stronie w oknie ukazuje się krwistoczerwona tasiemka wschodzącego słońca. Nikną ostatnie opary na jeziorze, powoli promienie słońca biegną w dół torontońskich drapaczy chmur i odkrywają coraz to nowe piętra.

Patrzemy na nie z góry, są teraz tak plastyczne i piękne, że zachęcają do fotografowania.

Szukam najlepszej pozycji do zdjęcia, co nie jest wcale łatwe. Ukośne okna i siatki skutecznie temu przeszkadzają. Coś mnie odpycha od wystających na zewnątrz szyb, coś mówi: „nie wchodź tam, bo wypadniesz”. Przede mną grube okna i ta wspaniała panorama miasta z tysięcy pocztówek.

Wieża, otwarta w 1976 roku, stała się symbolem Toronto, podobnie jak wieża Eiffla dla Paryża. Również ona spełnia funkcję wieży telekomunikacyjnej. Na wysokości 447 m znajdują się galerie i punkty obserwacyjne, z widocznością dochodzącą przy dobrej pogodzie do 160km. Atrakcją są gry i zabawy przyszłości, wędrówki w wirtualnej przestrzeni kosmicznej.

Już nie czuję strachu. Chyba pomaga mi w tym wino Chardonnej z Józka winiarni "Jackson & Trigges" z rejonu Niagara, którego wypilem trochę za dużo.

Robię serię zdjęć z lotu ptaka, uwieczniając gigantyczne wieżowce z aluminium i czarnego szkła, szaleńcze pomysły tutejszych architektów.

Machamy rękami do lecącego pod nami samolociku. Wygląda śmiesznie na tle wielkiego parkingu, na którym samochody-

mrówki, poustawiane równo, przypominają rozciągniętą siatkę z dużymi oczkami.

Miasto jest wspaniałą metropolią o powierzchni prawie 600 km kwadratowych, położoną nad jeziorem zwanym Ontaryjskim Morzem, gdzie budowle rosną jak na drożdżach.

Pośpieszną windą zjeżdżamy w dół do budynku, w którym królują sklepy z pamiątkami, restauracje i atelier portretu. Za jedyne 5 dolarów komputer nanosi na papier lustrzane odbicie twojej twarzy.

Przez chwilę z niedowierzaniem ogląda swą podobiznę, czarnooka, młoda dziewczyna z opaską na głowie. Robi to tak abyśmy i my mogli porównać prawdziwość dzieła na papierze z oryginałem. Dziewczyna jest śliczna, wygląda szalowo, nazywa się Anna Synghone. Jest Indianką, pracuje w jednym z podziemnych sklepów z odzieżą, a raczej ze skarpetami.

Mówi biegle po francusku i ma wielką sympatię dla Polaków, gdyż chodziła z polskimi dziewczętami do szkoły w tym mieście.

W Toronto mieszka od zawsze, jednak jej dziadek przywdę-drował tu aż z Grenville, dzisiejszego Vancouver.

Kupujemy od Ani dwie paczki skarpet, próbuję ją sfotografować. Dziewczyna nie odmawia mi tej przyjemności i wracamy na kwatery do Mississauga.

4. PAMIĘTNIKI CZAROWNIKA

Po upalnym lipcu i sierpniu wreszcie dmuchnęło chłodniejszym powietrzem. Dotąd w puszczy północnej Muskoki trudno było oddychać. Wilgotny, gorący zapach zgniłego drewna wypełniał leśne gąszcze, zakamarki skalne, rumowiska drzew i macezniki.

Trafił też pod okapy rozłożystej sosny, pod którą siedzieliśmy tego wieczoru. Wyciskał krople potu, które lepiły się do naszych koszul i spływały z czoła do oczu.

Naraz zimny zefirek zakołysał wierzchołkiem sosny i spłynął ku dołowi.

– Och, jaka ulga, to z Labradoru rześkie powietrze – powiedział sędziwy Marchut. – Słyszysz, mimo późnego popołudnia jak pięknie rozśpiewały się ptaki, jak po tych upałach budzi się cała przyroda. Na pewno jeszcze później usłyszysz postękiwanie naszych jeleni.

Tak jak wczoraj wieczorem, wprawdzie jeszcze nieśmiało, ale już dobrze porykiwał pod skałą stadny byczek.

Taki był początek września w puszczy za Huntsville, gdzie na rykowisku poznałem Bronka Marchuta. Przyjeżdżał tam rokrocznie na jelenie gody, by zapolować na wirginijskiego byka. Jak twierdził, byki były tu jedne z najokazalszych w całej prowincji.

Przez pięć dni polowaliśmy razem, on ze sztucерem, a ja z teleobiektywem.

Bronek był doświadczonym myśliwym, o manierach i zachowaniu czerwonoskórego mieszkańca lasów. Stąpał tak cicho, że denerwował tym nas wszystkich. Jego nagłe pojawianie się, czy znikanie, było nagminne i szokowało nas, mieszczuchów.

Do mnie miał pretensje, że szoruję butami po trawie i na milę słychać moje kroki w puszczy. Bez powodzenia próbowałem się stosować do jego uwag. Nie było to wcale takie łatwe.

Mówił mi kiedyś Andrzej, że z pół roku trzeba trenować, aby nauczyć się chodzić na palcach, jak to czynią Indianie. Bronnek przez wiele lat był nauczycielem w rezerwacie Indian i tam poznał ich zachowanie i przesiąkł manierami ludzi z lasu.

– Jak będziesz kiedyś w Oshava, wstąp do mnie – zaproponował. Pokażę ci wiele ciekawych rzeczy, przede wszystkim moje zbiory i zdjęcia. Wiesz, czego ci zazdroszczę?

Zdziwiłem się. Przecież dorobił się tu, w Kanadzie, wszystkiego. Był zamożny, miał piękny, terenowy samochód, mógł wykupić drogie odstrzały na niedźwiedzie i jelenie, wynajmować myśliwskie campy na północy. Nic mu brakowało.

– Wiesz, ten twój Nikon, ta kamera – wyjaśnił – byłaby mi potrzebna, kiedy pracowałem w rezerwacie, bo tam psułem film po filmie, taką starą Zorką, którą odkupiłem od znajomych. Mój dom kiedyś stał na skarpie, nad rzeką Magpie, nieopodal jeziora, Anijagumi, na północy, z dziesięć mil od Superioru - Jeziora Górnego. To było jednak dawno i dzisiaj ta moja praca tam jest tylko jakby snem, a była wielką, wspaniałą przygodą mego życia.

Dni w puszczy szybko minęły i jeszcze pod koniec września pojechałem do Oshavy. Bronnek mieszkał w dwurodzinnym domu, otoczonym srebrnymi świerkami i mnóstwem kwiatów.

Przyjął mnie w swojej bibliotece, przy stole ustawionym na wielkiej skórze czarnego niedźwiedzia. Jak wielu Polaków po-

dzielił los pielgrzyma. W 1948 roku razem z matką trafił do ojca we Francji, który tu przybył z żołnierzami II Korpusu Władysława Andersa. Potem razem wyjechali do Montrealu w Kanadzie, gdzie, po ukończeniu studium pedagogicznego, staż nauczyciela odbywał w rezerwacie Indian.

W czasie trzyletniej praktyki, jak mówił, raz był na wozie, a raz pod wozem. Życie było tam trudne i wymagało poświęcenia się bez reszty sprawom Indian. Wiele razy chciał zrezygnować z tej pracy, ale pozostał tam do końca stażu.

– Jestem od tej pory jednak gorącym orędownikiem niesienia im pomocy, a szczególnie umożliwienia dzieciom indiańskim studiowania w szkołach średnich i wyższych – twierdzi.

Zachował wygląd i nawyki indiańskie. Zawsze chodzi w postrzępionej kurtce z jeleniej skóry, a krok ma nietypowy, przez co zwraca na siebie uwagę.

Jego biblioteka ma wystrój indiańskiego skansenu. Ściany są niemal oblepione różnymi wyrobami i rękodzielami artystów z rezerwatu, wśród nich jest parę ujmujących za serce obrazów oraz wiele masek rytualnych i rzeźb.

Mnie jednak zainteresowały fotografie, których gospodarz miał pełen album. Jednak wykonywane po amatorsku nie stanowią większej wartości.

Widząc moją ciekawość Broniek podał mi teczkę z okresu jego działalności na stanowisku nauczyciela i kronikarza w rezerwacie indiańskim. Kiedy odpiąłem ściśniętą gumką okładkę, oczom moim ukazał się spory plik starych dokumentów i notatek zapisanych na pożółkłym papierze, wiele już nieczytelnych.

– Wiesz – powiedział gospodarz kiedyś miałem zamiar napisać historię szczepów znad Wielkich Kanadyjskich Jezior, ale skończyło się na chęciach. Później miałem kłopoty ze zdrowiem i wzrokiem. Teczkę związałem i tu, w szafie, przeleżała kilkadziesiąt lat.

Przewracałem ostrożnie kartkę po kartce. Było na nich pełno liczb i nazwisk, luźnych, nic niemówiących notatek. Wreszcie oczom moim ukazał się napis „Pamiętniki Czarownika”.

Okazało się, że w tym samym czasie, kiedy Broniek przebywał w rezerwacie obozowym czarownikami był Wawa (Dzika Gęś – w języku indiańskim), który opowiedział wiele epizodów z życia czerwonoskórych, mojemu gospodarzowi.

Broniek traktował te papiery niczym wielką relikwię, jednak mówił, że dzisiaj ma prawie siedemdziesiąt lat, a te szpargały mają dla niego jedynie wartość pamiętnikarską.

– Przejrzyj je – jeżeli znajdziesz tam coś interesującego, to ci je pożyczę.

Dodał przy tym, że są też tam jego uwagi z pierwszych dni pobytu w rezerwacie, gdzie całymi tygodniami zapisywał rozmowy z Wawą.

Po moim powrocie na kwaterę w Mississauga od razu wziąłem się za studiowanie przywiezionych notatek. Często powtarzały się w nich niektóre epizody, były lakoniczne i zdawkowe, nawet trudne do rozszyfrowania. Wiele było bezwartościowych, ale w sumie jakiś obraz po przeczytaniu ich pozostał w mej pamięci.

Po miesiącu miałem do Bronka dziesiątki pytań i wiedziałem już, że wydarzenia zawarte w jego notatkach mogły być prawdopodobne.

Zawiozłem mu do kolekcji jelenia z brązu, którego kiedyś otrzymałem od znajomych w Montrealu. Przez wiele wieczorów rozmawialiśmy na jego werandzie o przygodach indiańskich, przenosząc się w odległe czasy, kiedy jeszcze na obszarze całego Ontario szumiały olbrzymie puszcze, a w nich beztrudno żyły indiańskie szczepy i zwierzyń było w bród.

Im więcej wiedziałem o Indianach, tym bardziej ciekawy byłem ich historii, coraz więcej odkrywałem tajemnic czerwonoskó-

rych i w coraz większym stopniu stawałem się ich zagorzałym wielbicielem

To dzięki Bronkowi przede wszystkim lepiej poznałem ich kulturę i obyczaje.

Za jego zgodą mogłem odpisać z kroniki wydarzenia zanotowane przed czterdziestu laty przez młodego nauczyciela z rezerwatu nad rzeki Magpie w Kanadzie.



5. INDIAŃSKIE „MIEJSCE SPOTKAŃ”

Indianie obecnie mieszkający w Toronto są z plemion napływowych. Ubierają się zupełnie inaczej niż ich poprzednicy, dawni Irokezi, czy Huroni znad jeziora Ontario. W czasie swoich świąt i parad folklorystycznych noszą na głowach wielobarwne pióropusze, najczęściej utkane w zakładach włókienniczych, kolorowe narzuty z frędzlami, naszyjniki z bawełny, łańcuchy, wi-siorki ze sztucznego włókna i naklejki przypominające nasze góralskie parzenice.

Swym wyglądem przypominają raczej Indian z Gór Skali-stych, czy też z pobliskich stanów USA. Tak właśnie przedstawia się ich na pocztówkach, folderach turystycznych i przydrożnych bilbordach.

Gdyby wysoka wieża CN Tower stała już w XIV czy na-wet XVII wieku, to by można z niej zobaczyć obraz jakże inny, zupełnie niepodobny do dzisiejszego.

Indiańska osada Toronto stała nad zakrętem rzeki, przy jej ujściu do jeziora zasłanym dziesiątkami pni, przegniłych drzew, wśród wielkich rozlewisk i bagien.

Dookoła rozciągały się olbrzymie lasy. Rosły tu świerki, sosny, jodły, cedry i tuje, ale i balsamiczne topole, amerykańskie dęby, brzozy i czerwone klony, z których otrzymywano syrop i cukier.

Była to kraina mokradeł, którą zamieszkiwały niezliczone kolonie bobrów i one to były przyczyną podtapiania coraz to nowych leśnych gąszczy. Były tam też mateczniki niedźwiedzi, łosi, wilków i jeleni, a czasami przechodziły tędy nawet bizony.

Ale ta bagienna kraina stanowiła przede wszystkim ostoję wodnego ptactwa, tysiące dzikich gęsi bernikli kanadyjskich, białogłowych orłów i duchów otwartych błot - dzikich indyków.

Żyły tam drobniejsze zwierzęta, takie jak: szopy pracze, kojoty, wiewiórki, rysie. Rzeki i jeziora obfitowały w wiele gatunków ryb, głównie w pstrągi, wielkie łososie, okonie bielmowe, podobne do okoni Bassy i ogromne ryby nazywane przez Indian muskonongami.

Wówczas też z wieży można byłoby zobaczyć porozrzucane po lesie indiańskie wioski, a szczególnie tę największą, tuż nad brzegiem rzeki, ogrodzoną palisadą z masztowych świerków.

Wewnątrz niej wokół wielkiego placu, niczym półkolistego amfiteatru, stało wiele szerokich domów zwanych „casas-largas”, zbudowanych z zaginanych belek pokrytych korą drzew. Było ich tam ze sto na planie prostokąta, a w każdym żyło po parę rodzin.

W amfiteatrze ułożono koliście kłocę drzew, tworząc miejsca siedzące dla co najmniej setki osób. W samym środku placu stały trzy słupy, z zatkniętymi na nich wyblakłymi od deszczy i wysmaganymi przez wiatry czaszkami bizonów. Poniżej nich wisiały maski używane do celów magicznych i ceremonii rytualnych, oparte o łopaty łosi.

Obok domów na ogniskach warzono syrop w dużych glinianych dzbanach, opiekano nad ogniem świeżo upolowanego jelenia, wędzono ryby. Na stojakach wisiały dzikie indyki i kolby żółtej kukurydzy, na ziemi leżały dynie. Tuż obok na wielkim pniu wyprawiano nożami krzemiennymi skóry zwierząt.

Za palisadą wioski, na wyrwanych puszczy wąskich polatkach, uprawiano słoneczniki, kukurydzę, groch, fasolę i dynię, rosły grusze i jabłonie, a ze specjalną troską hodowano tytoń, służący Indianom do celów religijnych.

Członkowie plemienia byli ubrani skromnie, najczęściej nadzy do pasa, z zawieszonymi na szyjach wampumami z kłów niedźwiedzi i grandli jelenich. We włosach mieli wpięte po dwa orle pióra, które zwisały obok opalonej na brąz twarzy, albo sterczały w górę wplecione w czarne włosy. Były one charakterystyczne dla tutejszych szczepów.

Plemię było dobrze zorganizowane, na wyższym poziomie niż Indianie z głębi puszczy. Dlatego było autorytetem dla sąsiadów z zachodu, południa i północy.

Władza w Toronto należała pośrednio do kobiet, które wybierały Szczepową Radę Federacji i wydatnie wpływały na jej decyzje. Szczepy Mississauga, Ottawa, Huronowie, a nawet bardzo przebiegli Mohawkowie, utworzyli Plemienną Federację Czterech Szczepów, na wzór wcześniej już istniejącej Wielkiej Federacji Pięciu Narodów, do której należały szczepy Seneka, Kajuga, Onejda i Onandoga. Ich przedstawiciele bardzo często spotykali się z tutejszymi Indianami w sprawach tak ważnych jak klęski żywiołowe czy wspólna obrona przed białym człowiekiem, który zaczął coraz częściej pojawiać się nad brzegami rzeki Św. Wawrzyńca i jeziorem Ontario. Miejsce spotkań w języku Huronów nazywano Toronto.

6. POSŁANIEC Z STANDAONA

Przez wiele dziesiątków lat do osady Toronto docierały nieprawdopodobne wieści o nowych, białych bogach, którzy przyплыnęli na skrzydlatych, wielkich canoe i odwiedzili nad dużą wodą indiańską osadę Standaona. Algonquinowie ze szczepu Beothuk jako pierwsi spotkali tych „białych żeglarzy”, oni zaś byli mądrzy i dobrzy.

Bogowie ci umieli natychmiast wskrzesić ogień, uśmieżyć ból zęba, zabijać niedźwiedzie i bizona, miotając w ich stronę piorunami z kija.

Za skóry bobrowe dawali czerwone i białe garnki z metalu, których nie można było spalić w ogniu.

Po puszczy jeździli na zwierzętach, zamiast chodzić pieszo. Wielu z nich nosiło długie brody i wąsy, mieli też wodę, która się paliła płomieniami i równocześnie można było ją pić. Nie byli ubrani w skóry, a w kolorowe kurtki

Wszystkie te informacje nie dawały spokoju mieszkańcom osady. Jedni w nie wierzyli, drudzy uważali za czysty wymysł szamanów.

Aż nadszedł rok 1614 i nastąpiła pora kwitnienia drzew. Do osady Toronto przybył na grzywiastym mustangu czerwonoskóry posłaniec z osady Standaona. Miał emblemat prawdomówności wodza Mohawków z osady Hochelage.

Przywoził wiadomość o płynących w górę rzeki i jeziora Ontario dwóch skrzydlatych canoe i o tym, że blade twarze odwiedzają, jak twierdził, wszystkie indiańskie osady na zachodnich brzegach wielkiej wody. Wymieniają bobrowe

i niedźwiedzie skórki na topory i noże, metalowe igły, guziki, dzbany i wełniane derki.

Natychmiast zwołano Radę Ogni Plemiennych, czyli spotkanie przedstawicieli wszystkich szczepów, i w wielkiej tajemnicy postanowiono debatować w dzień i w nocy.

W jednym z wielkich *casas-largas* zapalono ognisko. Wokół na trzciniowych matach i niedźwiedziach skórach rozsiedli się przybyli na spotkanie przedstawiciele czterech szczepów.

Miejscowy szaman, Sunka Wakan (Tajemniczy Pies), który był zarazem lekarzem i kapłanem w Toronto, pomalowany w czerwone w czarne pręgi, założył na twarz owłosioną rytualną maskę i zaczął odprawiać zaklęcia. Nawiązywał kontakt z duchami. Wzywał Wielkiego Ducha, Nanabusha, prosił o pomoc i radę, w jaki sposób Huronowie i Irokezi mają zachować się wobec białych przybyszów z zewnątrz.

Tymczasem dziewięciu skąpo ubranych Indian, ze zwisającymi z tyłu ogonami szopów, skórami wilków na plecach i trzymających w rękach karpie - rakiety śnieżne, odtańczyło rytualny taniec duchów.

Do ogniska na rozpalone kamienie stale dosypywano wonne zioła i łupiny hikory dotąd, dopóki wewnątrz nie wypełniło się pachnącym narkotyzującym dymem.

Largas było wielkie, miało ponad trzydzieści metrów długości i z dziesięć wysokości, pokryto je korą brzożową. Wewnątrz w półmroku z wielką powagą siedziała starszyzna pałac kamienne fajki, oczekując na informacje posłańca.

Kiedy już szaman uznał, że można wysłuchać wieści z dalekiej północy, dał znak zapalając pochodnię i wskazał na posłańca.

Rudy Kojot podszedł do ogniska i uroczyście oświadczył, że jest synem wodza z plemienia Indian „tych, co jedzą surowe mięso” i w języku Athabaska powiedział, że będzie mówił prawdę.

Wielu jednak nie rozumiało jego słów. Na dowód tego, co chce powiedzieć podniósł w górę miedziany czajnik, który wśród starszyny wzbudził ogromne zdziwienie, a kiedy stuknął w niego kościanym nożem, a brzęk nappełnił wnętrze largas, wszyscy zamarli i nastąpiła zupełna cisza.

Posłaniec wyjął ze skóry dwa haki na ryby oraz metalową igłę i podał jednemu z wodzów irokeskich, Zwinnemu Wężowi.

Widok tych przedmiotów dla starszyny był piorunujący. Nigdy, bowiem wcześniej niczego podobnego w życiu nie widzieli. Jeden z nich wyciągnął igłę z rybiej ości, drugi kościany haczyk i długo porównywali.

Z uznaniem i wielkim zaciekawieniem proszono posłańca, aby jak najwięcej mógł opowiedzieć o białych bogach, o ich canoe i czy mówią językiem Atahabaska czy Algonquinów i czy mają dużo toporów i noży.

Widząc zaciekawienie starszyny, przemówił uroczyście:

– Drodzy czerwoni bracia! Na nasze ziemie przyplłynęły dwa olbrzymie canoe, pełne bladych twarzy. Odwiedzając nasze osady za bobrowe i niedźwiedzie skóry dają oto takie dzbany.

Na dowód swoich słów wznosił do góry miedziany czajnik, stykając nim o swoją głowę. To wywołało w dotąd kamiennych twarzach starszyny nieukrywany uśmiech.

– Jeżeli dopłyną do waszych osad ci biali bogowie i chcecie mieć te przedmioty, musicie zgromadzić dużo skór. Musicie też przyjąć ich z godnością i tradycją naszych ojców, wypalić z nimi czerwoną fajkę pokoju, jak na leśnych Indian przystało, pokazać maski i ozdoby z kości, łuki i strzały, bo oni są wielcy. Przywożą też nowego boga, który jest największy ze wszystkich, a jego symbolem jest krzyż.

Wielki Szaman Toronto nawet nie chciał słuchać, co mówi Rudy Kojot. On wiedział lepiej jak leczyć chorych braci. Miał przecież gotowe zioła i jad grzechotników, który uśmierzał ból,

a który od lat stosował z dobrym skutkiem i niepotrzebni mu byli biali lekarze ani nowi bogowie.

Rudego Kojota pożegnano uroczyście, ale i z wielkim niepokojem. Przed nim była jeszcze daleka droga i misja powiadomienia czerwonych braci Wendat, mieszkających na bagnach i rzeką Nottewasaga, o wizycie nowych przybyszy zza morza.

Rada debatowała w Largas do samego rana. Podzieliła się na zwolenników pokojowego przyjęcia białych twarzy i na „jastrzębi”, którzy nie chcieli pozwolić na lądowanie skrzydlatych canoe na ich brzegu.

Nad samym ranem uzyskano kompromis. Postanowiono godnie przyjąć białych, dopiero jednak po konsultacjach z prorokiem Czarną Wroną i wyrocznią „kamiennych bogów” mieszkających od tysiąca lat nad jeziorem Cedrowym i Stoney.



7. GORĄCZKA OCZEKIWANIA

Po opuszczeniu Toronto przez Rudego Kojota mieszkańcy osady wzięli się do wytężonej pracy. Chcieli wymienić skóry na noże, topory i garnki, przyspieszyli, więc ich gromadzenie.

Na obrzeżach palisady ustawiono wysokie słupy, na szczytach ich pozawieszano upolowane gęsi dla treningu młodzieży w strzelaniu z łuku. Nadbrzeżne mielizny rzeczne zamieniono też w strzelnice, gdzie na makietach pływających bobrów całymi godzinami trenowano sprawność oka.

Starsi mieszkańcy ściągnęli z lasu olbrzymie kłocze drzew i poustawiali je na stojakach. Na nich to czyszczono bobrowe i niedźwiedzie skóry. Codziennie rano i wieczorem dostarczano je w dużych ilościach, bo i bobrów tutaj było tyle, że wystarczyło dla wszystkich.

Wokół ogrodzenia osady zaczęło przybywać wiklinowych kół, a w nich napiętymi rzemykami skór. Stańto też parę kół o dużej średnicy, a w nich suszono kilkanaście futer czarnych Han'haków - niedźwiedzi.

Zajęci pracą mieszkańcy nawet nie zauważyli jak wytypowana przez radę, trzyosobowa delegacja wyruszyła w daleką, osiemdziesięcimiłową podróż do Czarnej Wrony i „mówiących kamieni.” Proroka miano poinformować o wieściach, które przyniósł Rudy Kojot - o przybyciu białych bogów zza morza na wielkich ogniowych statkach, jednocześnie prosząc o opinię bogów zaklętych w kamieniach i największą wyrocznię -Bóstwo Słońca, o pomoc.

Na czele delegacji stanął najlepszy przewodnik po puszczy, Czerwony Ptak. Do niego dołączyła jego najmłodsza żona Hakiktwin i sprytny wojownik Czarna Łasica. Na drogę wyposażono ich w pemikan, sproszkowane mięso w jelenich pęcherzach, syrop klonowy i kukurydzę.

Było to w czasie „zielenienia się liści”. Przewodnik sobie znanymi ścieżkami, omijając liczne wiosenne wylewy rzek i po niewidocznych podwodnych groblach, doprowadził całą trójkę już w czwartym dniu na wzgórze „mówiących kamieni”. Tam bez trudu odnalazł małe *casas-largas* i Wielkiego Proroka Czarną Wronę.

Starzec nie był zbyt zdziwiony wizytą braci Indian, bowiem miał wśród nich, a szczególnie w szczepie Czipewejów, wielu przyjaciół i spotykał się z nimi często. Sam wywodził się z wielkiej rodziny Mohawków i łączyły go więzi krwi z wieloma braćmi z nad jeziora Ontario.

Całą trójkę zaprosił do wnętrza chaty i czynił przygotowania do godnego ich wysłuchania.

Najbardziej niecierpliwiła się Hakiktwin, lecz Czarna Wrona spokojnie włożył do glinianego kominka kłodę brzozy, polecił wszystkim usiąść na krzesłach z łopat łosia. Założył opaskę na włosy zwisające do ramion i poprawił skórzaną koszulę.

Tymczasem ogień z kominka rozjaśnił wnętrze chaty tak, że młoda kobieta mogła teraz zobaczyć jej wyposażenie i wystrój.

Ściany były wyłożone skórami niedźwiedzi, w nie wpięto wiele tajemnych znaków, na rzemykach wisały wampумы, kły niedźwiedzi, wilków, zasuszone żołądźcie, koloru kasztanowego grandle jeleni i pancerze żółwi.

Na drewnianym, przepołowionym klocu stały kamienne i żółwiowe popielnice, tłuczki, do ucierania ziół, a nawet samorodek żółtego kamienia wielkości kurzego jajka. Był to amulet do odstraszenia złych duchów.

Pod sufitem largas oprócz raket śnieżnych wisiały woreczki z żółcią niedźwiedzi, pęcherze z syropem klonowym, sadłem bobrowym, a także pachnące zioła. One to nadawały specyficznego zapachu wnętrzu chaty.

Prorok miał twarz przyjazną i dostojną, emanowała z niej dobroć. Nareszcie pozwolił mówić Czerwonemu Ptakowi. Z powagą wysłuchał jego informacji, zadumał się na chwilę i powiedział:

– Prosisz mnie, mój bracie, o opinię „mówiących kamieni”, o wyrocznię Boga Wszechświata, stwórcy Indian i białych twarzy!

– Jestem sam ciekawy, co powie Kamienne Słońce naszym braciom z Toronto.

Prorok Czarna Wrona wsypał do popielnicy zioła z siedmiu brzoszowych kubków i podpalił żarem z kominka. Nakrył je pancierzem żółwia i kadzidło rozhuścił, zasnuwając dymem wnętrze chaty. Do małego naczynka wsypał kryształki niedźwiedziej żółci, dolał wody i wypił.

Tymczasem dym z kadzidła stawał się tak dokuczliwy, że Czarna Łasica zaczęła wycierać oczy z łez, a przedmioty na ławie zaczęły wirować.

Wielki Prorok to zauważył. Wziął dymiące kadzidło i poprowadził całą trójkę na wzgórze, do wielkiego kamiennego kręgu, pod stojący tam najważniejszy „mówiący głaz”. Ten w środku miał wyryte słońce z promieniami, na pozostałych były dziwne rysunki: węży, żółwi, ptaków, prostokątów i małych ludzików.

Zatrzymał się przy „kamieniu uczącym”, od tysiąca lat najważniejszym dla leśnych Indian, gdyż był on bogiem, stwórcą wszechświata, drogowskazem i ostateczną wyrocznią.

Prorok założył rytualną maskę i rozpoczął taniec przywołania kamiennego ducha. Dymem okadzał skałę, a szczególnie

bóstwo słońca. Wypowiadał zaklęcia w wielu językach, również Algonquinów i Athabaska.

Cała trójka z zaciekawieniem przyglądała się tym rytualnym praktykom, jednocześnie czekała na to, co powiedzą mówiące kamienie.

Bóstwo Słońca chyba wysłuchało błagań proroka, bo dwa ptaki, wielkości sroki, przyfrunęły i usiadły na jego ramieniu, co jeszcze bardziej spotęgowało mistyczny nastrój skalnej świątyni.

Nagle Czarna Wrona przerwał ceremonię kultową i poprosił o oddalenie się posłańców z magicznego kręgu. On teraz sam musiał rozmawiać z kamienną wyrocznią, która miała mu odpowiedzieć na trudne pytania, które przywieźli jego czerwoni bracia.

Niezbyt długo czekano na powrót mistrza, a kiedy wrócił po jego zachowaniu można było wywnioskować, że jest bardzo zmartwiony i zatroskany. Usiadł wśród nich i uroczyście oświadczył:

– Zanieście te słowa „mówiących kamieni” do moich braci i do Rady Plemiennych Ogni. Plemię Beothuk, które odwiedzili w „okresie opadania liści” blade twarze, znika od ucisku, chciwości, jak znika śnieg w promieniach słońca i od podmuchów ciepłego wiatru. Biali zmuszają Indian do pracy, do której oni nie byli nigdy stworzeni. Okradają naszych ludzi, nasze dzieci i wywożą za morze. Kilku Indian zastrzelili i pozwolili im wejść do królestwa ich niebieskiego ojca.

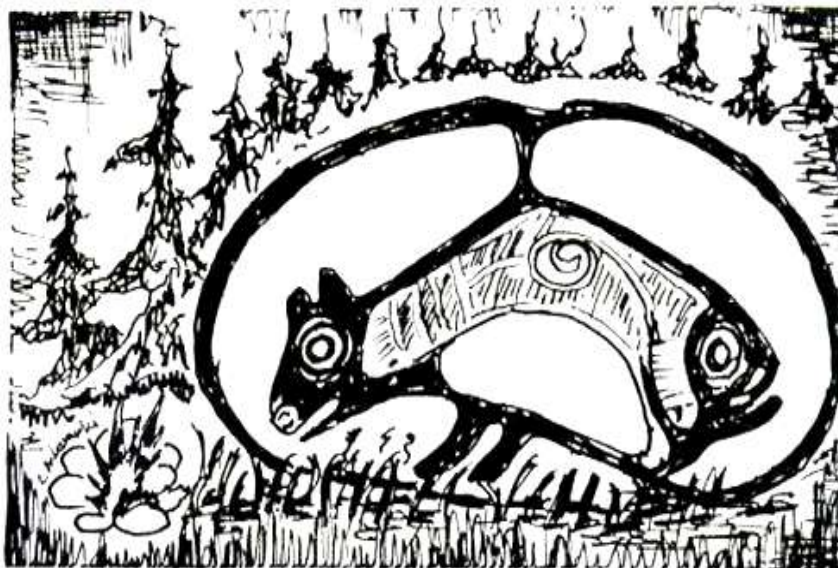
Ci przybysze odbierają wszystko, co posiadamy, najchętniej żółte kamienie, piorunami rozwalają skały i nasze budowle. Za żółtym kruszcem odkrywają i rabują groby. Z czasem stają się wilkami, grasującymi wśród łań i jeleni. Wiele osób zarazili nieznaną chorobą, która zdziesiątkowała naszych braci. Oni nazywają ją epidemią ospy.

Czerwony Ptak i Hakiktwin już nie mogli słuchać więcej tych słów wypowiedzianych przez proroka. Chcieli jak najszybciej wracać do Toronto.

Prorok to zauważył, poprosił kobietę o rozwagę i dodał:

– Wśród tych bladych twarzy jest wielu uczciwych i mądrych ludzi. Oni posiadli wiedzę bogów i na pewno kiedyś pozwolą nam godnie żyć na Ziemi Ontaryjskiej.

Pożegnano jak najszybciej starca, podziękowano za ostrzeżenia. Jednak cały czas w drodze powrotnej Hakiktwin miała opuszczoną głowę i ciężko jej było na sercu.



8. FUTRA WAŻNIEJSZE OD ZŁOTA

Hakiktwin po powrocie do Toronto długo rozmyślała, co opowie kobietom, które wybierały Plemienną Radę, bo ona zadecyduje, w jaki sposób i czy należy przyjąć nowych przybyszów.

Pamiętała przecież jeszcze, co jej mówił Rudy Kojot o Indianach z Standacone. Byli oni dla bladych twarzy zza morza, bardzo gościnni, a nawet opisywali im trasy w górę rzeki i w głąb łądu, wskazywali miejsca w puszczy, gdzie miały się znajdować wielkie kannaty (osady) i Hochelagi. Jednak zazdrośnie strzegli, aby biali nie kontaktowali się z innymi plemionami i nie zostawali u nich strzelających kijów i swoich wyrobów.

Hakiktwin rozum mówił, że Wielki Prorok chce, aby Indianie z Toronto, nie przyjęli bladych twarzy, a to już było podstępem niegodnym dla Indian z kannaty Toronto.

Nazajutrz na spotkaniu kobiet w *casas-largas* Hakiktwin postanowiła przedstawić swoje spostrzeżenia z odbytej podróży.

Posiedzenie Rady odbyło się jeszcze tej samej nocy. Przegłosowano decyzje. Mimo sprzeciwu kilku wodzów postanowiono, że spotkanie z bladymi twarzami odbędzie się i to w przyjazny sposób jak na Irokezów i Huronów przystało, w zgodzie ze starą tradycją ojców.

Postanowiono godnie powitać przybyszów zza morza, płynących w górę wielkiej wody, jeziora Ontario i zapalić trzydzieści ognisk, na znak istnienia w puszczy wielkiej „kannaty”.

Ustawiono trzysta kół z suszącymi się skórami bobrów, w tym dwadzieścia niedźwiedziej futer. Na wysokich słupach

przy ujściu rzeki, zawieszono rytualne maski. Miały one odstraszać złe duchy, które mogły przybyć zewnątrz. Obok na wielkich kamieniach ustawiono czaszki niedźwiedzi i łosia szerokie łopaty dla informacji, że mieszka tu plemię leśnych Indian.

Stały też stojaki z suszonymi rybami, słonecznikiem, kukurydzą, dzikim ryżem i dzbany z wodą dla zachęcenia odwiedzenia Toronto przez blade twarze i równocześnie do wymiany przedmiotów przywiezionych przez wielkie canoe.

W jednym z largas zrobiono wystawę produktów wykonanych przez mieszkańców Toronto, a które miały być zamienione na metalowe noże, garnki i topory żelazne.

Było tam wszystko, co może służyć człowiekowi w puszczy. Wisiały koszule z delikatnej, jeleniej skórki, przetykane czarnymi włosami kobiet, wampумы, rzemyki z kłami wilków, niedźwiedzi, kościane noże, igły z ości dużych ryb, pięknie wykonane kasety z drzewa i skóry, piszczałki różnej wielkości, wiele bębnow, chochle do zupy z żółwich pancerzy i łyżki, rakiety śnieżne, liny, gliniane i kamienne garnki. Zawieszono na ścianach całą kolekcję fajek z drewna i z kamienia, kosze i wiele jeszcze wyrobów z trzciny i skór. Mokasyny miały swój „pawilon”, były różnej wielkości, wykonane z jednej skóry, a były i takie, które zamazywały ślady.

A jaką różnorodność żywności tu prezentowano - od wielkich dyń, żółtej kukurydzy, grochu, fasoli, do niezliczonej ilości suszonych ryb, pęcherzy z pemikanem, sproszkowanym mięsem, miodem klonowym i bobrowym sadłem.

Było też stoisko z ziołami, piżmem, sadłem gojącym rany i wydzieliną skunksa dla ukrycia zapachu człowieka w lesie. W jednym z narożników largas ustawiono łuki, strzały, pułapki na zwierzyne, a wszystko po to, aby nowi przybysze chcieli się w Toronto dłużej zatrzymać i wymienić swoje towary na przedmioty i indiańskie futra.

#

Zbuntowane załogi dwóch francuskich statków, które dobiły do brzegów Nowego Świata, opuściły ich pokłady po odkryciu kryształków pirytów, które wówczas uznano za złoto. Wyruszyły w puszcze, aby się wzbogacić.

Rzekę Świętego Wawrzyńca przegradzały kamienne progi i liczne wodospady, uniemożliwiając płynięcie wielkim statkom.

Dawni żeglarze Cartiera jakimiś dziwnymi dla siebie drogami przetransportowali wielkie łajby i popłynęli dalej w górę rzeki. Z czasem dołączyli do ekspedycji francuskich mnichów i handlarzy, poszukiwaczy skór, dla których futra były ważniejsze od złota. Mnisi szukali też miejsca na budowę stałej osady.

Na północy znikwały dawne Indiańskie kannaty – Standacona i Hochelaga. Wypierane przez Europejczyków szczepy Irokezów wędrowały na południe i wzdłuż Wielkiej Wody, a nad jej brzegami robiło się coraz ciasniej.

Nastał czas wędnięcia liści, kiedy około roku 1628 na przeciw ujścia rzeki, w promieniach zachodzącego słońca pojawiły się dwa wielkie, skrzydlate canoe. Nastrój w osadzie był doniosły i świąteczny. Zapalono ogniska, z dymu wyczarowano koła i kółeczka, warkocze snujące się nad osadą na znak przyjaźni i powitania.

Załogi obu statków były zdyscyplinowane. Marynarze już nie spodziewali się znaleźć złota, tylko chcieli zdobyć jak największą ilość skór za możliwe najmniejszą wartość przywiezionych przedmiotów oraz sporządzić mapy kartograficzne żyznej ziemi nad rzeką i jeziorem Ontario.

...Miejscowy szaman
Sunka Wakan, który
był zarazem lekarzem
i kapłanem.



...W jednym z wielkich casas-largas zapalono ognisko.



...Na wysokich słupach przy ujściu rzeki, zawieszono rytualne maski- miały one odstraszać złe duchy, które mogły przybyć zewnątrz. ...

Ekspedycja miała ze sobą dwóch indiańskich chłopców, tłumaczy z Hochelage, by nie było problemów w porozumiewaniu się ze starszyzną kannaty. Mnisi dobrze wiedzieli, że wielu wojowników, zresztą tak jak wszędzie gdzie tylko dobijali do brzegów, obserwowało ich zachowanie z ukrycia i gotowych było do wypuszczenia w ich kierunku zatrutych strzał. Nie dawali zatem żadnych oznak strachu, nie robili też zbędnych ruchów.

Niemal od początku wzbudzili w czerwonoskórych zaciekawienie, a później nawet przyjaźń.

Na łód pierwszy wyszedł ojciec Jakub. Znakiem krzyża powitał Indian, potem ukląkł i ucałował ich ziemię. Na dowód tego, że przybywają z misją pokojową przekazał starszyźnie trzy błyszczące, blaszane kotły do warzenia syropu.

Młodzi Indianie-tłumacze wyprowadzili z wielkich canoe dwa małe kucyki, napełnili wiadra wodą i im podali. Uroczyste powitanie zamieniło się w spontaniczną ciekawość indiańskiej młodzieży, która zebrała się chyba tu z całej osady i podziwiała zwierzęta.

Wcześniejsze uprzedzenia i podejrzenia znikły zupełnie. Żrebaki głaskano, a kiedy piękna Indianka o imieniu Chatto usiadła przy jednym z nich i go ucałowała, wszyscy zamarli z wrażenia.

Nastrój był wspaniały i uroczysty. Poproszono przybyśszów, do largas i pokazywano wszystko, co w osadzie posiadano.

Szybko też okazało się, że kupcy wolą stare skóry, najczęściej te noszone przez Indian na grzbietach zimą, chcieli też miękkie włosy bobrowe na filc do kapeluszy.

W końcu Indianie w ciągu kilku dni zamienili dziesiątki futer na przedmioty z brązu i ze stali. Zapelniono ładownie obu statków.

Handlarze zacierali ręce, na futra czekali kupcy i dwór w Paryżu. Był to intratny dla nich interes.

Mnisi dziwili się bardzo, że napotkali tu tak łagodnych, przyjaznych i gościnnych czerwonoskórych, stroniących od bójek i awantur, niepodobnych do tych z północy, wojowniczych Irokezów i Mohikanów. Plemię to znacznie różniło się od wędrujących koczowniczych Indian z głębi puszczy. Nie stroniło od nowego Boga, przywiezionego przez białych, choć głęboko wierzyli w swego leśnego Wielkiego Ducha.

Z wielką pokorą przyjmowali przybyszów, ale zdecydowanie sprzeciwiali się grasującym rabusiom i białym awanturnikom. Mnisi dokonali pomiarów kartograficznych nadbrzeżnych terenów, zrobili wiele szkiców, rysunków i map.

Dla ugruntowania przyjaźni najładniejszą i najodważniejszą kobietę plemienia – Hakiktwin, obdarowano ozdobami, a w jej czarne włosy wpięto diadem ze szklanych koralików.

Po dwóch tygodniach oba canoe białych odpłynęły, ku zadowoleniu Indian z Toronto i żeglarzy, którzy mieli w swoich ładowniach futrzaną fortunę

9. W KRÓLESTWIE SAGUENAY

Wielkim triumfem zakończyła się wyprawa mnichów, a ich wyczyn, w postaci skupionych wysokiej jakości skór i futer, rozszedł się wielkim echem po całej Nowej Francji.

Jedni zazdrościli zdobytej fortuny, innych zaś wyprawa ta zachęciła do popłynięcia w górę rzeki i penetracji głębi puszczy. Wszędzie węszyli dobry interes. W grę wchodziło już nie złoto, ale wartościowe futra.

Skutkiem tej pierwszej wyprawy było przede wszystkim pobudzenie umysłów ludzi żądnych przygody - włóczęgów, awanturników, szaleńców, którzy za króla, za futra, za złoto i za wiarę byli skłonni nawet oddać życie.

Bardzo poszukiwani stali się dobrzy przewodnicy, twardzi na trudy i klimat, traperzy, którzy umieli sporządzić z własnej obserwacji mapy i szkice terenów.

Byli to najczęściej ludzie, którzy zostali wyparci przez kolonizatorów amerykańskich na błota rozlewisk Missisipi. Nie mogąc się pogodzić ze swoim losem wygnańców włóczyli się po lasach i znali je dobrze. W końcu dołączyli do plemion Mississauga, Odżibwejów i Irokezów znad jeziora Michigan, a wielu z nich przekroczyło granice i zapuszczało się w głusze kanadyjskie, gdzie mieli zupełną swobodę i pędzili żywot leśnych ludzi.

Ze względu na przebyte setki mil i duże doświadczenie stawali się kopalnią informacji o bogactwach ukrytych w puszczech.

Indian zamieszkujących kannaty i Hochelagi dotąd uważano za nieśmiałych i wstydliwych, jednak o dobrym sercu i otwartej duszy. Przybyszy znaną z Missisipi charakteryzowała fantazja. Nigdy nie było wiadomo, kiedy mówią prawdę, a kiedy zmyślają. Za ich przyczyną głośno było o „Królestwie Saguenay”, w którym to za wielkimi wodospadami znajdować się miała kraina złotych kruszców, kopalnie srebra i plantacje indyjskich korzeni i przypraw.

Jeden z ich szamanów, który przybył znaną z jeziora Huron, pokazywał posrebrzany łańcuch z okrętowego dzwonu, twierdząc, że tego metalu, tylko w kolorze żółtym, w głębi lądu są niezliczone ilości. Ich kobiety noszą go codziennie: na palcach, we włosach, uszach i nosach.

W końcu biali uwierzyli w te fantastyczne opowieści, ale i te informacje postanowiono sprawdzić.

Ruszyły w puszcze liczne wyprawy, taborzy ciągnięte przez konie, traperzy, myśliwi, poszukiwacze skarbów.

Ruszyło też w górę rzeki dziesiątki wielkich łodzi. Penetrowały wszystkie ujścia rzek, odwiedzano indiańskie kannaty. Zakładano przy okazji misje katolickie i osiedla. Nad Ontario robiło się bardzo ciasno. Za to latyfundia w Nowej Francji traciły coraz więcej chłopów. Uciekali do puszczy zwabieni wizją szybkiego wzbogacenia.

Hojnie szafowano koniakami francuskimi, aby tylko zdobyć informacje o złocie i o futrach.

Na początku plemiona puszczańskie były dla przybyszów bardzo przyjazne. Przyjmowano ich ze starym, indiańskim zwyczajem, obdarowywano żywnością i miodem. Aby się przypodobać plemieniu biali wkładali na głowę przywódcy koronę ze szklanymi koralikami, a nawet przez jakiś czas mieszkali w ich wigwamach. Taka przyjaźń kwitła nawet przez wiele lat.

Jednak z czasem zaczęły pomiędzy białymi narastać konflikty na tle terenów łowieckich. Holendrzy, zaprzyjaźnieni z Irokezami, zaczęli dostarczać im dużej ilości broni palnej, a oni w coraz w większym stopniu ulegali kulturze i zwyczajom Europejczyków. Podobnie postępowali Anglicy i Szkoci. Przywódcom indiańskim dawano łapówki, aby wybierali pomiędzy ostrym koniakiem francuskim, a łagodnym rumem angielskim z Indii.

W jednym z Saguenay wprost zapytano, która woda ogniasta jest lepsza. Wybrano rum i Anglików, może dlatego, że mieli lepszej jakości wyroby. Rum jednak znacznie przyczynił się do wyparcia Francuzów z wielu obszarów kanadyjskiej puszczy, a wojownicy irokescy wydatnie utrudniali im handel futrami. Francuzom mówiono: jedźcie szukać złota na północy, w kanadyjskiej bieli, a nas zostawcie w spokoju. Indianie napadali i palili stacje misyjne, niszczyli wszelkie ślady katolicyzmu i nowej religii i wszystko to co było związane z ekspansją Francuzów.

W puszczy, w obawie przed napadami wojowniczych Indian, budowano nowe i trwalsze stacje, silne przyczółki i wartownie pilnowane przez wojsko. Pozwalano na samowolne polowania i pozyskiwanie skór i futer. Zaczęła się szerzyć anarchia, często była używana broń.

Odtąd na całym ontaryjskim brzegu słychać było odgłosy uderzeń toporów i jęków walących się drzew. Budowano drogi, chaty myśliwskie, nad rzekami stacje i porty.

Ginęło coraz więcej Indian, broń stała się najbardziej poszukiwanym towarem w puszczy i zaczęła trafiać do rąk czerwonoskórych. Chętnie używano jej we wszystkich awanturach, konfliktach o tereny łowieckie i ziemię. Wspomagała je rywalizacja Anglików i Francuzów o zdobycze terytorialne Nowego Świata.

Prysnął jak bańka mydlana mit o bogatym Królestwie Saguenay. W puszczy znaleziono zaledwie kilkadziesiąt osiedli, wi-

gwamów i tipi. Wszędzie panował prymityw, a zdobycze europejskiej cywilizacji były chętnie przyjmowane przez Indian.

Biali przybysze od czerwonoskórych mogli zaledwie wziąć szybkie łódki, osławione canoe, rakiety śnieżne, nauczyć się produkować miód, wyprawiać skóry, polować i konserwować mięso. Wszystko, co przywieźli biali, było potrzebne i chętnie przyjmowane przez Indian w puszczy - od siekier, pił i noży, do koców i garnków włącznie.

Zaczęły się sprawdzać słowa Wielkiego Proroka, stróża „bóstwa kamiennego kręgu” Czarnej Wrony. Mówił on, że od ucisku i chciwości białych twarzy plemiona Indian znikną jak znika śnieg w promieniach słońca i od podmuchów ciepłego wiatru.



10. EXODUS KANNATY TORONTO

Nastał czas zbiorów. Czerwone liście drzew pokrywały resztki dawnej puszczy nad jeziorem Ontario, a po lasach snuły się jesienne mgły. Wszędzie panował smutek i żal po wiekowych borach, dawniej zasobnych w bobry i niedźwiedzie.

Jesienią do Toronto przy płynęły barki z żołnierzami, którzy mieli zbudować tam fort i ugruntować dominację Francuzów wzdłuż zachodniego brzegu tego wielkiego jeziora. Była połowa siedemnastego wieku i kulminacyjny okres ekspansji Paryża na terenach dzisiejszej Kanady.

Wszystkie informacje mówiące o świetnie prosperującej osadzie na samym brzegu jeziora wydawały się chybione. Ze stu domów i wigwamów, zamieszkałych przez Indian w dawnej osadzie, nie pozostała nawet połowa.

Było niewielu ciekawskich mieszkańców, którzy przyszli zobaczyć, kto do nich przy płynął. Sprawiali wrażenie ludzi biednych, nieszczęśliwych i zawiedzionych.

Pełne wcześniejszej świetności i ciekawej architektury osiedle, z wysoką palisadą i kolistym amfiteatrem, zostało splądrowane i spalone, a wiele budynków chyliło się już ku ziemi. Z brzegu jeziora można było zobaczyć wyraźnie ogrom zniszczenia, jakiego dokonali biali przybysze.

Pod ostrzami siekier legły wiekowe wieżyce jodeł, świerków i kanadyjskich cedrów, czerwonych jesienią klonów i amerykańskich dębów. Niegdyś wspaniała puszcza zamieniła się w step, pokryty gąszczem krzaków, malinisk i cierniowych pnączy. Poprowadzono przez niego liczne drogi, na błotach ustawiono drewniane przeprawy i pomosty z dawnej palisady i rozebranych ogrodzeń osiedla.

Obok nich pobudowano wiele szałasów myśliwskich i chat traperskich. Wały się tam stopy białych kości niedźwiedzi, łosi, kojotów i bobrów, zalegały hałdy ścinek kory, przegniłe trzciny i stogi zbutwiałego siana. Panował potworny zaduch rozkładającej się padliny, a nad tym wszystkim unosiły się stada kruków kraczących przygnębiająco.

Od wielu już lat nie uprawiano słoneczników, dyni i tytoniu. Sady jabłkowe i brzoskwiniowe zarosła puszcza.

Rzeka również była zaśmiecona. Zatopiono w niej wiele canoe i tratw. Do niedawna pływały tam olbrzymie łososie i stadami zaglądały do jej ujścia. Indianie chwyтали tu ponad trzydzieście - kilogramowe muskonnongi, po których teraz pozostało już tylko wspomnienie.

W głębi puszczy też nie było lepiej. Bobry wytępiono jeszcze parę lat wcześniej, podobny los spotkał łosie i króla ciemnych mateczników - potężnego niedźwiedzia.

Indianie nie mieli już czym handlować, nie było futer, syropu klonowego, tytoniu, sproszkowanego mięsa i ozdób z kłów niedźwiedzich. Najgorsze, że nie mieli co jeść. Ginęli z głodu i od chorób przywleczonych przez białych przybyszów.

Obok osady, na dawnym uprawnym polu, przybywało coraz więcej brzoźowych, białych krzyży.



...Jednak cały czas w drodze powrotnej Hakiktiwin miała opuszczoną głowę i ciężko jej było na sercu. ...



...Wcześniejsze uprzedzenia
i podejrzenia znikły zupełnie. ...





..., a kiedy piękna Indianka o imieniu Chatto usiadła przy jednym z nich i go ucałowała, wszyscy zamarli z wrażenia. ...
wg. B. Hampton.



...Stały też tam dwa totemy,
w kształcie słupów,
jeden z plemienia Saugenn
z czerwonym ptakiem,
cały ozdobiony rzezbami. ...





...Mieszkańcy dawnego Toronto w zagubionym w puszczy sanktuarium wykuli na „mówiących kamieniach” swą kilkuwiekową historię. ...



... Obok osady, na dawnym uprawnym polu, przybywało coraz więcej brzozowych krzyży...

Budowniczych fortu los czerwonych braci nic nie obchodził. Na ich oczach niegdyś wielka osada, tętniąca życiem, zniknęła z dna rzeki i jeziora.

Nawet było to Francuzom na rękę.

– Indianie nie będą stwarzać problemów – spekulował inżynier Markiz de Barch. – Żołnierze przestaną wnosić dla nich alkohol.

Spodziewano się srogiej zimy. Trzeba było przygotować zapasy, a nie zajmować się tymi biedakami.

Kurierzy, którzy docierali znanymi drogami, mawiali, że „Indianie z białymi, nigdy nie mogą żyć razem w pokoju”, a nie mówiąc do hatamitaneo (żołnierzy-psów) jeszcze bardziej pogłębiała przepaść pomiędzy nimi.

W Ameryce nastał czas regularnych wojen, potyczek partyzanckich. Byli zabici i ranni. Wciągano w rozgrywki Indian i osadników, wszędzie kręcili się szpiedzy i donosiciele. Wydawało się, że konflikt ten stał się osobistym pojedynkiem pomiędzy Markizem de Montacolm, stojącym na czele sił francuskich i generałem brytyjskim Jamesem Wolfe.

W wyniku zdrady generał Wolfe wygrał bitwę na Polach Abrahama pod Quebec, ale zwycięstwo przepłacił życiem. Zginął też Markiz de Montacolm.

Późną jesienią Plemienna Rada zebrała się po raz ostatni i podjęła decyzję jedyną z możliwych: opuszczenia wiosną następnego roku kantonu Toronto i udania się z resztką czerwonych braci do Kraju Wielkiego Boga Indian, na wyspę Manitoulin.

Przedsięwzięcie było ogromne i niezwykle odpowiedzialne, z powodu wielkiej odległości i zdradliwych bagien, a także wojowniczych band grasujących po puszczy. Przede wszystkim musiano przeprawić się przez wzburzone wody jeziora Huron.

W wyniku zwycięstwa na Polach Abrahama Brytyjczycy odkupili od Indian budowany przez Francuzów blisko czterdzie-

ści lat fort Toronto, wówczas już osadę i w roku 1793 ogłosili ją stolicą Górnej Kanady.

Zacierali ręce z tej nowej zdobyczy uzyskanej bez wojny, bez specjalnego wysiłku. Za przyzwoitą cenę kupiono ważną i strategiczną osadę stanowiącą dobry przyczółek do blokowania ekspansji Paryża na południe i wzdłuż niziny rzeki Św. Wawrzyńca. Odtąd całe zachodnie wybrzeże jeziora Ontario włączone zostało do Korony Brytyjskiej.

W miejscach dawnych indiańskich osad jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać osiedla i miasta białych osadników.

Wszystkich, którzy wcześniej sprzyjali Francuzom, nie oszczędzano. Uciekali w popłochu do Quebecu i na wyspy rozsiane po jeziorze Huron. Niszczono katolickie misje i kościoły, usuwano kulturę Francuzów.

Mieszkańcy dawnego Toronto w zagubionym w puszczy sanktuarium Petroglyphs wykuli na „mówiących kamieniach” swą kilkuwiekową historię, przypominającą ich leśnych bogów. Tam właśnie, nad jeziorem Stoney, znajduje się 900 piktogramów, powstałych i stopniowo dorysowywanych od tysiąca do pięciuset lat temu na skale noszącej nazwę Taching Rock.

Jest ona wciąż na nowo odczytywana, gdyż stanowi świadectwo zaginionej kultury tych tak ciężko doświadczonych przez los indiańskich plemion.

11. MARSZ WIELKIEJ NADZIEI

Toronto - „indiańskie miejsce spotkań”, było znane od zarania dziejów w puszczech i na całym zachodnim wybrzeżu jeziora Ontario - od „grzmiących wodospadów” Niagary, aż do Hechelage (dzisiejszy Montreal), a nawet i dalej. Wiedziano o tym „miejscu spotkań” we wszystkich kannatach i w Saguenay, wzdłuż całej Niziny Rzeki Świętego Wawrzyńca.

Tam właśnie wiele szczepów, najpierw Huronów i Algonquinów, a potem Irokezów, Mohikanów, po zepchnięciu ich z północy, prowadziło ważne debaty.

W czasach późniejszych w Toronto spotykali się Massasauga, Odżibwejowie, Czipewejowie, a nawet Ottawianie, Wendat i jeszcze wiele mniejszych plemion. Tu zapadały ważne decyzje dla wielu rozproszonych po puszczy „wędrujących klanów” indiańskich. Ponadto w amfiteatrze tej kannaty na przestrzeni wieków przyjmowano ważnych wodzów i przywódców plemion z południa i północy Ameryki.

Po raz pierwszy w roku 1497 rozważano tam skutki przypląnięcia na kontynent północnoamerykański Cabota, żeglarza na usługach Korony Brytyjskiej, później Cartiera w 1534 roku, który objął nowe ziemie w posiadanie króla Francji.

Tam też odbywały się debaty i zapadały decyzje w sprawach wojny i pokoju. Ale to było już dawno temu.

Ostatnia debata, w połowie XVIII wieku, była poniżająca i jakże mocno raniła serca Indian. Kłamstwo, przemoc i niedostatek zmusiły ich do dobrowolnego opuszczenia ziemi, nadanej im przez Stwórcę po wsze czasy. Nie opuszczali jednak kannaty Toronto, ale osiedle York, w którym Francuzi zdążyli już wybudować fort nad ich rzeką i osadę z czterema ulicami na krzyż.

Sprzedanie Anglikom ziemi, wraz z osiedlem noszącym jakże obcą dla Indian nową nazwę, jeszcze bardziej ich upokorowało i kompromitowało. Nie tylko zabrano im ojcowiznę, ale próbowano udowodnić, że mieszkali na nie swojej ziemi, w osadzie o nazwie York, nazwanej tak przez blade twarze.

Odtąd ziemi te nie miały mieć niczego wspólnego z ich indiańską przeszłością i dawną kulturą, a przyjaźń do przybyszów zza morza została ostatecznie zniszczona i pogrzebana.

Indian zaczęto przedstawiać, jako bandy czerwonoskórych dzikusów skalpujących białych osadników. Wykarczowano lasy, wyłowiono ryby, wybito bobry i niedźwiedzie, a ziemię wykupiono, często w czasie alkoholowych libacji.

Nadeszły czasy najtragiczniejsze dla wielu plemion, w tym i dla tych z Toronto. W osadzie, w czasach swej świetności liczącej nawet czterysta dusz, pozostało teraz już tylko z sześćdziesiąt osób, w tym dzieci i starcy.

Na przywódcę grupy, która miała dotrzeć jeszcze przed zimą do Kraju Wielkiego Manitou i Wyspy Szczęśliwych Indian, wybrano pierwszego pasterza łaciatych bizonów Sprytną Łasicę, młodego, silnego Irokeza, który przed laty w potyczce z Mohaw-

kami został wzięty do osady i po latach ożenił się z Minacontą, śliczną, czarnowłosą córką plemiennego szamana.

W czasie, kiedy „dzikie gęsi zrzucały puch”, a „drzewa zaczynały się zielenić”, Sprytna Łasica z bólem serca żegnał Toronto. Szaman odprawił swoje zaklęcia, okadził dymem głązy z tajemniczymi znakami i wykutą na nich historią kannaty, poczym zepchnięto je do głębokiego dołu i zakopano po wieczne czasy.

Wierzono, że kiedyś, po latach, te „mówiące kamienie” i ten ich cmentarz ojców uproszą Stwórcę Indian, by wypędził z ich osady blade twarze. Oni zaś w blasku chwały powrócą do borów pełnych zwierzyny, do lasów cukrowych, sadów brzoskwińowych i rzek pełnych muskonnogów. Będą tu żyć jak dawniej, jak ich ojcowie, nad wielkimi wodami Ontario.

Tej nocy Sprytna Łasica nie spał, miał głowę pełną myśli, które nie dawały mu spokoju. Głęboko analizował informacje otrzymane od wędrownych Indian o Wielkim Manitou i jego wyspie, na której Indianie żyli w spokoju i byli szczęśliwi. Wiedział też, że wodzowi temu pomaga Biały Ojciec z Waszyngtonu, słuchają go władze francuskie w Quebecu i Montrealu, Brytyjczycy z Niagary, a nawet z graniczących stanów Pensylwanii i Michigan. Głęboko wierzył, że i jego plemię otrzyma pomoc i ochronę przed uciskiem kolonizatorów.

Jeszcze przed świtem wysłano dwóch doświadczonych zwiadowców do przecierania trasy przemarszu. Mieli zabezpieczać i wyszukiwać w puszczy najdogodniejsze przejścia i przeprawy przez rzeczne progi, likwidować zagrożenia i powiadamiać o tym wędrujące plemię.

Zwiadowcy mieli posuwać się wzdłuż koryta rzek, dwie, trzy mile przed kolumną i oznaczać trasę zwitkami bobrowej wełny.

Pierwszy etap miał trwać dwa pełne księżyce i prowadził wzdłuż rzeki Nottewasaga i Brzęczącej Szpilki, aż nad jeziora Srebrne i Wydry.

Kiedy pomarańczowa kula słońca zawisła nad wodami Ontario, Sprytna Łasica dał znak do opuszczenia Toronto. Wozy, ciągnięte przez konie, dwa stada łaciatych bizonów i z pięć sfor psów, kobiety z bagażami na plecach pochłaniała puszcza.

Śnieżna Sowa i Mały Koń na swoich kucykach jeździli wokoło bacząc, by transport wędrował spokojnie i bez żadnych przeszkód. Tam gdzie cokolwiek hamowało przemieszczanie się szczerpu byli obecni i pomagali w bezpiecznym marszu.

Po dwóch dniach zwiadowcy donieśli o przesuwającej się kolumnie osadników, którzy z Toledo i Detroit ciągnęli na północ. Indianie starali się być dla nich niewidoczni. Już drugiej nocy udało im się niepostrzeżenie odbić bladym twarzom dwa małe koniki. Zasiliły one karawanę Sprytnej Łasicy. Znaleźli też porzucony wóz, który po naprawie pozwolił na transport bagażu, chorych i dzieci.

Noce w puszczy stawały się niespokojne. Ciągłe było słychać huk wystrzałów, częste hałasy i bijatyki, znajdowano porzucone obozowiska, zarówno białych, jak i Indian.

Przesuwali się korytami rzek tak cicho, jak było to tylko możliwe, aby nie zwracać na siebie uwagi. Pod wieczór rozkładano skóry, budowano prymitywne tipi, a rankiem wszystko ponownie ładowano na wozy i odjeżdżano.

Indianie mieli parę sztuk broni palnej, kupionej od białych za skóry, ale Sprytna Łasica zakazał jej użycia.

Śnieżna Sowa razem ze swoim przyjacielem zdążyli już upolować w puszczy dwa białe ogoniaste jelenie i cztery indyki, w pułapki chwycili też zająca, a z gniazd gęsi wybrali sporo jaj.

Już nie dokuczał im głód, a młodzież zachęcona myśliwskimi wyczynami starszych braci, nacinała drzewa klonowe i do brzoźowych kubków spuszczała syrop, w którym gotowano mięso. Robiono zapasy na drogę.

O tej porze wiosna w puszczy wybuchała zielenią i orgią barwnych kwiatów. Po srogiej i długo trwającej zimie wszystko w pośpiechu budziło się do życia. Zakwitały setki storczyków, dywany trujących zawilców, niebieskich dzwoneczków i różowych naparstnic.

Wśród martwego lasu i starych konarów drzew wygrzewały się w słońcu jadowite grzechotniki. Na nie to też musiano bardzo uważać. W parne wieczory na bagnach słychać było śpiew żab, przypominający do złudzenia głosy naszych słowików.

Indiański tabor bezpiecznie posuwał się do przodu, nie zwracając uwagi zarówno na osadników, jak i na innych czerwonych braci. Kilkakrotnie napotymano białych poszukiwaczy bobrów, którzy musieli szukać ich coraz głębiej w lasach.

Kiedy nadeszła pora upałów, a parne, gorące powietrze przenikało do puszczy i oblewało twarze potem, Sprytna Łasica dotarł nad jezioro Srebrne i tam rozbił swoje tipi, tuż obok wigwamów bratnich plemion Nawash i Saugeen.

Tam dowiedział się o utworzeniu rezerwatu dla Indian nad jeziorem Huron.

Brytyjczycy podpisali w roku 1854 traktat pokojowy z Indianami, zmuszając ich do oddania terenów na półwyspie Bruc Peninsula i w przyległych puszczech. W wyniku tego czerwono-skórzy otrzymali na własność sześć działek ziemi, z których tylko cztery miały pozostać pod ich zarządem.

Z wielkim niepokojem i kołataniem serca przyjmował Sprytna Łasica wiadomości o zamknięciu Indian w rezerwach. Z uwagą i opuszczoną głową wysłuchiwał słów przywódcy plemienia Saugeen - Księżycowego Ptaka, który informował o tych wydarzeniach i niesprawiedliwości, jaka spotkała Indian.

O tym jak Brytyjczycy dotrzymywali podpisanych umów niech świadczy fakt, że wybudowali po latach na cmentarzu plemienia Saugeen olbrzymi amfiteatr, skąd rozciąga się wspaniała panorama na dolinę rzeki o tej samej nazwie. Dawne miejsce kultu i zadumy nad indiańską historią stało się dzisiaj atrakcją turystyczną.



12. PONTIAC I TECUMSEHA

Letni gorący poranek nad jeziorem Srebrnym wcale nie zapowiadał pogodnego dnia dla Indian, którzy oczekiwali na bliższe i doniosłe wydarzenia.

Nigdy dotąd na zachodnim brzegu jeziora nie stało tyle skórzanych i płóciennych tipi, czy wigwamów, nie było tylu dogasających ognisk i uwiązanych do drzew koni.

Pola namiotowe tworzyły jakby osobne królestwa, po których tego ranka biegała dzieciarnia i obozowe kundle. Oczekiwano na ważną, plemienną naradę starszyny w środkowym, wyróżniającym się namiocie, który dla powagi obrad ozdobiono rytualnymi maskami „fałszywych twarzy”, mających uzdrowicielską moc mądrości. Stały też tam dwa totemy w kształcie słupów, jeden plemienia Saugeen z czerwonym ptakiem i żółtymi oczami, cały ozdobionymi rzeźbami ryb i canoe na falującym jeziorze. Drugi należał do plemienia przybyłego z kanny Toronto. Rzeźby na nim obrazowały rodzinę bobrów i łby niedźwiedzi oraz łosi.

Nieopodal ustawiono „dom pocenia się” (saunę), w którym szamani leczyli wszelkiego rodzaju choroby, ale przede wszystkim służył do przywracania dobrego samopoczucia podróżnym.

Robiono wszystko, aby godnie przyjąć gości i przygotować się do jutrzejszego spotkania z wielkim wodzem z plemienia Ottawa, Indianinem noszącym imię Pontiac i jego następcą Tecumsehą.

Sędziwy Pontiac był twórcą zjednoczenia wszystkich plemion zamieszkujących Krainę Wielkich Kanadyjskich Jezior. W sercu nosił nadzieję, że uda mu się wspólnymi siłami wyprzeć kolonizatorów za jezioro Huron i nawet za rzekę Tahquamenon.

Był to decydujący okres w życiu Indian, który miał zaważyć na wiele lat o istnieniu i dalszym przetrwaniu plemion na terenach wschodniej Kanady.

Zachowanie kolonizatorów wobec nich, z początku przyjazne, w miarę napływu nowych osadników stawało się nie do wytrzymania. Członkowie szczepów rozsianych po puszczy ginęli w potyczkach z białymi, a odbieranie im ich własnej ziemi stało się codzienną praktyką.

Indianie wierzyli, że ziemia pochodzi od Wielkiego Ducha i jest tak wielka, nieograniczona, jak niebo nad nimi. Nie jest też własnością człowieka białego.

-Czemu ich Bóg każe niszczyć Indian, ich kulturę i dotychczasową mądrość - zastanawiało się wielu indiańskich wodzów. Przecież do niedawna traktowaliśmy kolonistów jak bezradne dzieci, dzieliliśmy się z nimi kukurydzą, pokazywaliśmy gdzie i jak łowić ryby, pomagaliśmy przetrwać pierwsze zimy. Wiosną dostarczaliśmy im nasiona fasoli, słonecznika, dyni i tytoniu, uczyliśmy karczować lasy i uprawiać ziemię. W zamian najczęściej dostawaliśmy haczyki na ryby i szklane koraliki, a mimo to byliśmy szczęśliwi. Dzisiaj wszystko się zmieniło. Całymi dniami płyną karawany z białymi na północ, siejąc strach i nienawiść do Indian.

Z jednej strony zwykła ludzka sprawiedliwość nakazywała Sprytnej Łasicy i Nocnemu Ptakowi, przywódcom szczepów koczujących nad jeziorem Srebrnym, że powinni żyć z bladymi twa-

rzami w zgodzie i pokoju. Z drugiej strony niecne praktyki, stosowane przez kolonizatorów wobec ich braci, nie dawały im spokoju i obciążały ich sumienia.

Chcieli po raz ostatni zawierzyć białym, ale najpierw upewnić się co powie Pontiac, wielki wódz zjednoczonych Indian. Co sądzi o sprawiedliwości głoszonej przez białych ojców, o braku poszanowania ich ziemi, uniemożliwianiu im polowania w puszczy i łowienia ryb w rzekach.

Następny dzień niczym nie różnił się od poprzedniego- znów rozgrzane powietrze, płynące z nad Zatoki Meksykańskiej i opary z jeziora Ontario głęboko przenikały do wnętrza puszczy i uniemożliwiały oddychanie. Należało głęboko ukryć się w cieniach szerokich, cedrowych gałęzi, aby przeczekać żar płynący z niebios.

Jednak z tego dobrodziejstwa nie wszyscy mogli skorzystać, bo w Wielkim Domu Nocnego Ptaka toczyła się od brzasku ważna narada starszyny plemiennej. Przybyło na nią dziesięciu indiańskich wodzów z całego obszaru Wielkich Jezior Kanaadyjskich.

Nocny Ptak przyjmował tam legendarnego wodza zjednoczonych plemion indiańskich Pontiac i jego następcę Tecumsehę oraz wiele innych ważnych osobistości.

Po zwyczajowej ceremonii powitalnej, niemal od samego świtu toczyły się obrady, a miejsce spotkania było silnie strzeżone przez indiańskie straże.

-Bóg pogniewał się na plemiona indiańskie, zamieszkujące Wielkie Jeziora i nasłał wiatr bladych twarzy - mówił sędziwy wódz Pontiac. - Pogniewał się na kannaty, hochelagi i Sagueny, wszystkie drzewa, rzeki, jeziora i spowodował, że na naszych oczach wszystko to zaczęło ginąć. Mój następca, Tecumseha, przewidział rychłą zgubę wszystkich Indian. Te słowa przekazał mu we śnie wódz Matacona, a były one wypowiedziane przez Wielkiego Manitou, który też przepowiedział zagładę wielu plemion. Przybyliśmy do was, aby

potwierdzić naszą wolę porozumienia z bladymi twarzami. Głęboko wierzę w pokój między nami i takie pragnienie ma moje serce. Jestem jednak już stary. Odpowiedzialność za spokój mych braci i za ich pomyślność podejmie mój następca, Wielki Tecumseha z plemienia Szunisów.

Ponad połowę wodzów oklaskami poparła tę decyzję Pontiac. Znów dym z kamiennych fajek zasnuł wnętrze Wielkiego Domu.

Zrobiło się bardzo duszno, mimo że otwarto na oścież wywietrzniki i czekano na słowa Tecumsehy.

Jak przystało na wodza następnej generacji, miał on poglądy bardziej radykalne, niż Pontiac. Dziś by można powiedzieć, że należał do „indiańskich jastrzębi”. Stawiał przed sobą tylko jeden ważny cel: zabezpieczenie indiańskiej ziemi przed przejmowaniem i inwazją białych osadników.

Z wielkim niepokojem przyjmował wieści o planach utworzenia przez białych rezerwatów dla jego czerwonych braci i zamknięcia ich na skrawkach ich własnej ziemi.

Pamiętał o okrucieństwach białych, o wciąganie Indian w ich wewnętrzne rozgrywki. Przestrogą dla niego była wcześniejsza koronacja Wodza Matacona na króla Filipa, który poprowadził swych czerwonych braci do wojny przeciw białym, w imię uniknięcia zagłady indiańskich plemion.

Filip został zabity, a jego głowę z ironią wystawiono na widok publiczny, zaś żonę z dziećmi sprzedano w niewolę.

Zebrani wodzowie nie mogli zrozumieć, dlaczego Bóg pozwolił im być wolnymi, wędrować ciągle za zwierzyną po puszcach, a nagle mają być przetrzymywani w rezerwach niczym w klatkach.

Tecumseha przebywał wiele czasu w Quebecu, gdzie miał duże wpływy i znajomości we francuskich garnizonach wojsko-

wych. Przywiózł na obrady ważne zapewnienie Francuzów o wydatnej pomocy, szczególnie zaopatrzeniu Indian w proch i strzelby.

Decyzja o stawieniu zbrojnego oporu białym kolonistom dojrzewała od wielu lat, w końcu trafiła na podatny grunt wśród zamieszkujących Wielkie Jeziora Huronów i Algonquinów.

Niepokojono się jednak postawą wobec nich sąsiednich plemion irokeskich, uzbrajanych przez Holendrów i Anglików, wrogo usposobionych do francuskiej eksploracji kontynentu, do budowy na tych terenach misji katolickich.

Ostatecznie podjęto decyzję o zbrojnym oporze przeciw kolonizatorom brytyjskim i zabezpieczeniu ziemi indiańskiej przed zaborem białych twarzy.

W puszczy panował środek lata. Szaman na zakończenie obrad zorganizował Taniec Słońca, przy którym błagał opiekuńcze duchy o pomoc dla Tecumsehy. Śpiewał także błagalne modlitwy za wojowników obu plemion.

Na zakończenie odbyły się wspólne polowanie. Było ono bardzo precyzyjnie przygotowane, ale raczej pod kątem wojskowym, a nie jak zwykle polowanie na niedźwiedzie.

Każdy otrzymał specjalne zadanie. Do puszczy wysłano zwiadowców, których asekurowali wojownicy z obu plemion. Dla kobiet przewidziano pakowanie na wozy i na travois (sanie) całego dobytku oraz likwidację obozu, włącznie z maskowaniem miejsca pobytu.

Młodzież zaprawiała się w strzelaniu z łuków, rzucaniu oszczepami i wydmuchiowaniu zatrutych strzał.

Przygotowywano się do decydującej bitwy z białymi kolonizatorami przy ujściu rzeki Wabash pod Detroit i na bagnach zatoki, noszącej dziś nazwę wielkiego wodza Tecumsehy.

Wielki ten wódz popełnił jednak błąd zawierając przymierze z Francuzami, gdyż w decydującym starciu wycofali oni swą pomoc dla „peaux-rouges” (czerwonoskórych).

Śmierć Tecumsehy położyła kres wyzwoleniczym marzeniom Indian znad Wielkich Kanadyjskich Jezior.

Od tego czasu karawany z białymi osadnikami mogły bez przeszkód płynąć na północ kontynentu, gdzie zakładali swoje farmy w kanadyjskiej tajdze i na dalekich preriach.

13. KLĄTWA SZAMANA

Nieszczęście, jakie dotknęło Indian znad Wielkich Jezior, miało brzemienne następstwa dla większości plemion rozsianych po puszczech. Na całe wieki zahamowało rozwój indiańskiej cywilizacji.

Przegrana bitwa i niesprawiedliwość, jaka spotkała bohaterskie plemiona, walczące o wolność i jeszcze do dzisiejszego dnia obciąża sumienia białych kolonistów.

Po klęsce poniesionej nad rzeką Wabash przez konfederację plemion indiańskich pod wodzą Tecumseha i jego brata Tenskawatwy, w bitwie z oddziałami wojsk amerykańskich, skończyły się nadzieje na odzyskanie przez Indian wolności i swoich ziem.

Klęska była druzgocąca. Wszystkie wysiłki Pontiac i Tecumsehy dla odzyskania niepodległości prysły jak bańka mydlana. A kiedy poległ w bitwie pod Thomes w Kanadzie sam legendarny Tecumseha, skończyły się także marzenia o wolności i własnych, indiańskich terytoriach.

Wśród pozostałych przy życiu czerwonoskórych bojowników krew burzyła się na wieść o klęsce. Teraz twierdzili, że ich życie stało się zbyt ciężkie. Kryli się po zakamarkach najodleglejszych zakątków puszczy, znikli zupełnie z oczu białych osadników.

Jednak zanim do tego doszło, indiański szaman, zwany Prorokiem znad Wielkich Jezior, zdołał zebrać swoich czerwono-

skórych braci na wyspie Walpole, w miejscu dzisiejszego rezerwatu Indian. Wśród dziesiątków tipi, wigwamów i largas rozpalono wielkie ognisko, z którego smolisty, przerywany dym unosił się nad puszczą i jeziorem Clair, aż po jego drugi brzeg. Obwieszczał wszystkim mieszkańcom lasów żalobę i klęskę konfederacji indiańskich plemion.

Na centralnym placu kanny odbywała się niecodzienna uroczystość. Wojownicy, którzy przeżyli bitwę, ubrali maski czarowników i „fałszywe twarze”. Pomalowani byli w czerwono-czarne paski, odziani w skóry wilków, jeleni i szopów. Niektórzy wsadzili nawet na głowy czaszki niedźwiedzi, jeszcze inni łby jeleni, łosi i rozpoczęli taniec klęski.

Palono dużo tytoniu, a nad placem unosił się duszący dym z wysuszonych ziół, który odurzał.

Kiedy już wydawało się, że wszyscy zapomnieli o poniezionej klęsce, Wielki Prorok stanął na rytualnym „mówiącym kamieniu” i oznajmił tym, którzy go słuchali oraz zwierzętom, lasom, rzekom i jeziorom, że Wielki Manitou polecił mu przekazać swoje myśli.

Naraz szaman wydał się wielki i straszny, wzrok swój utkwił w zapadającej się w jezioro czerwonej kuli słońca, z kamiennej czarki wypił miksturę z niedźwiedziej żółci i ochrypłym

– Ja, Wielki Prorok z plemienia Shawnee znad Wielkich Jezior, rzucam na blade twarze największą Klątwę Manitou, w szczególności na te głosem przemówił: osoby, które przyczynili do naszych nieszczęść i unicestwienia pierwszego narodu żyjącego na tych amerykańskich ziemiach! Rzucam klątwę na Białych Ojców i prezydentów Stanów Zjednoczonych odpowiedzialnych za naszą klęskę! Odtąd śmierć przez sto lat będzie dopadać każdego prezydenta USA, który zostanie wybrany i obejmie władzę w roku kończącym się zerem!

Jego czerwoni bracia wiedzieli, że Wielki Prorok nie rzuca słów na wiatr. Dotąd jego wszystkie zaklęcia i przepowiednie się spełniały. Miał moc uzdrowicielską, zwierzęta były mu posłuszne, uśmierzał ból, odwracał tornada i zatrzymywał pioruny.

Rozgoryczeni i załamani czerwonoskórzy przyjęli słowa Proroka z wielką ulgą i z zadowoleniem rozeszli się w spokoju.

Klątwa zaczęła działać i miała się sprawdzić już niebawem, kiedy biali świętowali swoje zwycięstwo i likwidację ostatniej przeszkody do zasiedlania coraz to nowych indiańskich terenów. Nawet nie przypuszczali, jakie nieszczęście zesał na nich indiański czarownik znad Wielkich Jezior, ile kłopotów i hańby przysporzy Ameryce, ile razy zwycięzcy Tecumsehą będą musieli klękać na kolana przed Wielkim Manitou i błagać o przebaczenie oraz o cofnięcie klątwy.

1840 rok. Prezydentem został William Harrison. W czasie zaprzysiężenia, 4 marca, pogoda była deszczowa, a zimny wiatr dmuchał z północy. Prezydent przemawiał przez półtorej godziny, bez czapki, mokry i zmarznięty. Przeziębził się i po kilku tygodniach zachorował na zapalenie płuc. Zmarł po miesięcznej prezydenturze.

1860 rok. Wybrano prezydentem Abrahama Lincolna, późniejszego bohatera wojny secesyjnej, ojca wolności dla Murzynów w USA. Po zakończeniu wojny domowej Lincoln zastrzelono 14 kwietnia 1865 roku.

1880 rok. Zwycięstwo w wyborach prezydenckich uzyskał James Garfield. Zastrzelony na stacji kolejowej, zginął po jedenastu miesiącach urzędowania.

1900 rok. Na początku drugiej kadencji prezydenckiej William McKinley został raniony dwoma strzałami i zmarł. Zamachowcem był Leon Czolgosz, Amerykanin polskiego pochodzenia.

1920 rok. Warren Harding wygrał prezydenturę. Zmarł na grypę.

1940 rok. Zwycięzca wyborów prezydenckich w latach 1932, 1936, 1940 i 1944 -Franklin Delano Roosevelt zmarł po wylewie.

1960 rok. Na siódmym miejscu indiańskiej klątwy znalazł się John F. Kennedy, zastrzelony w mieście Dallas.

1980 rok. Wybory wygrał Ronald Reagan. 31 marca 1981 roku stał się ofiarą nieudanego zamachu. Pocisk wystrzelony do niego utkwiał obok serca. Mimo późniejszych komplikacji przeżył całą prezydenturę.

Wydaje się, że dzięki Ronaldowi Reaganowi indiańska klątwa Wielkiego Proroka przestała działać i straszyć raz na zawsze prezydentów Stanów Zjednoczonych.

14. ŻĄDANIA PIERWSZYCH LUDÓW

Po klęsce nad rzeką Wabash i śmierci Tecumsehy kolejnym kanadyjskim rządom było już łatwo uzyskać kontrolę nad stale zmniejszającymi się grupami Indian. Natychmiast przystąpiono do tworzenia rezerwatów. Zaplanowano ich na terenie Kanady ponad dwa tysiące czterysta.

Przywódcom plemion zaczęto tłumaczyć korzyści i przywileje, jakie otrzymają, a zwłaszcza zagwarantowanie im ochrony przed samowolą i wykorzystywaniem przez białych osadników.

Władze były konsekwentne i stanowcze. W utworzonych rezerwach zakazano sprzedaży alkoholu i uprawiania prostytucji. Wydano „Akt Indiański”. Był on niemal przez sto lat stale poprawiany. Regulowano w nim sprawy administracyjne, prawne, ekonomiczne, podatkowe i dla Indian najważniejsze - własności ziemi.

Ten ostatni punkt stanowił sedno wszystkich traktatów zawieranych począwszy od 1670 roku aż do 1923 roku. Indianie oddali osadnikom ziemię o ogromnej powierzchni, a mimo to ich sytuacja była bardzo trudna.

Opuszczenie rezerwatu narażało jego mieszkańców na duże niebezpieczeństwo i na zło czynione ze strony osadników. Przebywanie zaś w nim, gdzie brakowało przemysłu i pracy, skazywało na wegetację i życie z zapomogi.

W Killaloe miałem sposobność oglądać tasiemcowe kolejki biednych Indian, którzy wynosili z baraku opieki społecznej torby z żywnością, konserwy, chleb, a w rękę ściskali parę dolarów i byli przy tym szczęśliwi.

Administracja twierdzi, że Indianom wcale nie jest teraz źle. Zapewnia im naukę, opiekę lekarską, w miarę możliwości pierwszeństwo pracy, wykorzystuje ich umiejętności - zatrudnia na wysokościach (wrodzony brak lęku wysokości), przy budowie dróg itd.

Sztuka indiańska jest bardzo atrakcyjna, chociaż coraz więcej tanich, chińskich podróbek można kupić nawet w sklepach w rezerwatach. Oryginalne rzeźby i obrazy, nabywane zwłaszcza przez bogatych Amerykanów, są wyceniane na kilka tysięcy dolarów.

Indianie w rezerwatach nie płacą podatku VAT od towarów, buduje się dla nich tanie domy, władze przeznaczają spore środki finansowe na pomoc dla nich.

Otrzymują takie same dyplomy, tych samych uczelni, co biali, mówią tym samym językiem, brali udział we wspólnych walkach w obu wojnach światowych.

Pomimo reprezentacji politycznej w kanadyjskim parlamencie bywają znużeni bladymi twarzami i czują się nie rozumiani przez Ministerstwo do Spraw Indiańskich. W grudniu 1980 roku ogłosili „Deklarację Pierwszych Narodów”, w której wyszczególnione zostały ich prawa i obowiązki.

W preambule deklaracji czytamy: „Prawa i odpowiedzialność dane nam przez Stwórcę nie mogą być zmienione, ani odebrane przez jakikolwiek inny Naród”.

Zgromadzenie Pierwszych Narodów reprezentuje pół miliona osób i domaga się własnego autonomicznego rządu.

ŻĄDANIA INDIAN:

Zgromadzenie Pierwszych Narodów wydało dokument, w którym przedstawiło szczegółowe żądania tubylczej ludności.

- Wprowadzenia w życie dawnych ustaleń traktatowych pomiędzy Indianami a białymi.

- Uznania przez białą większość prawa tubylców do zachowania ich własnego stylu życia.

- Zwrotu zabranej Indianom ziemi. Kanadyjscy Indianie roszczą pretensje, do co najmniej do dwóch trzecich terytorium Quebecu, przekazanego białym bez ich zgody w latach 1898 - 1912 roku.

Zdaniem Ovide Merceredi, wielkiego wodza Zgromadzenia Pierwszych Narodów, konstytucja Kanady nie zawiera wystarczających dla Indian zabezpieczeń.

– „My chcemy rządzić się sami, zgodnie z naszą historyczną formą opartą na systemie klanowym” – mówił wielki wódz. Chcemy prawa zwierzchnictwa nad naszymi ziemiami i bogactwami naturalnymi, naszą wodą i środowiskiem naturalnym, ale także nad kopalnictwem, energią, rybołówstwem i leśnictwem, wreszcie nad prowincjami. Żądamy, by nasz wielki wódz Zgromadzenia Pierwszych Narodów brał udział w debatach konstytucyjnych na równi z premierami rządów prowincjonalnych.

W kwietniu 1991 roku utworzono specjalną królewską komisję „Royal Commision on Aboriginal Peoples”, której zadaniem stało się znalezienie najlepszego sposobu współpracy pomiędzy Indianami, a resztą obywateli Kanady.





CZĘŚĆ DRUGA
W kanadyjskiej puszczy



15. ZIEMIA OBIECANA

Do połowy dziewiętnastego wieku ziemie Północnej Ameryki, ciągnące się na południe od wielkiej rzeki Ottawy i na zachód rzeki Św. Wawrzyńca, były pokryte dziką i trudno dostępną puszczą. Śmiałków, którzy zapuścili się w te odwieczne, niekończące się bory, nazywano straceńcami, awanturnikami lub zbiegami wyjętymi spod prawa.

Wieści docierające z głębi puszczy do portowych, nadrzecznych miasteczek Pembroke i Arnprior były porażające. Mówiono o śmierci, która czekała wszystkich śmiałków wybierających się do puszczy ze strony bandytów, zdrażliwych mokradeł, niedźwiedzi i wilków, a nawet czerwonoskórych.

Były to tereny niebezpieczne, a ci odważni, którzy zdecydowali się je odwiedzić, najczęściej przepadali bez wieści.

Wielu jednak ludzi wiązało swe nadzieję z tajemniczą i groźną puszczą. Dużo zdołało też w dość krótkim czasie wzbogacić się na handlu futrami bobrów, niedźwiedzi i szopów, a chętnych do szybkiego zbicia fortuny nigdy nie brakowało.

W szybkim czasie na skraju boru powstała puszczańska osada Renfrew, gdzie na miejscowym targowisku traperzy i Indianie sprzedawali futra, mięso dzikich zwierząt, jagody i ryby. Widywano też tu handlarzy kupujących indiańskie dziewczyny, za topory, noże, derki, płótno przede wszystkim proch i strzelby.

Powstawały drewniane chałupy, magazyny i sklepy, w których wymieniano towary. Wkrótce stanął też kościółek, posterunek policji z aresztem i parę drewnianych domków. W saloonie przesiadywała cała zgraja kupców, traperów. Pili, grali w karty i kłęli.

Miasteczko leżało nad Złotą Rzeką, której źródła wypływały setki kilometrów dalej, z głębi puszczańskich mateczników. To Indianie tę rzekę i te wielkie bory nazywali „Złotymi”, ze względu na barwy, jaką okrywały się drzewa każdej jesieni. Od złotych brzoź i czerwono krwistych klonów puszcza przybierała kolor złocisty. Barwy te do dzisiejszego dnia szokują turystów i ludzi odwiedzających hrabstwo Renfrew. Są jego wielką, wizualną atrakcją.

Osada leżała z dala od cywilizacji, jednak spokoju nikt tu nie zaznawał. Ciągłe awantury i nocne strzelaniny dochodziły każdej nocy z głębi borów. Wzrastała też liczba krzyży na leśnych polanach i nadrzecznych skałach. Do terenów tych rościli sobie prawa Anglicy na przemian z Francuzami, choć dotychczas ziemiami tymi władali Indianie Algonquinowie oraz Irokezi i byli ich prawowitymi właścicielami.

Znacznie później, bo dopiero na początku dwudziestego wieku, te ogromne puszcze, rzeki, bagna ogłoszono nietykalnymi. Stały się niedostępne dla traperów (ludzi łowiących zwierzynę na sidła), myśliwych, leśników, wędkarzy.

Władze kanadyjskie uznały te puszcze za największą, bezcenną skarbnicę przyrody Północnej Ameryki i Kanady. Nazywały ją „Algonquin Park”, tworząc rezerwat ścisły i takim pozostał do dnia dzisiejszego.

W roku 1864 do puszczańskiej osady Renfrew przybyło z Ottawy szesnaście rodzin polskich, razem siedemdziesiąt siedem osób. Wgnani z Borów Tucholskich i z Ziemi Kaszubskiej przez pruskich zaborców - za język polski, za wiarę swych ojców,

...Ziemie Północnej Ameryki,
ciągnące się na południe od
wielkiej rzeki Ottawy i na
zachód Św. Wawrzyńca,
były pokryte dziką i trudno
dostępną puszczą ...





PIERWSZA UMOWA KANADYJSKO-POLSKA

Pierwsza grupa Polaków w liczbie 300 osób, na podstawie porozumienia przybyła do Kanady w roku 1864. W dalekiej ojczyźnie warunki polityczno społeczne zmusiły ich do opuszczenia swego kraju.

Karczowali lasy, oczyszczali ziemię i zakładali dobrze prosperujące rolnicze wspólnoty. Jednym z duchowych liderów był ksiądz Ludwik Dembski, pochodzący z Wilna. Jego to imieniem w roku 1800 nazwano powstała tu wieś. W 1875 roku wybudowano tu kościół poświęcony Stanisławowi Kostce, a w 1894 roku Kanadyjska-Atlantycka kolej połączyła Wilno z Ottawą.

Nowa fala uchodźców przybyła tu ponownie w 1900 roku, zachowuje dużo kulturalnego dziedzictwa z dawnej ojczyzny.

której nie pozwolili sobie odebrać. Woleli wybrać tułaczkę i wygnanie!

Tu, w puszczy, obiecano im, „ziemię na własność”, mieli wdrzeć się w te bory i poszukać terenów podobnych do pozostawionych w ojczystym kraju.

Niewiele mieli własnego dobytku i gotówki, mieli jednak silną wolę, mocne ręce i wielką odwagę do pokonywania trudów. Posiadali też żylaste dłonie, siekiery i łopaty. Były to rodziny Pawła Węglarza, Piotra Osieka, Krystiana Barcza i wielu jeszcze podobnie silnych i młodych chłopów.

Przed nimi stał prastary bór, straszny, ogromny, zdradliwy i niebezpieczny. Wnętrze jego kryło dla nich ślepy los, ciągnął walkę z żywiołem puszczy, złych ludzi i przebiegłych czerwono-skórych.

Za ostatnie zebrane pieniądze zgodzili przewodnika Harrego na stukilometrową wyprawę wzdłuż Złotej Rzeki, do puszczańskiej osady nad jeziorem Barry's Bay.

Nie mieli wozów, ani koni, kobiety na własnych barkach niosły dzieci i dobytek. Niewielki bagaż, derki, koce, płótno namiotowe, topory i piły załadowano na indiańskie „travois” ciągnięte przez ludzi. Z wielką pokorą powierzyli rodziny i tę niebezpieczną wyprawę Najświętszej Jasnogórskiej Pani, ucałowali ziemię i ruszyli w puszcze.

16. W WIOSCE ALGONQUINÓW

Dzień po dniu wciąż szli na północ. Lasy otaczały ich zewsząd, pokonywali przeszkody, potężne rumowiska skalne, wyrócone przez huragany drzewa, rzeczne progi, katarakty, deptali jagodziska i wysokie trawy. Szli powoli, nie przynagłała ich żadna pilna sprawa. Puszcza obdarzała ich tym wszystkim, co do życia potrzebowali. Zebrane zapasy nieśli w tobołkach na swoich barkach. Czym dalej wędrowali w głąb borów okolica stawała się bardziej płaska, bagienna i wilgotna.

Obfitość malin, dzikich porzeczek i olbrzymich jagód cieszyła wszystkich. Okolice roiły się od niedźwiedzi, łośi i jeleni, a i o tłustego jarząbka nie było trudno. W rzekach zaś buszowały wielkie czerwone łososie i mnóstwo pstrągów.

Przewodnik Harry był Metysem, ojca miał Szkota. Matka, o dźwięcznym imieniu „Wiotka Trawa”, była indiańską królową ze szczepu Szarych Wilków znad rzeki Opeongo.

Harry znał dobrze język francuski, miał polskiego przyjaciela ojca Jakuba, który pracował wśród tutejszych Indian. Od roku mieszkał w ich obozie nad rzeką Żółtą, obok osady Donglas. Mówił, że dla tej znajomości i szacunku dla ojca zgodził się poprowadzić nad jezioro Barry's Bay tak liczną grupę jego rodaków.

Ukrywał przed nimi jednak fakt, że był notowany w tutejszym posterunku policji. Przypisywano mu śmierć wielkiego hulaki Boba Granta, który nie powrócił ze wspólnej wyprawy z Har-

rym do puszczy. Dopiero po pół roku jego rewolwer i kości znalazł traper nad rzeką Sherwood. Harry do tego zabójstwa się nie przyznawał, ale czekano na zakończenie śledztwa.

Niebawem posterunek policji w Renfrew otrzymał polecenie z Ottawy, aby zaopiekować się wielką grupą polskich wygnańców i zapewnić im bezpieczny przemarsz przez puszcę nad jezioro Złote i Barry's Bay.

Za niewielką odpłatnością Harry, aby przypodobać się tu-tejszemu szeryfowi, chętnie się podjął tego, jak mówił, karkołomnego zadania. Miał być ich przewodnikiem i chronić przed niespodziankami ze strony grasujących tu band, a także wilków i niedźwiedzi.

Zwrócono Harremu strzelbę i miejscowy posterunek na piśmie zobowiązał przewodnika do wykonania tego trudnego zadania.

Przeprawa przez puszcze była żmudna, ale radowała serca wygnańców. Tamtejsze krajobrazy przypominały im do złudzenia ojczyste Kaszuby, choć była tu jedynie licha, bezludna ziemia, kwaśna, gliniana, kamienista, jak mówili, rodziła tylko jagody, jodły i cedry.

Szli wytrwale jak zdyscyplinowane, karne wojsko, nikt nie marudził, nie narzekał. Krótko zatrzymywano się na wypo-czynek i posiłki, by dalej pokonywać przeszkody. Przed oczami mieli stale tę „ziemię obiecaną”, do której było im już coraz bliżej i bliżej.

Piotr i Paweł ciągle czuwali i bacznie obserwowali Harrego, ale nie mogli odkryć nic złego w jego misji i bez cienia po-dejrzeń mu ufali.

W snach jednak nachodziły ich czarne myśli, że mogą na-trafić na złych ludzi, na wrogich Indian, czy żarłoczne wilki i głodne niedźwiedzie. Wreszcie myśleli o tym, że przewodnik może ich wyprowadzić na takie manowce, z których żaden z nich już nie powróci.

Kiedy Paweł te nocne zjawy sobie przypominał, ścisnął włożony za pas dziewięciostrzałowy rewolwer i stawał się nieufny. Coraz częściej też sprawdzał kierunek pokonywanej drogi, orientował ją do słońca według pochylonych drzew, omszałych od północy pni i kamieni. Kontrolował zachowanie przewodnika, ale Harry pomagał wszystkim, uczył jak łowić łososi, nawet upolował niewielkiego jelonka, którego nad ogniskiem upieczono, a mięso rozdzielono sprawiedliwie.

Paweł nie znał języka angielskiego, ale Harry był mistrzem gestykulacji. Na migi mówił, że żaden biały człowiek nie wybiera się tak daleko w puszcę, ale tu jest dużo ziemi i farmy można założyć blisko Renfrew. Skoro Polak jest tak uparty, to on, Harry, nazywany "człowiekiem lasu", sprostą jego marzeniom.

Słońce już zaczęło chylić się i dotykać szczytów sosen, kiedy postanowiono rozbić się obozem i przenocować do rana. Sprawnie na leśnej polanie rozstawiono szałas, w miejscu, gdzie następnego dnia wschodzące słońce mogło szybko je ogrzać i osuszyć. Rozpalono ogniska, a wokoło ustawiono piętnaście wygodnych domków z gałęzi, których wnętrza usłano jodłowymi łupkami.

Chłopcy jeszcze przed zmrokiem przynieśli tyle łososi, że wystarczyło dla wszystkich. Na ogniskach kipiała zupa z kukurydzy, a na patykach obsmażano wielkie ryby. Po raz pierwszy teraz Paweł wierzył, że ta wyprawa powinna się udać.

Trzeciego dnia natrafili na wioskę Algonquinów, gdzie obchodzono „wielkie święto czerwienienia się liści”. Indianie byli zadziwieni taką wielką liczbą białych bez broni i bez koni. Z równym zaciekawieniem Kaszubi przyglądali się Algonquinom. Po raz pierwszy zobaczyli brązowe posępne, twarze szczupłych, czarnookich Indian.

Dzięki Harremu po krótkiej naradzie czerwonoskórzy pozwolili wziąć im udział w ich rytualnych obrzędach.

Stała tu wielka ilość wigwamów, krytych brzożową korą i kilka mniejszych tipi, obciążniętych płótnem i skórą. Na środku placu ustawiony był wysoki totem „Świętego Grzmota”. Wokół niego dwaj czarownicy, z łbami niedźwiedzi na głowach, tańczyli w rytm bębna. Dzieci i kobiety indiańskie siedziały wokół totemu, wydawały żalosne dźwięki, błagające dobre duchy o przysłanie im tej jesieni mięsa łososi i niedźwiedzi do ich spiżarni na zimowe zapasy.

Młodzi chłopcy, z ościeniami w ręku i zawieszonymi nań rybami wykonywali taniec łososia i pstrąga, przeskakując kamienny próg, przypominając wędrówkę tych ryb w górę rzeki. Oni też błagali duchy o obfite połowy.

Algonquinowie byli przyjaźnie usposobieni. Skąpo ubrani, wzbudzali ciekawość Kaszubów. Kiedy jeden z młodzieńców przyprowadził oswojonego niedźwiedzia i zaczął z nim fikać koziołki, młodzi uchodźcy również włączyli się do wspólnej zabawy.

Naraz jeden z czerwonoskórych chwycił Anię, najmłodszą córkę Pawła, i wsadził w gęste kudły niedźwiedzia. Jej rodzice oniemieli z wrażenia, Dziewczynka zaś nie mogła oczu oderwać od czarnej bestii.

Niedźwiedź spacerował wokół „Ptaka Grzmotów”, a łeb jego kołysał się rytmicznie, niczym wahadło zegara. Pomruki niezadowolonego misia stawały się coraz wyraźniejsze i ostrzegawcze. Dziewczynkę, więc zdjęto, ku radości omdlałych z wrażenia rodziców. Misia uwiązano do pnia, z czego nie był on zadowolony.

Przybycie do wioski indiańskiej tak dużej grupy polskich wygnańców lotem błyskawicy rozeszło się po puszczy. Już o tym wydarzeniu wiedzano w Eujanwille i Killaloe. Tam też do indiańskiej wioski tę zaskakującą wiadomość przywiózł konny posłaniec z Golden Lake. Widział się z ojcem Jakubem, który od

wielu lat przebywał wśród Algonquinów, jak mówiono, czynił tylko dobro. Wielu z nich porzuciło swoje bożki. Potajemnie jednak niektórzy, zwłaszcza szamani, praktykowali bałwochwalcze modły, błagając niedźwiedzie i bobry, aby im przebaczyli zjedanie ich mięsa. Z każdej upolowanej zwierzyny wydzielali kawał serca i zwracali puszczy, błagając duchy o przebaczenie.

Przed zachodem słońca sędziwy opat dotarł do wioski, gdzie przywitał się z uchodźcami.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział!

Kaszubi oniemieli z wrażenia, zdjęli czapki z głów. Po tyłu tygodniach przebywania w morzu obcej im, niezrozumiałej mowy, teraz czuli jakby sam Bóg z niebios do nich przemówił i zesłał im misjonarza.

Indianie przed ojcem Jakubem czuli duży respekt, bo też wiele dobrego dla nich uczynił. To właśnie dzięki niemu przeprowadzono tu szczepienia przeciw czarnej ospie i wielu czerwonoskórych uratowano od śmierci.

Gospodarze przynieśli gliniane gary pełne najrozmaitszego jadła, pieczeń z łosia, wędzone ryby i placki kukurydziane. Atmosfera tego wieczoru w osadzie Algonquinów była wspaniała.

Ojciec Jakub mówił dobrze po polsku, urodził się na Warmii, studiował w Paryżu, a na misję wyjechał do Quebecu.

– Do niedawna – mówił - te ziemie były francuskie, dziś przejmuje je Korona Brytyjska, tak i moja tutaj misja dobiega końca.

Kaszubi obsiedli sędziwego misjonarza wokoło i z zapałem tchem słuchali wszystkiego, o czym mówił. Najwięcej opowiadał o puszczy, ludziach, obyczajach i udzielał rad na dalszą drogę.

Przewodnika Harrego przedstawiał, jako człowieka prawowitego, który wprawdzie kiedyś zbłądził, ale teraz służy ludziom zagubionym i bezradnym w tej bezkresnej puszczy.

Wielebnego ojca próbowano zatrzymać, ale, jak sam mówił, otrzymał polecenie powrotu do Quebecu i tę decyzję musi uszanować.

Następnego dnia rozstano się z ojcem Jakubem. Gorąco i z całego serca kobiety całowały go po rękach, a Indianie zazdrościli im takiego opiekuna. Nazywali go bogiem białych twarzy.

Wczesnym rankiem osadnicy razem z przewodnikiem ruszyli w, dalszą drogę - wzdłuż rzeki, nad jezioro Okrągłe, do Round Lake, gdzie według ojca Jakuba również koczowali Indianie, choć nie tak już przychylni białym ludziom.



17. UPROWADZENIE

Najstarsza córka Pawła Węglarza, o dużych, niebieskich oczach i jasnych jak len rozpuszczonych włosach, była ładną i zgrabną dziewczyną. Od początku wędrówki swoim rozsądnym postępowaniem i skromnym wyglądem zwróciła na siebie uwagę wielu chłopców. Znacznie odbiegała grzecznością, pracowitością i prezencją od swoich rówieśniczek.

Miała na imię Agata. Każdego dnia wplątywała we włosy leśne kwiatki: zawilce, storczyki, kielichy purpurowej naparstnicy, a nawet zielony bluszcz. Rzuciła się w oczy wszystkim, a kiedy siadywała na leśnej łączce maleńkie koliberki niczym motyle, siadały na jej ukwieconej głowie i wcale się nie bały. Biegając po łące sprawiała wrażenie, lekkiej tańczącej baletnicy. Wszyscy bardzo lubili Agę i zarazem podziwiali.

*

Po kilkumiesięcznej samotności i włóczędze po puszczy, traper Mc Devill wybrał się rankiem nad ujście Żółtej Rzeki, aby sprawdzić zastawione na bobry pułapki. Ujrzał kąpiącą się dziewczynę. - Co za uroda! Od takiego widoku głowa boli - mrucał pod nosem. - Jakie piersi, jakie uda, to już nie dziecko, to kobieta.



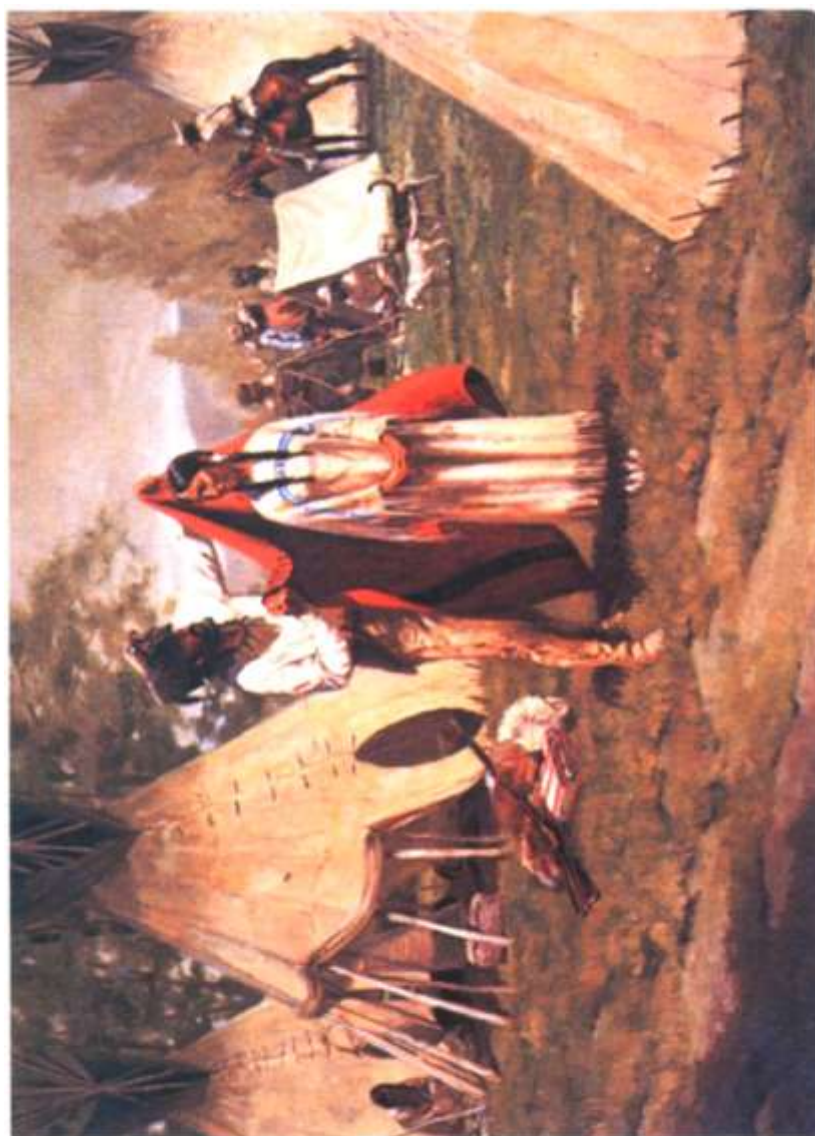
...To Indianie tę rzekę i te wielkie bory nazwali „Złotymi”.



...Była coraz bliżej, ciemna jakby obumarła, sprawiała wrażenie dawno opuszczonej. ...



...Olbryzi kudłaty niedźwiedź wyszedł za skały i kierował się w stronę chaty. ...



...Krzysiek imponował Agacie odwagą i łatwością porozumiewania.
Kiedy ujrzał najmłodszą z żon Se'ha, okrył ją swoją czerwoną derką.
...wg B. Hampton.

...Agata już zaprzyjaźniła się z małą dziewczynką, która bawiła się dwoma zajaczkami.



Ten widok głęboko zapadł mu w sercu. Nieruchomo tkwił w nadrzecznych szuwarach, osłonięty trzciniami. Nawet wstrzymywał oddech, aby nie zostać odkryty.

– Puszcza jest wspaniała – szeptał do siebie. – Piękne są bobry, niedźwiedzie i orły, ale ta wodna nimfa jest czymś wyjątkowym, niepowtarzalnym.

Przyrzekł sobie, że ona musi być jego!

Kobiety nie widział już dawno, krew mu kipiała w żyłach. Nigdy nie przeżywał podobnego uczucia. Naraz zachwiał się i niemal nie wpadł do wody. Chciał zatrzymać ten widok, przytknął na chwilę oczy i zasłabł.

Kiedy oprzytomniał dziewczyny już nie było, rzeka płynęła tak jak dawniej, a tylko na żółtej łasze piasku pozostały odciśnięte ślady dziewczęcych stóp.

W Mc Devillu wzbudziła się jakaś dzika namiętność, ogromne pożądanie, bezkarna chęć posiadania wszystkiego, co tylko żyje w puszczy. Zapragnął poznania tej dziewczyny. Wyprowadził z ukrycia swą dłubankę i popłynął na plażę jeziora, w pobliże gdzie Kaszubi rozstawili swoje szałas. Udając, że naprawia pirogga bacznie obserwował otoczenie.

Nagle odkrył Agatę, która po kąpieli czesała włosy. Dziewczyna też zauważyła nowego przybysza. Początkowo nawet uśmiechnęła się do niego. Jednak zaraz posmutniała. Jego zainteresowanie i świdrujący, fałszywy wzrok przeszywał ją na wskroś, wzbudzał niepokój i strach.

Twarz tego trapera była straszna, obrośnięta jasną szczeciną, zlepioną na brodzie, z wysuniętą do przodu szczęką i rozczochranymi włosami. Wydał się jej jakimś dzikim opryskiem, a kiedy zachichotał i wyszczerzył żółte, drapieżne zęby, przerażona uciekła do swego szałasu.

Niemal rzuciła się w objęcia ojca i tuliła się do niego jak dawniej, kiedy była małą dziewczynką.

– Co ci jest, co się stało Agusiu? – pytał przerażony ojciec. Długo trzymała się w jego ramionach, nie mogąc wydobyć ze siebie słowa. Dłońmi głaskała ojca po twarzy, a on obejmował ją pieszczotliwie.

– Kto cię skrzywdził, moje dziecko?

– Musimy uciekać natychmiast – drżąc wyszeptała.

Mętnymi oczami wodziła po jego twarzy, jak by chciała jeszcze więcej powiedzieć. – Mc Devill – wyszeptała i osłabła.

Ułożona na posłaniu z miękkich pachnących gałązek i osłoniętą derką, szybko usnęła.

Ojciec jej zachowaniem był zaniepokojony, poszedł na brzeg jeziora, ale trapera już nie zastał. Odpłynął w górę rzeki. Przypomnił sobie, że córka była zawsze bardzo wrażliwa i pewnie przesadzała, niemniej tą informacją chciał się podzielić z Harrym. Jego jednak również nie było. Poszedł nad moczary wabić jarzabki.

Puszcza nad jeziorem Okrągłym była wyjątkowo urodziwa. Kończyły się tu bagna i rojsty, ziemia stawała się lekko pagórkowata, piaszczysta, porastały ją wiekowe lasy. Jezioro miało plażę, z łagodnym spadkiem do wody.

Kaszubi w otoczeniu jodeł rozbili swoje szałas. Mimo zmęczenia długą drogą byli w dobrym nastroju, a kiedy w niebo buchnęło wielkie ognisko, humory coraz bardziej dopisywały. Zmęczenie minęło szybko.

Po południu do obozu przyjechał czerwonoskóry chłopiec, z zaplecionymi w warkocze kruczymi włosami, z osady indiańskiej Killaloe. Przywiózł pełen kosz świeżo złowionych sandaczy. Wkrótce niemal każdy nad ogniskiem smażył swoją rybę, a przy ogniu brakowało miejsca, tak gęsto je obstąpiono.

Zrobiło się już zupełnie ciemno, starsi kładli się do snu, młodzież jeszcze baraszkowała.

Kiedy Paweł wrócił do szałasu i nie zastał w nim Agaty, był przerażony. Rozum mówił mu, że stało się coś niedobrego,

coś strasznego dla jego rodziny. Zaraz też powiadomił Harrego. W zupełnych ciemnościach nawoływano dziewczynę, ale bez żadnego efektu.

Tej nocy już nie spał, jak nie spało wiele kaszubskich rodzin w obawie przed uprowadzeniem innych dzieci.

Noc była czarna jak smoła. Po północnej stronie jeziora, co pewien czas od niebios do ziemi rozbłyskiwały i falowały świetlne zasłony. Były to pierwsze tej jesieni zorze polarne, które Kaszubów wprawiały w zachwyt, ale wielu też twierdziło, że nie- zbyt dobrze one wróżyły, a nawet mogły zwiastować śmierć.

Z samego ranka Paweł z Harrym postanowili odszukać trapera, którego drewniana szopa stała nad rzeką.

Teraz była cała zawieszona bobrowymi skórami. Mc Devill leżał przy kominku zupełnie pijany, majaczył pod nosem i bluźnił tak głośno, że słyhać go było na pięćdziesiąt kroków. Zapytany o dziewczynę zdenerwował się i zaczął rzucać kłocami drewna. Nie można było z nim porozmawiać.

Harry odkrył jednak ślady kopyt końskich prowadzących spod szopy w głąb puszczy. Stało się dla niego jasne, że Indianin, który przywiózł ryby, wykradł Agatę. Czy uczestniczył w tym traper Mc Devill, trudno było zgadnąć.

Wśród Kaszubów prawie zapanowała żałoba po zniknięciu Agaty. Plany wyruszenia w dalszą drogę nad jezioro Barry's Bay stały się niepewne. Dodatkowo jeszcze znad przeciwległego brzegu jeziora napływały czarne, ołowiane chmury zwiastujące deszcz.

Do największego szalasu zwołano przedstawicieli rodzin i debatowano do późnego popołudnia. Postanowiono, że rodzina Pawła Węglarza i Wojciecha Kilara, wraz czternastoma osobami, pozostanie nad jeziorem Okrągłym do czasu odnalezienia córki. Reszta Kaszubów następnego dnia, wraz z Harrym wyruszy w dalszą drogę, wzdłuż rzeki Shorwood nad jezioro Barry's Bay.

Przewodnik miał jednak powiadomić zaprzyjaźnionych Indian w Killaloe i ojca Jakuba o zaginięciu córki Węglarzy i powrócić po kilku dniach.



18. CHATA NIEDŹWIEDZIA

Sprytnego Rysia w osadzie Algonquinów po ojcu nazywano Mish'wa. Pochodził ze szczepu Czipewejów, którzy tu przywędrowali z północy w ubiegłym stuleciu.

Mimo młodego wieku już wiele razy dawał dowody swej odwagi i sprytu, zwłaszcza w tropieniu niedźwiedzi, rysy i kun. Za to go bardzo ceniono i dla wyróżnienia nadano imię sprytnego zwierza. Miał on jednak też swoje wady, bo zbyt często wikłał się w interesy z różnymi oszustami wędrującymi po puszczy. Teraz przebywając w szopie trapera zauważył kamienną fajkę, o której od lat marzył.

Gdy był jeszcze dzieckiem szaman wyznał mu, że poprzez palenie takiej fajki można wejść w kontakt z duchami. Miewa się też sny, które są drogowskazami do podejmowania życiowych decyzji.

Wiedział, że młodzieży indiańskiej palić fajki zabroniono, gdyż szkodziła zdrowiu, ale on czuł się już przecież dorosły, choć tego nie chciano zauważyć. A taka właśnie „fajka pokoju” stanowiła glejt nietykalności i uznania dla jej właściciela.

Mc Devill widząc zainteresowanie fajką młodego Mish'wy zaczął podkreślać jeszcze bardziej jej moc nadprzyrodzoną i uzdrowicielską. Twierdził, że wcześniej paliła ją stara indiańska lekarka, wielka uzdrowicielka, od której on ją z trudem odkupił.

Niewątpliwie swą nadzwyczajną moc zawdzięczała czerwonemu kamieniowi z kamieniołomów w Pipestone na ziemiach

Dakotów - miejscu, które jest święte i stanowi symbol pojednania i pokoju.

– Ta fajka może być twoja, Mish’wa – nagle powiedział traper – jeżeli Manitou się zgodzi, a ty tę bladą dziewczkę z łąki zawieziesz do Chaty Niedźwiedzia nad jeziorem Lobster. Tam ją przekażesz królowej Czipewejów, Mangawie, z osady Opeongo. Ja przybędę do chaty w miesiącu, kiedy zwierzyna zrzuca rogi. Ty jednak musisz teraz zapewnić jej bezpieczeństwo, ochronę przed wilkami i niedźwiedziami oraz przekazać ją całą i zdrową mojej pani.

Sprytny Ryś wiedział, że to daleka, kilkudniowa podróż, na pewno trwałaby trzy noce i trzy dni. Drogę tą znał i wielokrotnie pokonywał, jednak sam. We dwójkę może być gorzej. Ale fajka, była dobrą zapłatą, za taką usługę

– Sprytny Ryś zrobił dobry interes – mówił sam do siebie. Zgodził się wykonać to, co zaplanował Mc Devill.

Przy butelce rumu traper omówił w szczegółach plan uprowadzenia dziewczyny, która miała być ukryta i wywieziona na „travois” z obozu bladych twarzy.

Kiedy Mish’wa opuścił szopę traper zacierał ręce. Błada dziewczka niedługo będzie moja, - szczyrzył zęby i się szyderczo uśmiechał.

*

O zmroku Kaszubi ucztowali i piekli ryby na ognisku. Mish’wa niepostrzeżenie podkraść się pod szałas, narzucił Agacie worek na głowę, zapchał usta, aby nie krzyczała i szybko zniknął w ciemnościach.

Zrobił to tak przebiegle i tak bezszelestnie jak postępuje ryś w puszczy ze swoją ofiarą. Nikt nawet nie zauważył, ani się nie domyślił, co się wydarzyło.

Na skraju lasy stał jego łąciaty koń, do którego traper zdążył już przytroczyć dwa kije, których końce miały wlec się po ziemi.

W pośrodku przywiązał skórę, robiąc miejsce na bagaż. Tu właśnie Indianin ułożył skrzepowaną w worku dziewczynę.

Nie czekając Mish'wa odebrał fajkę od trapera i ruszył w puszczę, galopem jak najszybciej, jak najdalej od obozu. Pierwszą milę koń paraskał i sapał, gnał do przodu, a kiedy poczuł się już bezpiecznie, zwolnił. Rzucany bagaż po nierównej drodze niepokoił Indianina, rozum nakazywał mu sprawdzić, co dzieje się z dziewczyną.

Agata pragnęła tylko jednego, aby ją rozwiązano i nie musiała patrzeć na obrośniętego Mc Devilla, który ją wykradł. Pragnienie oswobodzenia się z rzemieni krępujących ręce i nogi było teraz dla niej najważniejsze.

Jakie więc było jej zdziwienie, gdy przez zalane łzami oczy ujrzała w słabym świetle księżyca młodego Mish'we z war-koczem na głowie. Tego samego, co dostarczył Kaszubom ryby poprzedniego dnia. Czerwonoskóry nie był dla niej okrutny, myślał tylko o zacieraniu śladów kopyt końskich i płóz, które pozostawił na drodze.

Na chwilę przystanął, pomógł dziewczynie się uwolnić z krępujących rzemieni, wznosił ręce ku grubym konarom starego drzewa i modlił się. Wzywał Wielkiego Ducha, błagając go o ochronę przed pościgiem, aby szybko spadł deszcz i o burzę, dla zatarcia śladów.

Ruszono w dalszą drogę. Odtąd Agata siedziała wygodnie, choć ciągle wystraszona i zapłakana. Robiło się już coraz jaśniej, myślała o zaznaczaniu drogi, wierzyła, że Harry i ojciec ją odszukają. Oberwała nawet mankiety od swojej koszuli i niepostrzeżenie wyrzuciła na drogę.

Ranek wstawał chłodny i słoneczny, pejzaż tych okolic, składał się ze skalistych wzgórz, później jechali brzegiem jeziora, które czerwonoskóry nazywał Pough.

Wszędzie panowała cisza i spokój. Żłote, żółte, czerwone kolory znaczyły puszcę, ich sprawcą były klony, brzozy i osiki, a pierwsze przymrozki szronu zabarwiły już na biało zielone igły jodeł.

Agata podziwiała ten barwny pejzaż, pomimo to strach i nieszczęście przynosił również jej inne dźwięki. Słuchała szep-tów wiatru, pomruku drzew i złowieszczonego skrzypienia płóz. Myślała tylko o tym, co ją jeszcze czeka.

Mish'wa nie lubił cywilizacji. Za jeziorem znów pochło-nęła ich ciemna puszcza, byli głodni i zmęczeni. Jednak dopiero pod wieczór Indianin zatrzymał się przy opuszczonym wigwamie nad jeziorem Aylen. Wyjął z kieszeni zapalki, potarł o draskę i rozpałił ognisko. Wnętrze leśnego domku rozblysnęło światłem i zrobiło się ciepło. Do ognia dołożył karpy żywiczne, które za-płonęły żarem. Wnętrze napełniły zapachy aromatycznych so-snowych olejków. Wyciągnął z worka przytroczonego do konia polec mięsa, pokroił swym długim nożem na cienkie plastry i poukładał na gorących kamieniach wokół ognia. Posypał je też zielonymi ziołami z woreczka.

Zapach pieczeni nie tylko drażnił nozdrza dziewczyny, ale wydobywał się na zewnątrz i rozchodził po puszczy.

Agata z uwagą przyglądała się poczynaniom Mish'wy, a nawet go podziwiała za jego dżentelmeńskie zachowania wobec niej, za pracowitość i spryt.

Wreszcie czerwonoskóry usiadł, oderwał kawał pieczeni i podał dziewczynie, a drugą część ze smakiem i chciwością poły-kał. Był głodny. Za jego przykładem i dziewczyna, spróbowała pieczeni. Była ostra, pachnąca i smaczna.

Powoli oswajała się ze swym losem, z puszcą, samotno-ścią i tym pustkowiem.

Mish'wa szybko nasycił głód wydobył z torby swą świ-stawkę, zrobioną z kości orła, i na niej zaczął naśladować głosy puszczy. Najpierw szum wiatru napełnił wnętrze wigwamu, póź-

niej bębnienie jarzabka, kwilenie piskląt, a na końcu śpiew podobny do majowej pieśni słowika wyczarował na tym instrumencie.

Jego romantyczny charakter i zachowanie nawet Agata z czasem polubiła i po raz pierwszy do niego się uśmiechnęła.

Naraz przerwał, przysiadł się bliżej dziewczyny i długo opowiadał.

Mc Devill zawarł pakt z diabłem – powiedział. – On chce, żeby blada dziewczyna zamieszkała w jego domu, nad pięknym jeziorem. Tam też mieszka jego kobieta, nazywa się Mangawa – i ty będziesz z nią razem.

Zapachy pieczeni przywabiły pod wigwam dużego zwierza. Koń zaczął parskać i rzeć. Mish'wa chwycił strzelbę, wyskoczył na zewnątrz, głośno zaklął i krzyknął:

– Baribal!

Agatę aż przeszyły ciarki i znów się rozpląkała. Wcześniej na piachu widziała ślady dużego niedźwiedzia, ale żeby podszedł tak blisko? Jak bańka mydlana przysła jej chęć samotnej ucieczki spod opieki Mish'wy. Przecież las roił się tu od niedźwiedzi i wilków.

Widząc jej niepokój Indianin znów zaczął grać na swej ptasiej kości. Teraz grał jeszcze piękniej, jakby flirtował z dziewczyną.

Okryta kocem, na czarnej, kudłatej skórze resztę nocy przespała spokojnie. Choć za wigwamem wzmagął się wicher, a później wielkie krople deszczu bębniły po brzoźowej korze.

Ulewa była straszna. Potoki wody podmywały ich schronienie. Indianin uwierzył, że wysłuchał go Wielki Duch, a czerwona, tajemnicza fajka mu w tym pomogła.

Rankiem deszcz przestał padać. Czekala ich teraz daleka droga wzdłuż rzeki Madawaska, aż do Chaty Niedźwiedzia nad

jeziorem Lobster, w samym środku puszczy. Wybudowano ją w najdzikszej głuszy, tam gdzie na świat przychodziły niedźwiadki, wilki, mieszkaly bobry i gdzie również ukrywali się tacy złoczyńcy jak Mc Devill.

*

Mish'wa spełniał tylko umowę zawartą z traperem i za to dziewczynę przeproszał serdecznie. Nie tylko chciał być dla niej dobry, ale też ładnie przed nią się prezentować. Często prał swoją koszulę, utkaną z końskich włosów, wrywał zarost z twarzy, aby mieć gładką cerę. Popisywał się też swoją zręcznością skacząc przez konia i konary. Pięknie też grał na swym kościanym instrumencie.

Siedli oboje na konia i smagani ostrym wiatrem pędzili przez puszcze do miejsca, gdzie Mish'wa pokazał ciemną plamę, daleko pod lasem.

– To jest właśnie Stara Chata Niedźwiedzia Mc Devilla i księżniczki Mangawy – z zadowoleniem oświadczył.

Była coraz bliżej, ciemna, jakby obumarła, sprawiała wrażenie dawno opuszczonej. Agata pamiętała chichot trapera i myśl o tym, że tu, na tym odludziu, ma się z nim spotkać, porażała ją całkowicie i serce jej zaczynało bić coraz szybciej.

Drzwi chaty były zamknięte. Pchnięte przez Mish'we otwarły się na oścież, a z wnętrza powiało ciepłem, które wydobywało się z dogasającego piecyka. W środku panowały zupełne ciemności. Indianin wyciągnął zapałki i zapalił starą lampę stojącą na stole.

Oboje przyglądali się prostokątnej izbie. Północna ściana założona była do samego sufitu kłocami i szczapami świerkowego oraz brzoźowego drewna, obok w skrzyni leżała żywica na podpałkę.

Mish'wa otworzył drzwiczki piecyka, dołożył drewna do paleniska. Po chwili płomień ognia jeszcze bardziej rozświetliły

izbę. Dziewczyna teraz zobaczyła w kącie posłanie ze skór i koców, a pod sufitem zawieszono wielkie udźce z łosia i dużo uwędzonych ryb, wiszących wśród pachnących ziół.

Naraz przestraszona głośno krzyknęła. Do metalowego talerza, stojącego obok pieca, przybiegła maleńka myszka, a za nią druga i trzecia. Po chwili ciepło zwabiło dziesiątki maleńkich puszystych kuleczek, które szukały tu pożywienia.

Mish'wa podniósł talerz, myszki wskoczyły mu na ręce, biegały po ramionach, a nawet po głowie. Były bardzo towarzyskie. Biegały po jej pryczy, szurały o podłogę. Powoli przywykła do widoku tych małych sublokatorów.

Położyła się na pryczy, nakryła głowę kocem i mimo hałasów na zewnątrz zasnęła.

Rankiem w izbie panowała zupełna cisza. Przez szpary okiennic wpadały do wnętrza promienie światła. Budząc się Agata ujrzała na ścianie zawieszono bluzeczki, sukienki, na półce damskie mokasyny, suszone kwiaty i lustro. Domyśliła się, że przedmioty te należały do Mangawy, o której wspominał jej Mish'wa.

Szybko ubrała się i wyszła na zewnątrz. Wokół panowała cisza i spokój. Chata, gęsto otoczona iglastymi drzewkami, tonęła w zieleni. Dalej wznosił się wysokopienny las jodłowy i zbocze skalne, nad którym księżyc resztkami swego blasku zaglądał w głąb puszczy.

Cały świat teraz wydał jej się wspaniały, piękny. Gdyby nie źli ludzie, tacy jak Mc Devill, i gdyby miała przy sobie ojca, to by mogła śpiewać i tańczyć.

Olbrzymi, kudłaty niedźwiedź wyszedł zza skały i kierował się w stronę chaty. Dziewczyna, porażona tym widokiem, po chwili dopiero zauważyła, że za misiem szła kobieta.

Bała się bardzo, bo niedźwiedź szedł prosto na nią i jak zahipnotyzowana stała nieruchomo. Z przerażeniem przyjęła jego powitanie. Przyszedł do niej, oblizał rękę i położył się u jej stóp, na pewno czekając na podrapanie za uchem. Podeszła też Indianka.

– Nie bój się – powiedziała – chowam go od maleństwa. Mimo, że ma prawie trzysta pięćdziesiąt funtów jeszcze nikogo nie skrzywdził. Nazywa się „Wielka Łapa”.

Agata domyśliła się kim była ta kobieta. Tyle o niej słyszała od Sprytnego Rysia. Mangawa była niewysokiego wzrostu, kręłą i silną niewiastą, o czarnych oczach i włosach, o przyjacielskim usposobieniu.

Z lasu wrócił też Mish’wa. Niedźwiedź poderwał się i zrobił parę kroków w jego kierunku. Mangawa to zauważyła i ostrzegła: - jeżeli ty ją dotkniesz, a ona krzyknie, wówczas „Wielka Łapa” rozszarpie cię na strzępy, Mish’wa!

Tak nawiązała się wielka przyjaźń pomiędzy Mangawą, Agatą i „Wielką Łapą” w puszczy nad jeziorem Lobstor.

Mish’wa przeprosił Agatę, za niewygody podróży, za swoje zachowanie i jeszcze tego samego dnia udał się w drogę powrotną do swej osady.

19. POGOŃ ZA MISH'WĄ

Dzień wstawał rześki i chłodny. Nocny przymrozek za-
barwił na biało igły sosen. Było cicho i spokojnie. Wiatr nie ru-
szał nawet najmniejszymi gałązkami drzew.

W tej zupełnej ciszy sójka czarnogłowa wydarła się
z krzykiem na widok drapieżnego orła, który do gniazda niósł
w swoich szponach wijącego się w konwulsjach szczupaka.

Z leśnego obozu nad jeziorem Okrągłym Kaszubi wyru-
szyli już parę dni temu w swą ostatnią drogę do „ziemi obiec-
anej”, nad jezioro Barry's Bay.

Tylko rodziny Węglarzy i Kilarów pozostały na miejscu,
czekając na powrót przewodnika Harrego, aby podjąć pogoń za
uprowadzoną Agatą.

Jej ojciec już więcej nie wchodził do nieszczęsnego sza-
łasu, z którego ją uprowadzono. Całą noc włóczył się po lesie,
mając jeszcze nadzieję na odnalezienie swego dziecka. Rozpa-
trywał najrozmaitsze scenariusze jej uprowadzenia - od porwania
przez niedźwiedzicę, bo i tak w puszczy się zdarzało. Przypom-
niał sobie, co opowiadał mu szeryf w Renfrew. Kiedy farmer
zabrał z lasu małego niedźwiadka, stara niedźwiedzica ukradła
jego dziecko.

Miał też wyrzuty sumienia, bo wiedział o kłopotach Aga-
ty, a mimo to pozwolił na jej uprowadzenie i to w obecności tylu
przyjaciół.

*

Złota Rzeka wpadając do jeziora Okrągłego utworzyła pagórek piaskowy, na którym rosła stara, rozwichrzona sosna. Na jej szczycie w dużym gnieździe zamieszkała para orłów amerykańskich, łamignatów, które każdego ranka kontrolowały przyległe moczary i brzegi jeziora, chętnie polując na słabe i chore ryby.

To suche, nasłonecznione miejsce wydało się korzystne do ustawienia trwałych szałasów dla pozostałych kaszubskich rodzin, przynajmniej na okres odnalezienia córki Węglarza i zgromadzenia zapasów na kilkudniową, końcową podróż.

Obie rodziny w ciągu parę zaledwie dni ustawiły pod osną wygodne dwa domki. Okryto je płótnem i korą, a boki uszczelniono mchem. Wejścia do nich skierowane były na rzekę i puszcę, skąd spodziewano się powrotu Agaty.

Do wody było blisko, deszcz też nie mógł ich zalać, bo wybudowali się na pagórku. Za rzeką były lasy pełne zwierzyny i drewna na opał.

Każda z rodzin przed swoim szałasem przygotowała kamienny krąg na ognisko i ściągnęła z lasu znaczne zapasy drewna.

Ojciec Agaty przeczuwał, że kluczem do odzyskania córki był traper Mc Devill. Jego należało wypytać o jej los, a gdyby nie chciał powiedzieć, to nawet go zmusić do wyznania prawdy.

Każdego ranka Paweł stawał twarzą w stronę bezkresnej puszczy i wschodzącego słońca i prosił Najświętszą Panienkę o pomoc i siłę dla odzyskania Agaty. Modlił się też, aby zachowała ją przy życiu i zdrowiu oraz uchroniła przed nieszczęściami.

Kilka już razy odwiedził nad rzeką szopę trapera, ale go nigdy tam nie zastał. Mc Devill zniknął na wiele dni jak kamfora. Włączył się wzdłuż dopływów Złotej Rzeki i sprawdzał zastawiane pułapki na bobry.

Harry mówił, że ten kłusownik kontroluje rzekę na długości prawie trzydziestu mil, czyniąc wielkie szkody.

Pewnego dnia spod orlego gniazda zauważono dym nad rzeką. Paweł szedł do trapera w przekonaniu, że musi wycisnąć z niego całą prawdę. Poczul w sobie jakiś niespotykany przyplływ energii. Z odwagą stanął przed Mc Devillem.

– Coś ty zrobił z moją córką? – spytał stanowczo.

Traper się roześmiał złowieszczym chichotem. Starym zwyczajem chwycił drewniany konar i razem z przekleństwem, rzucił nim. Paweł poczul dreszcz na myśl o tym, z jaką łatwością Mc Devill może zgruchotać mu kości. Powinien unikać potężnych ramion i wielkich łap tego dzikusa, który zastąpił mu drogę, wściekły i dygocący z nienawiści. Przypomniął sobie, że dawniej w zwykłych zapasach tylko spryt go ratował, a nie siła. Miał też w sobie dar przewidywania i właśnie musi go wykorzystać!

Kiedy traper znowu rzucił w niego kłosem, jak zwinny kot uskoczył, a ciężki pień wylądował na futrynie drzwi szopy. Natychmiast odzyskał pewność siebie i nim traper wpadł na niego, prawą pięścią grzmotnął go pomiędzy oczy. Przeciwnik zachwiał się, ale natychmiast zebrał wszystkie siły i omal nie zwałił Kaszuba z nóg. Gdyby jego potężny cios nie zsunął się z szyi Pawła, na pewno by było już po walce.

Mimo przerażającego bólu Paweł z całą swoją siłą i energią pięści uderzył Mc Devilla prosto w jego wystającą szczękę, a sam się potknął i wywrócił. Traper zatoczył krąg, krwią nasiąkła jego broda i runął jak długi na podłogę szopy, nie dając znaku życia.

Ostatkiem sił Paweł podniósł się, chwycił ciężki konar, stanął rozkrokiem nad Mc Devillem i zapytał.

– Teraz powiesz prawdę, złodzieju, albo tu zostaniesz na zawsze! – krzyknął jak ranny zwierz.

Traper był przerażony. Widział straszną wściekłość w Pawła oczach. Został pokonany.

Teraz jego twarz, obrośnięta szczeciną, przypominała nieporadnego, ciężko dyszącego starca leżącego u jego stóp. Mc Devill zdążył niewyraźnie wyszeptać:

Mish'wa, jezioro McKaskill, Czipewejowie i niedźwiedź. Zamknął swe ślepie i zasłabł!

Kaszub podał mu garnuszek z jego rumem i prawie sam padając ze zmęczenia opuścił szopę.

A więc to jednak „Sprytny Ryś”, Mish'wa, uprowadził Agatę i dla okupu. Ileż to dziewczek sprzedawali handlarze na targu, w Renfrew! – rozmyślał.

*

Do osady Czipewejów nad jeziorem McKaskill było stąd ze trzy dni drogi, dalej to już tylko rzeka Patawawa a za nią wielka Ottawa. To koniec tej północnej puszczy. Tam żaden biały człowiek nie dociera, nie ma dróg, ani leśnych duktów, tylko dzicz i niekończąca się pustka, bagna i moczary.

Paweł nie umiał sobie wytłumaczyć wypowiedzianego przez Mc Devilla, słowa „niedźwiedź”.

Co ten brodacz miał na myśli? Czyżby się coś złego stało? Zaczął żałować, że więcej szczegółów nie wycisnął z trapera, a miał ku temu okazję.

Obolały, zmęczony, ze zdartym naskórkiem na szyi i pragnieniem odbicia dziewczyny, położył się na nadrzecznej skarpie i zasnął.

*

Kiedy Harry powrócił nad jezioro, Kaszubi byli tu już świetnie urządzeni? Nie brakowało im jadła, ani wygodnego spania, mieli ochronę przed zimnem, deszczem i wiatrem.

Przyprowadził ze sobą dwa wierzchowce. Otrzymał je od zaprzyjaźnionego Irlandczyka, który gospodarzył na farmie nad rzeką Sherwood. Był wzruszony wieścią o uprowadzeniu dziewczyny przez czerwonoskórych. Ofiarował swą pomoc.

Dowiedział się, że Mish'wa nie pojawił się w osadzie Algonquinów, skąd pochodził. Jednak tam nie wierzono w to, aby on mógł uprowadzić białą dziewczynę. Powiedziano mu, że jest to zły i niewłaściwy trop.

Paweł opowiedział Harremu o zajściu z Mc Devillem i o informacji, które od niego uzyskał, a te wydawały się być wiarygodne i przekonujące. Tropy końskich kopyt i śladów ciągniętych travois kierowały się na północ, a więc w kierunku jeziora McKaskill.

Przy dobrej pogodzie jeźdźcy powinni tę drogę przebyć w ciągu zaledwie dwóch dni i dwóch nocy i dojechać do źródeł rzeki oraz osady Czipewejów w Czerwonym Jarze – przewidywał Harry.

*

Nazajutrz listopadowy dzień wstawał niezwykle słoneczny, a biały i złoty las, skłaniał do optymizmu. Obaj wyruszyli w pogoń za Sprytnym Rysiem, który uprowadził Agatę.

Na początku drogi nie sprawdzali śladów, bo Paweł już wcześniej zaznaczył je kolorowymi wstążkami. Zresztą teraz byłoby to już niemożliwe, gdyż burza i ulewa, która przeszła nad puszcza kilka dni temu, zamieniła drogi w rwące potoki.

Jechali spokojnie, wzdłuż Złotej Rzeki, aż do jej źródeł nad jeziorem McKaskill, gdzie obozowali Czipewejowie.

Już po paru godzinach znaleźli mankiety oberwane od korszuli Agaty. Uwierzyli, że wybrany przez nich trop był właściwy.

Harry był dobrym zwiadowcą, czym zaskakiwał Pawła, co chwilę. Pokazał sędziwe drzewo, pod którym Mish'wa błagał i prosił Wielkiego Ducha Algonquinów o deszcz i zatarcie jego śladów. Na splekanej korze odkrył kłęby końskiego włosia.

Wjechali w nadrzeczne zarośla o niebywale intensywnej cytrynowej barwie. Znów zatrzymali się na chwilę. Teraz w ręku Harrego Paweł zobaczył wielkie pręgowane strąki.

– To są hikory, spróbuj – powiedział. – To orzechy, indiański przysmak w puszczy.

Już nie szukali tropów konia Sprytnego Rysia, bo nad-rzeczne rozlewiska całe usłane były tropami łośi, niedźwiedzi, kojotów, a nawet wilków.

Wścibskie szopy pracze, zwane tu raccon, towarzyszyły im w czasie całej wędrówki po puszczy. Na postojach okradały ich z jadła i niepokoiły konie, zaglądając do przytroczonych do siodła toreb.

Wieczorem, czwartego dnia, dotarli bezpiecznie do Czerwonego Jaru i osady Indian, gdzie można było naliczyć ze czterdzieści wigwamów. Otoczyła ich sfera psów, podobnych do wilków i mniejszych kojotów.

Ich ujadanie było tak głośnie, a zaciętość tak agresywna, że gdyby nie siedzieli na koniach zostaliby pożarci przed odwołaniem ich przez opiekuna.

Już z pierwszej rozmowy Harry zrozumiał, że w tej osadzie Agaty nie było. To była też ich porażka w walce Mc Devillem! To nie był właściwy trop!

Stary Indianin, który przyszedł zabrać psy, powiedział im, że pomoc im może tylko Wakan. Tak w osadzie wabiono psy, tu jednak tym imieniem nazywano szamana-jasnowidza.

Wigwam Wakana stał w samym środku osady, tuż przy wielkiej, białej sośnie, rzadko już spotykanej w puszczy. Jasnowidz był w sędziwym wieku. Miał przyprószoną siwizną głowę, szeroką kobiecą twarz, śniadą, smutną, wielkie jasne oczy, śledzące ich w półmroku domu. Wejście zasłonił skórą łośia, zrobiło się jeszcze ciemniej. Wnętrze teraz oświetlał tylko żar ogniska i niewielki otwór w szczycie wigwamu.



...Rząd w Ottawie musiał w końcu uznać te tereny za polską enklawę, a krainę tą ze stolicą Wilnem, nazwać Polskimi Kaszubami. ...



... Cała ta kraina należała do Czipewejów, od ponad dwóch tysięcy lat. ...

Szaman zapalił kadzidło pełne wonnych ziół. Trudniej im było teraz oddychać, nawet czuli zawroty głowy. Indianin jednak dalej dosypywał sproszkowane rogi i dokładał wysuszone makówki. Kłęby dymu zgromadziły się w górnej części wigwamu i zasłoniły otwór kominowy.

Paweł już miał opuścić domek jasnowidza, ale Wakan wyczuł jego zamiary, podniósł ręce do góry i powiedział: – Widzę młodą dziewczynę, obok niej wielki, kudłaty baribal.

Paweł aż podskoczył i gdyby nie Harry wypadłby chyba z wigwamu. Ale Indianin nie przerywał i mówił dalej:

– Niedźwiedź liże jej rękę, a ona się uśmiecha. Obok rośnie wielki las i stoi stara chata, a to wszystko daleko, daleko w puszczy.

Obaj tą wizją jasnowidza byli załamani i jeszcze bardziej pogrążeni w smutku.

Przed nimi było nowe zadanie, niewiadomo czy realne, odnalezienia Agaty. Paweł płacił okropną cenę za swą naiwność.

20. ORLE GNIAZDA

W ciągu tych wrześniowych dni z północy nadciągały porywiste i mroźne wiatry. W nocy ścinały wodę w strumykach, a puszcę przyozdabiały w barwne szaty.

Czerwone i żółte kolory drzew rankiem rozjaśniała biel szronów, a ciemnozielone jodły, sosny i cedry upiększały lodowe sopte. Zwisając ku dołowi błyszczały tysiącami zimnych iskerek i tym silniej rozbłyskiwały na ścianach lasów, im krócej żyły i z brzękiem tłuczonego szkła rozbijały się o zmrożoną ziemię.

W takich dniach nad puszcza powietrze bywało kryształowo czyste, niebo błękitne, a silne, aromatyczne zapachy iglastych drzew roznosiły się i drażniły nosy.

Harry po wielomiesięcznej tułaczce po puszczy bardziej niż kiedykolwiek cenił sobie tę wspólną wyprawę z Kaszubami. Jeszcze nigdy w życiu nie był nikomu tak potrzebny, tak odpowiedzialny za wykonanie zleconego zadania i niesienia pomocy ludziom, jak to właśnie czynił teraz.

Pomagał jak tylko umiał najlepiej w poruszaniu się po nieznanym im puszczy, pośredniczył w nawiązywaniu przyjaźni i uczył nowego języka radzenia sobie w obcym, nieznanym środowisku.

Szli na południe wydeptaną ścieżką, szlakiem wzdłuż meandrującej rzeki, już ze dwadzieścia mil. Harry dodawał im ciągle odwagi i wiary w siebie.

Wokół Piotra Osieka i Jacka Kołodzieja skupiło się osiem rodzin - prawie trzydzieści pięć osób. Druga, mniejsza grupa, licząca sześć rodzin i (trzydzieści osób) znacznie pozostawała w tyle. Prowadzili ją Krystian Barcz i Wojciech Miech.

Zmęczeni, wolno szli po wilgotnym kobiercu jesiennych traw, mijali kępy sosen i jodeł. Pokonywali liczne strumienie i mokradła, aż do rzecznej, piaskowej grobli.

Tutaj, na zakręcie rzeki gwałtownie zmieniającej swój nurt na zachód, rozbili biwak. W półkolistym kręgu naprzeciw siebie, pobudowali kilkanaście szałasów i rozpalili wielkie ognisko. Tutaj też do późnej nocy toczyły się obrady przywódców obu grup. Debatowano nad wysłaniem zwiadowców w puszcę, dla wytypowania najżyźniejszej ziemi pod uprawę roli i na działki budowlane, obiecane im przez rząd w Ottawie.

Uważali teraz, że nie ma na świecie puszczy podobnie wspanialszej, którą jesień umiała tak przyozdobić, jak ta tutaj gdzie przybyli, gdzie stawiać będą swoje własne farmy.

Godzina próby była tak blisko. Osiek i Kołodziej wzięli na siebie cały ciężar odpowiedzialności za wybranie krainy podobnej do ich ukochanych Borów Tucholskich.

Cichy szept rzeki dodawał im otuchy i odwagi. Rankiem ruszyli w puszcę. Szli stale na wschód, przedzierali się przez lesne gąszcze, odpoczywali na piaskowych wydmach. Omijali liczne strumienie, oczka wodne i mokradła, nim ich zastała noc.

Koczowali na rozłożonych gałęziach. Gwiazdy migotały im nad głowami, kiedy spali.

Las napawał ich brzemieniem dźwięków, hukaniem sów, pluskiem bobrów, ryb i dzikich kaczek. Czasem nawet wsłuchiwali się w wycie wilków. Po wschodzie słońca rozbrzmiewał świergotem ptaków, tak jak dawniej, za czasów ich młodości, w dalekiej ojczyźnie.

Wiedzieli już, że ta ziemia musi należeć do nich, do Kaszubów. Nie była żyzna, ale lasy, rzeki i jeziora - to wszystko tu

było takie bliskie ich sercu, tak wymarzone przez tyle miesięcy, tułaczki, trudów i niepewności.

– Zobacz Piotrze, to polski orzeł!

Wielki ptak o skrzydłach dwumetrowej rozpiętości wypłynął z za lasu. Piotr podniósł wzrok do góry. Orzeł szybował majestatycznie i bezszelestnie, kierując się nad przeciwległy brzeg jeziora. Tam, nad jego skrajem, miał w koronie drzewa swoje gniazdo.

Jeszcze tego samego dnia wycięli sporej grubości pień cedru i wkopali w ziemię, na najwyższym szczycie pagórka, stąd roztaczał się wspaniały widok na doliny i wzgórza ich ziemi obok posadzili klon.

Piotr przed nim uklęknął i uroczyście podnosząc palce na znak zwycięstwa przyrzekał, że ten cedrowy słupek będzie tu stał setki lat, tak jak trwała będzie tu mowa polska, obyczaj, a Bóg będzie mieszkał razem z nimi.

– My te ziemie w imieniu Pana obejmujemy po wieczne czasy i nazywamy Polskimi Kaszubami – mówił. - Tutaj na kanadyjskiej ziemi stworzymy pierwszą polską parafię katolicką, o której dowie się cały świat, a przede wszystkim wrogowie i ciemiężyciele ludu kaszubskiego!

Do zimy niewiele brakowało czasu. Każda z rodzin wybrała kilkadziesiąt akrów ziemi w puszczy i rozpoczęła budowę swoich chat.

*

Piotr zapalił fajkę, odsunął drewnianą zasuwę i otworzył drzwi domu. Po raz pierwszy od wielu dni ujrzał, że na południowej krawędzi lasu płonął zimny krążek słońca. Oświetlał śnieżny krajobraz, to lasów, to przysypanych chałup białym puchem, to znów wykrzywionej starej sosny stojącej obok.

Panowała cisza i pustka. Były to strony na ogół bezludne, tylko rzadko tu docierali Indianie w pogoni za jeleniem, albo tra-perzy zastawiający pułapki na bobry i kuny.

Najbliższe ludzkie osiedle, Killaloe, leżało ze dwadzieścia mil na wschód, a drugim była osada nad jeziorem Barry's Bay, też położona w podobnej odległości.

Jednak ślady na śniegu pozostawione przez Algonquinów znajdowano często w pobliżu ich osady.

Naraz Piotr usłyszał skrzypnięcie płóz. Przed chatę przybył na śnieżnych raketach, jego przyjaciel Jacek Kołodziej. Spod bobrowego futra wystawały tylko niebieskie oczy i zaróżowiony czubek nosa.

– Pozwól, że do ciebie wstąpię na chwilę, dla rozgrzania - powiedział. – Ale też chciałem namówić ciebie na spacer na górę, pod cedrowy pał, byś zobaczył nasze dzieło.

– Proszę wejść – krzyknął Piotr. – Drzwi stoją otwarte!

– Diabelski kraj – mówił, dygocąc z zimna gość i zdejmował futro zgrabiałymi rękami. – U mnie leży chyba ze trzy metru śniegu, a od lasem ze sześć. Rozłożył ręce nad piecykiem, z zadowoleniem i z ulgą rozgrzewał dłonie.

Kwadrans po ósmej wieczorem wyszli z chaty i brnąc w głębokim śniegu dotarli na szczyt, gdzie jesienią wkopali cedrowy słupek. Dolina tonęła w zupełnych ciemnościach. Ze szczytu wzgórza widzieli wyraźnie jak tu i ówdzie płonęły mdłe światełka w kaszubskich chatach.

Wybudowano je na zboczach wzniesienia. Stanęli przed słupem cedrowym i zastanawiali się nad losem swoich rodaków.

Marzyło im się, aby w tym miejscu na największym wzniesieniu stanął wielki kościół w podziękowaniu Matce Bożej za szczęśliwe doprowadzenie ich do celu, a w dolinie miasto polskie, z ulicami i sklepami, aby w nim mówiono po polsku i uczono ojczystej mowy.

Wierzyli też, że w tych okolicach, gdzie swe gniazda wiją orły, symbole dalekiego kraju, powstaną polskie parafie i osady.

Obaj Kaszubi czasów tych nie doczekali, ale ich marzenia miały się spełnić w latach późniejszych.

Dzisiaj miasto to zwie się Wilnem, jest stolicą polskich Kaszub na Ontaryjskiej Ziemi. Ludzie mówią w nim po polsku. Wprawdzie Kaszubi nie wydali uczonych, ale wyszło stąd wielu świątłych ludzi.



21. ŁOWCA JELENI

Po burzliwej, nocnej naradzie w szałasie Miecha sześć kaszubskich rodzin, razem dwadzieścia osiem osób, wyruszyło w ostatnią swoją drogę. Celem była ziemia przydzielona Kaszubom nad Zatoką Barry's Bay i jeziorem Wodsworth przez rząd w Ottawie.

Łowcę Jeleni, jak nazywano młodego Barcza, wyprawiono wcześniej na zwiady dla przetarcia drogi i rozpoznania terenu.

Krystian Barcz w czasie tej wyprawy do puszczy niemal od samego Renfrew dał się poznać, jako najlepszy tropiciel zwierzyny wśród młodych Kaszubów. Szybko nawiązywał przyjaźnie, uczył się języka angielskiego i Algonquinów. Ubrał indiańskie odzienie z delikatnej jeleniej skórki z charakterystycznymi frędzelkami, zakładał mokasyny, a nawet włosy przewiązywał wstążką. Nie miał zarostu na twarzy, toteż szybko upodobił się do czerwonoskórych mieszkańców puszczy.

Właściwie to jemu Kaszubi mogli zawdzięczać obfitość jada. On jeden umiał tropić jelenia i powalić celnym strzałem. Za te łowieckie wyczyny z czasem przewano go Łowcą Jeleni.

Wielu jednak starszych Kaszubów miało do niego żal, że nawiązywał znajomości z włóczącymi się po puszczy typami spod ciemnej gwiazdy, często pijakami i rzezimieszkami, którym się w życiu nie powiodło.

Tej ostatniej nocy na nadrzecznej grobli powierzono mu zadanie bardziej poważne i odpowiedzialne, niż miewał dotych-

czas. Miał dotrzeć nad Barry's Bay i Wodsworth, znaleźć ziemię wolną, wystarczająco dużą dla zagospodarowania przez sześć rodzin, tereny żyzne dla uprawy zbóż, nadające się na pobudowanie chat, miejsce, gdzie można postawić kościół, a ludzie by mieszkali blisko obok siebie, aby do sąsiadów z Wilna i Round Lake nie było dalej niż dwa dni drogi.

– Zadanie trudne, ale nie dla takiego zwiadowcy jak ja – mówił do siebie Łowca Jeleni.

Kiedy ostatnia grupa Kaszubów opuszczała piaskową groblę, na niebie krążyła para orłów, która kołując zataczała kręgi, jak gdyby wskazując drogę na południe. Mówiono, że to dobry znak dla wędrowców!

*

Łowca Jeleni, starannie obierając drogę wśród gęstych lasów, omijając domniemane miejsca zasadzki, stale trzymał dłoń na kolbie swego rewolweru. Już kilkakrotnie zauważył, że śledziło go kilka par oczu, znajdował też ślady mokasynów, które były pieczołowicie zacierane jodłową gałązką. Jednak w puszczy nie był w stanie nikt go przechytryć i wyprowadzić w pole. Pod wieczór natrafił na osadę, która wyglądała jak wymarła, tylko tu i ówdzie szczekały psy, a na niebie widać było stadka dzikich kaczek i gęsi szykujących się do zapadania na nocne leże. Gdy wszedł do któregoś z tych domów, nikt go nie witał, a nawet nie wyszedł na spotkanie. Wstąpił do słabo oświetlonego sklepiku, by zasięgnąć informacji. Też tu nie było nikogo jednak, kiedy szerzej otworzył oczy, ujrzał za ladą drzemiącego sprzedawcę. Nim go zdążył pozdrowić, ten stanowczo oświadczył: – Nie pytaj o nic, wracaj tam skąd przyszedłeś!

Wyszedł na zewnątrz.

Co za okropni, niegrzeczni Jankesi, nawet człowiekowi z puszczy nie pomogą – mówił do siebie.

Nagle doznał olśnienia. To pewno jego ubiór działa tak na tutejszych mieszkańców, biorą go za czerwonoskórego.

Jednym szarpnięciem otworzył drzwi i zanim wypowiedział słowo, zobaczył lułę rewolweru skierowaną w jego stronę.

– Odłóż, Jankesie, ten pistolet, jestem Polakiem i będę tu mieszkał! – wykrzyknął.

Sprzedawca szeroko otworzył oczy. Wyciągnął rękę i zaczął wołać głosem pełnym śmiechu i łez:

– Barcz! Barcz! – Proszę rozbierz się i zdejmij z siebie te łańchmany. A myśmy cię wzięli za czerwonoskórego.

Teraz dopiero Krzysiek rozpoznał w sklepikarzu Michaela z saloonu w Renfrew, gdzie po nocnej, zakrapianej libacji, obaj wyrzucili jakiegoś typa za drzwi i mocno się ścisnęli na pożegnanie.

– Gdzie jest Harry? – zapytał sklepikarz.

– Będzie za dwa dni, razem z Kaszubami – odrzekł Krzysiek.

– Ty się mnie bałeś?. Nikt by tu w miasteczku ciebie nie rozpoznał!

W kominku brzozone polana buchnęły silniejszymi płomieniami i zrobiło się widniej, cieplej i przyjemniej. Siedzieli jeszcze z godzinę przy dogasającym ogniu zanim Barcz miał położyć się spać.

Łóżko, na które spojrzął, rozwiało jego obawy. Było to prawdziwe łoże, a on przecież przez szereg dni sypiał na sosnowych gałązkach i na gołej ziemi.

Michael był prawdziwym przyjacielem. Przygotował dla niego prześcieradło, poduszkę i ciepłą derkę.

Nastawał ranek. Krzyśka zbudził snop słonecznych promieni wpadający przez okno.

Czuł się niezwykle rześko. Balsamiczne powietrze, zapach starej chaty, przypominały mu czasy dzieciństwa. Był szczęśliwy i gotów do dalszej drogi.

W izbie pachniało wędzonką i jajecznicą. Michael zdążył już przygotować śniadanie. Na cynowych talerzach zachęcająco wyglądała pieczeń z niedźwiedzia, stał też pełen talerz jajecznicy. Krzysztof wiedział teraz, że jego precyzyjny plan na dzisiaj, który zakładał zbadanie krainy nad jeziorem Carson, spalił na panewce.

– Co ty chcesz szukać w tej dziczy? – pytał przyjaciel. – Przecież tam tylko spotkasz czerwonych, szukających kun i bobrów. Ziemie tu wszędzie marnie. Żeby nie te lasy, dawno byśmy pomarli z głodu. Moja farma stoi pod samym lasem i prawie jest pusta. Trzymam tam tylko moje wierzchowce, odkąd opuściła mnie żona.

Michael rozlał do kubków nalewkę, którą sam zrobił z dzikiego ryżu, bo, jak mówił, godnie chciał ugościć starego przyjaciela. W puszczy nie było wiele okazji do takich spotkań, a nawet do otwarcia do kogoś gęby.

– Barcz mój drogi przyjacielu, posłuchaj mnie uważnie. Wypij ten drugi kubek, na następną nogę – zachęcał.

Teraz już gładko potoczyła się rozmowa.

– Jak Harry przyprowadzi tych twoich rodaków – mówił Michael – mogą zamieszkać w mojej chacie pod lasem, a ty będziesz miał czas znaleźć to, czego szukasz. Będą mieli dach nad głową. Zobacz, znów zaczyna wiać i ciemne deszczowe chmury ciągną na jezioro.

Krzyškowi plan przyjaciela wydał się dość mądry i zachęcający. Propozycja skorzystania z jego chaty była dość ponętna.

Dowiedział się też, że nad zatoką Irlandczycy wybudowali trzy farmy, w tym należącą do gospodarza. Wszyscy już dawno zrezygnowali z uprawy ziemi i zajęli się handlem skórami. Stało się to powodem stałych konfliktów z Indianami o tereny myśliwskie.

Traperzy szybko się bogacili i coraz częściej trwonili zarobioną fortunę w spelunkach w Renfrew. Wielu z nich jeździło

nawet do Cambermore, gdzie wydawali pieniądze w kasynach gry i na dziewczyny.

Pod wieczór do miasteczka Harry przyprowadził resztę kaszubskich rodzin, utrudzonych daleką drogą i głodnych. Zaferowana chata Michaela wydała im się szczęśliwym rozwiązaniem. Mogli się tu umyć przy kamiennej studni i odpocząć w dużej izbie, dzieląc ją po połowie z kilkoma wierzchowcami. Odgradzała ich od nich tylko ściana z polan, stanowiącą zapas drewna na zimę.

Rozpalony żeliwny piecyk, do którego włożono metrowej długości kłocę, buchał ogniem, z trzaskiem wyrzucał na zewnątrz wiele iskier.

Jadła było też tu, co niemiara. Gospodarz na poddaszu zgromadził olbrzymią ilość jaj od dzikiego ptactwa - gęsi, kaczek i mew, półcie łykowatego mięsa z niedźwiedzi, topione sadło z bobrów i suszone ryby.

Brzuchy im szybko pęczniały od nadmiaru jedzenia, zrobiło się ciepło i przytulnie, a kiedy po dachu zaczęły dudnić głucho krople deszczu, chata zamarała w głębokim śnie.

Następnego ranka Krzysiek razem z Michaeliem schodził z zielonego zbocza nad brzegiem jeziora Carson. W dali widniała wstęga boru i roztaczała się czerwona toń wielkiej kanadyjskiej tajgi.

Niedawny deszcz ożywił dolinę, słońce oblewało ją złocistymi promieniami. Radość z uroku tego krajobrazu była tak wielka, że ścisnęło ich pod sercem.

Krzysiek zauważył, że okolice te roily się od wodnego ptactwa, które całymi stadami przybywało z północy, wypędzane stamtąd srogą, arktyczną zimą.

Jezioro był pełne bernikli kanadyjskich, północnych kaczek i nurów, drapieźnych rybołówów i orłów białogłowych.

– Zawsze marzyłem o takim świecie! – zawołał.

Krzysiek miał przemyślnie wybraną drogę wzdłuż jeziora, przypominającego swym kształtem rozłożone ramiona mocarnego Herkulesa w dolinie Madawskiej. Po wielu latach nazwano je jeziorem Bark. Jeszcze tego samego dnia znaleźli się nad uroczym jeziorem. Według indiańskiej legendy Wielki Duch porzucił tu kamienie po wodzie, chcąc w ten sposób wypędzić straszego potwora, który wykradał bobry. Kiedy Barcz po latach naniósł je na swoje mapy, nazwał je Kamieniskiem, a irlandzcy osadnicy – Kamaniskeg.

Wiele jeszcze dni i nocy kręcili się po puszczy, szukając dogodnych warunków dla siebie. Jednak ziemie tu wszędzie były podobne - bezludne, dzikie pagórkowate i nieurodzajne. Bardzo przypominały ojczysty krajobraz z Borów Tucholskich i Kaszub.

Przez następne lata Kaszubi całkowicie przejęli te ziemie, pobudowali chaty, wykupili wiele irlandzkich farm i zaczęli solidnie gospodarzyć. Pobudowano kościół, powstały polskie ulice, mieszkańcy Barry' Bay mówili zawsze tylko w ojczystym języku. Na tabliczkach domów widnieją polskie nazwiska. Wkrótce powołano drugą polską parafię, przy której skupili się Kaszubi, gdzie do dzisiejszego dnia kontynuowane są polskie tradycje, biją dzwony na Anioł Pański w podzięce za opiekę i pomoc dla ludu kaszubskiego.

Barcz, Łowca Jeleni wraz z Irlandczykiem Michaeliem i Harrym pomagali w załatwieniu wielu trudnych formalności związanych z aktami własności ziemi i wykupu farm.

Rząd w Ottawie musiał w końcu uznać te tereny za polską enklawę, a krainę tą ze stolicą Wilnem, nazwać Polskimi Kaszubami!

22. Ś L U B A G A T Y

Wraz z przybyciem Barcza do Barry's Bay z chaty Michaela znikł ostatni cień smutku. Obaj mieli podobne zainteresowania i charaktery, toteż o leśnych łowach, traperach, czerwono-skórych, mogli rozmawiać bez końca.

Krzysiek znalazł tu wiele zajęć, Opiekował się końmi, z których jeden stał się jego własnością, otrzymał też od przyjaciela stary drewniany kuferek. On to właśnie miał się stać oczkiem i centrum jego zainteresowania w czasie długich i zimowych wieczorów.

Michael znalazł go ubiegłej jesieni w puszczy, obok trapera Bonina przywalonego w czasie burzy starym drzewem. Było w nim sporo bezwartościowych papierów i trochę nabojów do rewolweru, toteż skarb ten zupełnie go nie zainteresował. Za to Barcz odkrył w starym kufrze sporo notatek sporządzonych przez trapera, map ręcznie narysowanych, węglowych ołówków i wy-cinków ze starych gazet mówiących o wydarzeniach sprzed lat. Chwilami, kiedy odkładał tę pasjonującą lekturę, spoglądał przez okno swej izby. Jego czujne źrenice opasywały dalekie pasmo jodłowego boru i biel łąki pokrytej zaspami śniegu. Znów bardzo tęsknił za puszczą.

Zaraz po Nowym Roku nadeszły okropne mrozy. Okno pobiegało szronem, a przed progiem utworzyły się wielkie zasy śniegu. Uwięziony w chacie Barcz nie marnował czasu. Często zaglądał do starego kufra, przeglądał notatki i studiował mapy trapera, uzupełniał je i dopisywał swoje uwagi. Jego lampa olejowa zawieszona pod sufitem prawie nie gasła.

Jedna z notatek mówiła o smutnej dziewczynie, ślicznej urody blondynce, którą prowadziła po puszczy stara niedźwie-

dzica. Przejął się bardzo jej losem. Kiedy klękał do wieczornej modlitwy i zamykał oczy, ukazywała mu się prosząc o pomoc.

Z początku kojarzył te zjawy z przemęceniem i narkotycznym zapachem olejowej lampy. Dziewczyna jednak przychodziła we snach każdej niemal nocy i go budziła. Zeskakiwał w ten czas z łoża i uspokajając się palił długo fajkę.

Widował ją jak splotała swe włosy w długie, złote warkocze. Śmiali się razem jak małe dzieci, a kiedy objęli się, ona głaskała czule jego twarz i płakała ze szczęścia. Zamiast się jej odwdzięczać, opanowywał go szal i gorączka łowów w puszczy. Ciągle wędrował wśród pustych pułapek i sideł, potem ginął w ciemnych czeluściach boru.

Stawał się coraz bardziej niespokojny i nerwowy. Pod koniec zimy zwierzył się ze swoich męczących snów Michaelowi.

- Nie lekceważ tego, co ci Wielki Duch mówi, bo on mówi prawdę - powiedział przyjaciel. - Ta dziewczyna ciebie potrzebuje. Pomogłeś Kaszubom, musisz pomóc jej. Ja nawet ci powiem, kim jest ta dziewczyna, choć w życiu jej nie widziałem!

Krzysiek myślał, że Michael żartuje, jednak usiadł na przeciw swego przyjaciela, tak jak siadają Indianie, na dużej skórze niedźwiedziej. Otworzył szeroko oczy i powiedział:

- Czekam, cóż też ty mi masz do powiedzenia o moich snach.

- Pamiętasz jak spotkaliśmy nad rzeką pod Killaloe starego Indianina?

- Pamiętam Michaelu i co z tego wynika?

Otóż on wówczas mówił o jasnowłosej dziewczynie, która chodziła po puszczy z wielkim włochatym niedźwiedziem. Jak zrozumiałem, było to w osadzie Czipewejów nad Opeongo, daleko stąd, bo w głębi puszczy.

Krzysiek zrobił się błydy i jakby omdlały. Gospodarz widząc jego zachowanie, zapytał, co się stało.

- To na pewno Agata - wykrzyknął Kaszub. - Ta uprowadzona przez Mish'wę córka Węglarza. Nie, to niemożliwe. Ja wi-

działem w Round Lake przecież dziecko, a nie dziewczynę z kufierka i moich snów! Dla swoich zrobię wszystko. Jeżeli to jest prawda, odnajdę tą dziewczynę choćby mieszkała na samym końcu tej wielkiej puszczy!

*

Tymczasem w całej krainie Algonquinów panowała pora zielenienia się liści. Ciepłe podmuchy wiatru ożywiały przyrodę, topiły ostatnie śniegi, ptaki budowały gniazda, a księżyc na niebie rósł w oczach.

Wówczas to Łowca Jeleni wyruszył w swą daleką drogę, na północ do czerwonych braci Czipewejów, aby odzyskać dziewczynę.

Zerwał się przed świtem, ale nie czuł wcale zmęczenia po wczorajszej wielogodzinnej dyskusji z Michaeliem. Wyprowadził z szopy swego wierzchowca, przyjaźnie pogładził po wielkim łbie i z zadowoleniem dosiadł, klepiąc go po szyi.

Noc była jaskrawa, niezwykle rozległą przestrzeń zatoki Barry's Bay spowiła delikatna mgiełka. Z wysokości końskiego siodła chłonał otaczający go krajobraz. Mijał kilka drewnianych chałup. Tylko w jednej z nich żarzyła się olejowa lampa, reszta tonęła w głębokim śnie.

Skręcił teraz w prawo. Jechał coraz szybciej wydeptaną ścieżką nie patrząc na drogę. Nagle zauważył na nadbrzeżnej skarpie jarzące się głównie paru indiańskich ognisk. Usłyszał też dalekie ujadanie psów.

Kiedy wynurzył się z lasu zauważył w jasnej poświacie księżycy siedzącą na skale nieruchomą postać ludzką. Instyktownie sięgnął po rewolwer. Indianin się podniósł. Z głośnym szczekaniem podbiegł do niego rosty wilczur, a kiedy zauważył stojącego nieruchomo jeźdźca natychmiast się uspokoił.

Barcz teraz spostrzegł, że Indianin to zgrabna młoda kobieta, o długich, czarnych włosach spływających na jej piersi. W poświacie blasku księżycy również i twarz miała ciemną.

Zawstydzony szybko schował rewolwer. Nie bała się zupełnie. Zawołała psa, pochyliła się nad nim i coś szeptała do jego ucha.

Niespodziewanie od pnia stojącego obok oderwała się sylwetka mężczyzny. Krzysiek błyskawicznie sięgnął po rewolwer, ale Indianin był szybszy. Uchwycił silnie jego dłoń i przycisnął do upręży. Poczul silny ból w ramieniu.

Zapytany o powód wizyty w osadzie Indian opowiedział historię uprowadzenia Agaty przez Sprytnego Lisa, syna wodza Algonquinów, i o ojcu Jakubie, który jest jego przyjacielem i pochodzi z tego samego kraju.

Czipewejowie znali misjonarza. Przyjechał do nich zza morza, leczył ich chore dzieci i ustawił na wzgórzu krzyż białego Boga.

– Jeżeli on jest jego przyjacielem, to oni również zrobią wszystko, aby i jemu pomóc – powiedział Indianin, zapraszając go do wigwamu.

Zajęli miejsca po obu stronach ławy. Barcz wyjął z kieszeni zwitek papieru, delikatnie rozprostował i ręką wygładził. Indianin ujrzał na nim mapę z naniesionymi rzekami i jeziorami. W kilku miejscach były tam narysowane indiańskie namioty i pojedyncze traperskie chaty.

– Sądzę, że powiesz mi prawdę gdzie znajduje się dziewczyna z bladą twarzą, która chodzi po lesie z niedźwiedziem i w której pułapce jest uwięziona – zaczął rozmowę Krzysiek.

Czarne włosy Czipewaja, zwisające dotąd nad skrawkiem papieru, naraz się poderwały, a on sam gniewnie zamruczał pod nosem:

Ty, bladej traperze, ty mi nie pokazuj tych twoich znaków, tylko wskaż, gdzie na tej korze jest rzeka Madawaska i osada Whitney.

Barcz wskazał palcem punkt na mapie. Indianin mówił dalej:

– Pojedziesz wzdłuż tej rzeki, na zachód, a kiedy słońce będzie najwyżej ujrzysz żeremia bobrowe. Tam skręcisz na północ. Dopiero przed nocą zobaczysz jezioro Lobster. Nad jego brzegiem stoi Chata Niedźwiedzia, tam też mieszka ta twoja blada dziewczyna.

Krzysztof podziękował za informację i szybko się oddalił. Nie chciał marnować cennego czasu.

Nie dbał o swój wygląd. Nagły napływ energii dodawał mu sił i radości. Przecież był u celu podróży i spełnienia swoich marzeń.

Jeszcze przed wieczorem dotarł do miejsca, gdzie rzeka wypływała z jeziora. Koń kroczył powoli, a on wzrokiem badał oba brzegi. Nagle ujrzał płynące czółno, w nim kręłą kobietę ubraną w jelenią skórę, o czarnych długich włosach, zwisających spod futrzanej czapki.

Na brzegu, dokąd płynęła, wśród kamieni i żwiru czekał na nią wielki niedźwiedź. Jego odsłonięte, białe kły lśniły i groźnie błyszczwały z daleka.

Panowała tu grobowa cisza, a krajobraz był dziki i niedostępny. Drewniana chata z wystającym kominem stała pod lasem. Osłonięta była od zewnątrz świerkowym młodnikiem. Krzysiek był ogromnie wzruszony. Zastanawiał się co go czeka, jeżeli znajdzie tu Agatę i jak ona go przyjmie. Czy będzie musiał o nią walczyć?

Obok leśnego domostwa, zbudowanego z jodłowych bali, leżał wielki, wydrążony pień starego drzewa. Widać, że była to gawra niedźwiedzia.

Indianka z niedźwiedziem wróciła do chaty. Ukryty sły-szał powitalny okrzyk. Wysunął się zza skały i ujrzał młodą, zgrabną dziewczynę, która porządkowała ogródek. Podszedł bliżej i wykrzyknął jej imię.

Zaskoczona zwróciła się ku niemu i nim zdążyła zrozumieć, co się dzieje, był już przy niej. Była błada i wystraszona.

Głęboko dysząc natychmiast podbiegł też rozwścieczony niedźwiedź i potężnym ciosem swym ciężkiej łapy powalił przybysza. Miał już zatopić ostre kły w jego szyi, gdy Agata krzyknęła:

– Opamiętaj się Wielka Łapa, tak nie wolno!

Przybiegła też Mangawa:

– Weź go stąd, to przyjaciel mego ojca – powiedziała do niej. Indianka zarzuciła na szyję zwierzaka obrożę i zaprowadziła do gawry.

Krzysiek, przestraszony, dopiero teraz otworzył oczy, obtarł rękawem pot z twarzy i wyksztusił: – Agata, dziękuję!

Poznała go od razu. Twarz jej się zarumieniła, a sylwetka wyprostowała. W jego oczach, zmężniała, nabrała powabu i piękna. Przyglądał się jej Barcz uważnie. To już nie była ta sama mała dziewczynka z rozwichrzonymi blond włosami, jaką znał.

Stała przed nim powabna panna. Spod jej kubraczka, z delikatnej jeleniej skóry, tchnęło dojrzałością i kobiecym wdziękiem.

Niespodziewanie wyciągnął ramiona, objął ją tak czule, że głowa jej legła na jego piersi. – Boisz się ty mnie? – zapytał.

Zaprzeczyła, a kiedy spojrzał w jej wilgotne oczy, wiedział już, że będą razem!

Przyciągnął do siebie i poczuł na ustach tchnienie jej warg. Słowa ugrzęzły mu w gardle i mimo że go odpychała, upór jej słabł. Rozczuliła się jak dawniej, na piersi ojca.

Krzysiek doznał wielkiego uczucia. Jeszcze raz ją pocałował, podniósł na ręce i zaniósł do chaty. Zauważył jej szczęście. Zabłysło w jej oczach przedziwne światelko, iskierka nadziei na spotkanie z rodziną.

W izbie wyczuwało się wiosnę. Było czysto i schludnie, na oścież otwarte okiennice. W oknach pełno bazi i przyłasczek, pod sufitem wysuszonych wrzosów, stroików z jodłowych gałązek i pomysłowych kompozycji z szyszek. Nie brakowało też żywicznych zapachów puszczy.

W ciemnym kącie na stojaku siedział puchacz i przyglądał się uważnie nowemu przybyszowi. Zazdrosny o Agatę, chwilami trzepał skrzydłami i huczał.

Krzysiek posadził dziewczynę na szerokim łożu. Zadowolona, uśmiechała się do niego serdecznie, a on miał tyle jej do opowiadania!

Sowa jednak nie chciała pozostawać sama. Przyfrunęła i usiadła Agacie na ramieniu. Zdziwionymi, dużymi ślepiami, wachlując głową, przyglądała się uważnie przybyszowi.

Panna bez przerwy pytała o swą rodzinę i znajomych, o ich zdrowie, o złego Mc Devilla, co porabiają, jak daleko mieszkają. Siedzieli do późnej nocy, dopóki kaganek na stole zupełnie nie zgasł.

Agata była szczęśliwa. Dowiedziała się, że jej rodzina ma się nieźle, wraz z kilkoma innymi postawiła domy na skarpie jeziora, obok gniazda orła.

Kaszubi utworzyli w Road Lake Center parafię, trzecią po Wilnie i Barry's Bay, a obecnie budują kaplicę, która ma być tego lata ukończona. Karczują lasy, sieją zboże i tak jak dawniej łowią ryby, wędzą dziczyznę i robią zapasy.

Zbudzili się o brzasku dnia. Mangawy już nie było w chacie, w gawrze też nie było Wielkiej Łapy.

Krzysiek pilnie oglądał zabudowę i otoczenie nad jeziorem. Był zachwycony ilością rosnących tu poziomek, zawilców, żółtych i czerwonych porostów i białych wełnianek. Bez obawy kręciło się przy nim sporo barwnych ptaszków, podobnych do morneli, tak śmiałych, że można było podnieść je z gniazda razem z jajkiem, które wysiadywały.

Był tym wszystkim zachwycony. Przyroda wokół chaty była wspaniała, pierwotna, dzika, chwytającego za serce. W następnych dniach zaprzyjaźnił się też z mieszkańcem gawry, niedźwiedziem Wielką Łapą.

Wieść o jego obecności w Chacie Niedźwiedzia lotem błyskawicy rozeszła się po puszczy. Pod wieczór przyjechał na białym wierzchowcu Czipawa z osady nad Opeongo, by go zaprosić do wielkiego wodza Se'ha, który bladą twarz uważał za przyjaciela czerwonych braci. Wiedzano już, że pomagał tak jak ojciec Jakub, wszystkim leśnym Indianom.

Po naradzie z Agatą Krzysiek przyrzekł posłańcowi, że odwiedzi indiańską osadę w okresie czerwienienia się liści i dał na to słowo honoru trapera.

Pospiesznie razem przygotowywali się do odwiedzenia rodzinnego osiedla w Round Lake.

Agata wystroiła się jak najefektowniej - w bluzeczkę ze skorki jelonka, obszytą zwisającymi rzemykami, spodnie w wyhaftowane i wypalane parzenice, włosy przewiązała skórzaną tasiemką ze zwisającą pręgowaną kitą szopa. A kiedy włożyła na szyję podarowany jej przez Mangawę wampum z grandli i kłów wilka i dosiadła wierzchowca, Krzysiek oniemiał z radości.

Przypominała mu śliczną młodą, indiańską księżniczkę z osady Algonquinów. Po dwóch dniach podróży przybyli nad jezioro Okrągłe.

Kaszubi zebrali się w nowej kaplicy i dziękowali Bogu za powrót córki Węglarza.

Latem odbył się ślub Agaty i Krzyśka. Był huczny i trwał do drugiego dnia. Błogosławił młodej parze ojciec Jakub z Quebecu, a świadkami byli Michael z Barry's Bay i Harry z Renfrew. Na ślub przybył też Mish'wa ze swą indiańską żoną, bo Agata była pierwszą dziewczyną, w której się podkochiwał.

Małżeństwo Barczów jednak nie umiało żyć z cywilizacją Kaszubów. Woleli dziką puszcę nad jeziorem Lobster i Chatę

Niedźwiedzia, którą Krzysiek nazwał cudownym matecznikiem, gdzie też wkrótce się przenieśli.



23. W ŚRÓD CZIPEWEJÓW

Mangawa była trzecią wśród czterech żon Se'ha, przywódcy koczowniczego plemienia Czipewejów, mieszkającego w puszczy wokół jeziora Opeongo, Wielkiego Cedru i nad rzeką Patawawa.

Tylko przez swą małżeńską zazdrość opuściła osadę i zamieszkała w Chacie Niedźwiedzia. Tu poznała trapera Mc Devilla, którego podejrzewano o romans z nią. Do jej chaty na polecenie przebiegłego trapera Mish'wa uprowadził ubiegłej jesieni Agatę.

Dziewczyna poznała Mangawę i wielu jej czerwonych braci. Se'ha nawet myślał, aby ją przygotować do poślubienia jego najstarszego syna, Śnieżnej Sowy.

Czipewejowie byli dla niej bardzo usłużni i przyjacielscy. Gdyby nie jej odnalezienie przez Krzyska, prawdopodobnie podzieliłaby losów uprowadzonych białych sierot przez traperów i Indian.

– Niech Pan Bóg ci wynagrodzi za to wszystko, co żeś uczynił dla nas, mój synu – rzekł ojciec Agaty, w czasie rozstawania się z córką. – Jesteśmy już starzy i pamiętajcie o nas. Nasze domy stoją dla was stale otwarte.

– Gdybyś Krzysiu wiedział jak ogromnie jestem ci wdzięczna – mówiła dziewczyna, kiedy ją wsadzał na konia.

Przez chwilę trzymał jej jeszcze drżącą rękę i dostrzegł nawet łzy w jej oczach podczas pożegnania z rodziną.

Ruszyli w drogę powrotną. Ubiór miała ten sam. Wydała mu się teraz jeszcze piękniejsza niż wtedy, gdy ją ujrzał pierwszy raz przy Chacie Niedźwiedzia. Miała włosy splecione w jeden gruby warkocz zwisający na piersi. Z każdego jej ruchu przebiegał swobodny wdzięk, a duże niebieskie oczy i szczery uśmiech rozgrzewały leśną atmosferę.

Wracali do chaty oboje szczęśliwi i zadowoleni.

W posagu Krzysiek od Harrego otrzymał strzelbę po Mc Devillu. Znalazł ją tej zimy przy traperze zagryzionym przez wilki. Agata dostała od Michaela łaciatego wierzchowca, od rodziny, derki – z puchu dzikich gęsi. Krzysiek zawiesił na jej szyi amulet ze złotego kruszcu, sam zaś do uprzęży końskiej przytroczył piłę, topory i sieci na ryby.

Mangawa z niedźwiedziem dość długo czekała na ich powrót.

Kiedy zawitali do chaty, wszystko tu było tak jak dawniej. Nagliła tylko podróż do osady Indian Mały Trout, obiecana przez Krzyśka posłańcowi Se’ha.

Za parę dni Czipewejowie obchodzili swe wielkie uroczystości Świętowania Tegerocznych Zbiorów, chcieli też widzieć wśród gości nowych sąsiadów z za miedzy. Jeszcze tego samego dnia opuścili Chatę Niedźwiedzia i udali się do puszczy. Księżyc mienił się srebrnym blaskiem i gwiazdy nisko wisały nad nimi. Nigdy przedtem nie widzieli nocy równie piękniejszej.

Droga na północ była długa i mozolna, wiodła korytami strumieni, wzdłuż urwistych skał, ścieżkami jeleni i łosi.

Z głębi lasu odezwał się głos puchacza. Agata drgnęła, zbudzona ze snu popatrzyła na swego przewodnika i uspokajająco się uśmiechnęła.

Zobacz, jaka piękna noc – zagadywał ją Krzysiek, chcąc, aby nie spała na koniu, jednocześnie zgarniał z jej twarzy pajęczyny zebrane między drzewami.

– Boję się trochę, jestem pełna zabobonów – rzekła dziewczyna. – Czarny las daje ku temu wiele powodów. Widuję w podświadomości jakieś dziwne postacie między drzewami i ich zimny wzrok czują stale na sobie.

Jakby na potwierdzenie jej słów konie stanęły dęba, głośno parskwały, nie pomagały zachęty do dalszej drogi. Usłyszeli jeszcze trzaski łamanych gałązek, poczym ruszyły przestraszone dalej.

Krzysiek mimo woli wyrwał z torby swój rewolwer i włożył za pas, aby mieć go w pogotowiu.

Po upływie godziny znaleźli się nad rzeką, gdzie krajobrazy przypominały ogromny park. Zagajniki z rozwichrzonych jodeł, wysokopienne sosny i cedrowe gęstwiny oplatała wijąca się rzeczka.

– Tu zatrzymamy się na odpoczynek, zapalimy ognisko dla odstraszenia wilków. Sprawdzę kierunek drogi według kompasu - oznajmił Krzysiek. – Dziwne trochę to, że dotąd nie spotkaliśmy żywej duszy, że nawet nie natknęliśmy się na przednie straże czertonoskórych.

Wnet na polanie zapłonęło ognisko, zjedli posiłek. Agata wzięła na drogę jagodowy placek otrzymany od rodziny. Podzieliła go na połowę. Był smaczny i drażnił ich podniebienia słodkimi owocami. To, co pozostało owinęła w gazetę i położyła obok siebie.

– Agatko, połóż się na derce, aby trochę rozprostować kości – powiedział po cichu Krzysiek.

Pod głowę włożył strzelbę i na chwilę zamknął oczy. Stał się wyobrazić sobie spotkanie z wodzem Se'ha i Czipewejami. O tych leśnych plemionach indiańskich wiedział dużo od swego przyjaciela Michaela, ale co innego teoria, a co innego praktyka. Słyszał od niego, że są dobrze uzbrojeni. Należą do wielkiej rodziny Algonquinów. Jest tu już ich niewiele, bo większość wywędrowała na zachód, nad Wielkie Jeziora Ameryki Północnej.

Indianie Chippawa - Odżibweje są trzecim, co do wielkości plemieniem indiańskim zamieszkujące pogranicze USA i Kanady, w Ontario, a nawet w Manitobie i na Terytoriach Północnych. Podzielili się na: Czipewejów, Ottawa i Patawa. Ich wojownicy, dzięki broni palnej otrzymanej od Francuzów, podbili znaczne terytoria jeszcze dalej na zachód od Wielkich Jezior.

Liczył jednak na to, że nie będzie tak źle. Przez Mangawe mieli przecież przetarty szlak. Na pewno zdała dokładne relację swemu wodzowi z jego wizyty w Chacie Niedźwiedzia.

Naraz otworzył oczy. Agata jeszcze spała, po męczącej nocy. Sam też przyłożył głowę do chłodnej kolby swej strzelby i zasnął.

Zbudził go dziwny szelest. Jak każdy traper zerwał się błyskawicznie na równe nogi i wyrwał za pasa swój rewolwer. Jednak emocje jego opadły, gdy ujrzał obok dziewczyny postrzępioną gazetę, w którą owinięta była reszta jagodowego placka.

– Agatko obudź się! Drugiego posiłku już dziś nie będzie, zjadł go racun!

Dziewczyna z niedowierzaniem przetarła oczy patrząc na pustą gazetę.

– A nie mówiłam ci, Krzysiu, że w puszczy mieszkają duchy?

Ruszyli w dół. Ścieżki prawie nie było widać. Po obu jej stronach rosły wysokie drzewa. Stały tak blisko siebie, że prawie nie dopuszczały do ziemi światła.

Pomiędzy listkami brzozy błysnęło migotliwe lustro jeziora. Traperzy i Indianie nazywali je Mały Trout. Podeszli bliżej. Mnóstwo ptaków pływało po jego powierzchni. Nad wodą latały gęsi, kaczki i siadały obok nurów i perkozów. Na drugim brzegu widać było schodzącą niedźwiedzicę do wodopoju z dwoma piastunami.

Nie było ani jednego człowieka, tylko puszcza, nieprzebyte gąszcze, skalne rumowiska i obumarłe drzewa.

Gdy wrócili na wzniesienie, aby objąć wzrokiem całe jezioro zauważyli za jego północnym brzegiem smugę ciemnego dymu. Był to pierwszy znak dobrze przez Krzyśka obranego kierunku drogi i odnalezienia osady Czipewejów.

W bramie, jaką utworzyły dwie mocarne jodły, stało trzech uzbrojonych Indian. Na metrowej średnicy pniach pozawieszano kilka końskich i bizonich czaszek, a nawet maski rytualne czarownika. Obok na palach widniały łby wilków, niedźwiedzia i kojotów. Wszystko to dla odstraszenia leśnych włóczęgów i przypomnienia, że mieszkają tu plemiona łowieckie.

Zatrzymani przez czerwonoskórych zeszli z koni. Krzyśkowi zabrano broń. Nie protestował!

– Wiozę podarunki dla waszego wodza Se’ha – tłumaczył, kiedy zauważył jak pełnym pożądaną wzrokiem przyglądali się przedmiotom, które wieźli.

Wchodząc na teren osady teraz dopiero zauważyli, że była otoczona powalonymi pniami starych drzew, utrudniającym dostęp do niej z puszczy.

Stało tu ze czterdzieści wigwamów i ziemnych haganów obłożonych darnią, parę zwykłych namiotów i jeden duży, prostokątny largas. Wigwamy zbudowane były z masztowych drągów, obciążniętymi skórami z łosi, spiętych drzazgami cedrowymi.

Kręciła się sfera psów i luzem biegały małe źrebaki. Konie trzymano w zagrodzie obok. Pilnowały ich specjalne strażnicy młodych Czipewejów.

Krzysiek imponował Agacie odwagą i łatwością porozumiewania. Kiedy ujrzał najmłodszą z żon Se’ha okrył ją swoją czerwoną derką. Dzięki temu Indianie stali się bardziej przyjaźni i uznali go za swojego brata.

Stał teraz przed indiańską księżniczką Manuko, szczupłą, nieskazitelnie jak na traperę ubrany, w bobrowej czapie, białej, lnianej koszuli przewiązanej wyhaftowaną przez Agatę kolorową

chustą, w skórzanych spodniach i mokasynach wypalonych we wzory roślinne przez swą dziewczynę.

Manuko z zaciekawieniem przyglądała się mężczyźnie. Miała szorstką twarz po przebytej ospie i nos góralski. Ubrana była w suknię z jeleniej skórki na kształt długiego worka, obszytego zwisającymi rzemykami. Stanowiła uosobienie prostoty i powagi. Ozdobą jej były kruczoczarne włosy, spływające do samego pasa.

Agata z Krzyśkiem oczekiwali na przyjęcie przez wodza Se'ha w jego najokazalszym wigwamie, do którego wejścia strzegł nieruchomy posąg wielkiego niedźwiedzia. – Zobacz Krzysiu, przecież to Wielka Łapa – zauważyła dziewczyna.

Kamienny niedźwiedź ani nie drgnął. Jednak jak dłużej Krzysiek mu się przyglądał, zauważył, że zwierzak puszcza do niego oko. Wszystko tu było tajemnicze i niecodzienne.

Przed namiotem wodza ustawiono wysoki słup, wypolerowany do białości. Służył pewnie do popisów zręczności młodzieży indiańskiej. Na jego szczycie siedział czarny ptak Święty Grzmot, z czerwonym dziobem i żółtymi wielkimi oczami.

Agata już zaprzyjaźniła się z małą dziewczynką, która bawiła się dwoma zajęczkami. Zaplotła jej na nowo długie warokcze i tym zdobyła jej dziecięce serce.

– Witajcie włóczędzy z Barry's Bay w Nah'Hak (niedźwiedź), osadzie Czipewejów – na powitanie powiedział wielki wódz Se'ha, jednocześnie zapraszając szerokim gestem rąk do swego wigwamu parę wędrowców z południa. – O odwadze trapera, równej naszym wojownikom słyszałem już wielokrotnie. Ponoć ma serce gołębia, a przebiegłość i siłę wielką baribala. On, jako zwiadowca, ponoć poprowadził swoich rodaków szlakiem Orlich Gniazd przez dziewicze puszcze. Wskazał im miejsca na uprawę ziemi i budowę chat, a nawet trzech osad. Przez całą waszą podróż do naszej osady opiekowali się wami nasi wojownicy, aby się wam nic złego nie stało.

Agacie na te słowa, zrobiło się gorąco.

– Miałam jednak dobre przeczucia, że ktoś nas ciągle śledził. Myślę, że teraz Krzysiek przyzna mi ostatecznie racje. – pomyślała.

– Od Mangawy dowiedziałem się, że chcecie mieszkać w puszczy – mówił dalej wódz. – Nasi wojownicy zapewnią wam spokój i bezpieczeństwo, takie samo, jakim otoczyliśmy kiedyś waszego brata, ojca Jakuba. Myślę też, że odwdzięczycie się nam za tą pomoc. Od wielu już lat razem z nami mieszkają dwie białe kobiety, jedna z Quebecu, a druga z waszego pięknego kraju, gdzie również żyją bizona.

Dał ręką znak swej żonie Hanuko, aby przyprowadziła obie kobiety. Dołożono do ogniska brzozone polana i na nowo ogień rozjaśnił wnętrze wigwamu.

Se'ha wziął do ręki strzelbę i rewolwer, bardzo zręcznie sprawdził czy nie jest nabita i oddał ją Krzyškowi, poklepując go po ramieniu.

Do ognia dosypano wonne gałązki dzikiej melisy i dorzucano bulwy niedźwiedziego czosnku. Narkotyczny zapach wypełnił wnętrze. Teraz wódz zapalił fajkę, długą na metr, oplecioną skórzanymi rzemykami ozdobionymi muszelkami. Podał ją Krzyškowi na znak przyjaźni i pokoju.

Traper zdążył pyknąć dwukrotnie, kiedy poczuł w głowie wielki zamęt. Widział teraz jak przez mgłę wirujące ognisko i wodza stojącego nad nim.

Wnet przyprowadzono dwie kobiety. Były podniecone tym nagłym spotkaniem. Jedna z nich wchodząc do wigwamu uczyniła znak krzyża. Francuska była niska i szczupła, druga wysoką i krępą blondynką.

– Oto są nasze białe dziewczyny – oznajmił zadowolony Se'ha, zaciągając się głęboko fajką i zalotnie uśmiechając się do obu pańien.

Blondynka odezwała się staropolszczyzną.

– Bóg w dom, gość w dom. Nazywam się Jadwiga, pochodzę z Fromborka. Rodzice mi pomarli jak byłam małą dziewczynką. Wyszłam za męża za trapera, który mnie razem z koleżanką wykupił z pociągu sierot w Quebecu. Teraz nazywam się Thonder, mam dwóch chłopców, którzy rosną na dzielnych wojowników Czipewejów.

Agata była szczęśliwa, że tutaj znalazła bratnią duszę.

Jadwiga długo opowiadała o swoich zasługach dla leśnych Indian. To dzięki niej wybudowano cmentarz, który poświęcił ojciec Jakub. Teraz stoją tam rzędy brzoźowych krzyży. Wspomniała też o praktykach szamanów, którzy co zaciejszych Czipewejów chowają w dziuplach starych drzew. Opowiadała jak bardzo chciałyby tutejsze dzieci nauczyć haftu i wypalania wzorów w delikatnej skórcie odzieży i mokasynów. Skarżyła się, że nikt w tym jej nie pomaga, a ona nie ma zbyt wielkiego talentu do rysunków.

Krzysiek z uwagą słuchał tych słów, a wszystko tu było dla niego zaskakujące i nowe.

Gdybym miał węgiel i papier – pomyślał.

Ale wielki wódz Se'ha proponował inne zadanie Krzyskowi. Chciał go widzieć w Tajnym Bractwie Znachorów, jakie powstało nad rzeką Św. Wawrzyńca w miesiącu chorych oczu i zwało się Świętym Tańcem Uleczającym. Jego członkowie musieli mieć wyższy stopień wtajemniczenia, mogli, na przykład, zabitych ludzi przywracać do życia

Czas mijał szybko, liście zaczerwieńczyły się niemal nad całą puszcza. Znad jasnej powierzchni jeziora coraz częściej dochodził klangor przylatujących gęsi z północy. Kwkanie dzikich kaczek wabiło wielkie orły bieliki amerykańskie, szukające tu łatwego łupu.

– Tę zimę poświęcimy – powiedziała Agata do Krzyska.

– Zostaniemy tu do wiosny i pomożemy Jadwidze nauczać pi-
sać i czytać tych czerwonych dzieciaków, bo jest ich tu spora grupka.

Krzysiek z propozycji Agaty był nawet zadowolony tym
bardziej, że za osadą rozciągała się bezkresna puszcza, dzika,
wspaniała, pełna zwierza. Królestwo jego marzeń i snów!

Cała ta kraina należała do Czipewejów od ponad dwóch
tysięcy lat, a on teraz za swój punkt honoru uznał kontynuowanie
kronikarskich zapisków z życia Indian, tak jak to czynił pierwszy
właściciel kuferka, traper Bonin.



24. ORLI SZPON

Od owych wydarzeń minęły dziesiątki lat. Kaszubi z rolników uprawiających wyrwaną puszczy ziemię przekształcili się w rybaków, traperów, myśliwych, cieśli i budowniczych solidnych domów, a nawet zajmowali się przewodnictwem po bezdrożach tej wielkiej krainy jezior i lasów.

Znaleźli się i tacy, którzy wybrali życie poza cywilizacją - dzikie ostępy pełne ptactwa i zwierzyny. Pływali w swych czółnach po krętych, skalistych rzekach, żyli i mieszkali w drewnianych szałasach. Wielu prowadziło wymienny handel z Indianami. Za skórki przekazywali broń i różne metalowe przedmioty. Pomagali Algonquinom i Huronom, korzystali z ich doświadczenia.

Wielu Kaszubów mieszka i pracuje w rezerwach. Są cennymi nauczycielami, zaopatrzeniowcami, a nawet wodzami plemion.

Pracuje wśród Indian wielu katolickich księży i misjonarzy, od mroźnych Północnych Terytoriów Kanady, do winnic nad Niagarą.

*

W maju 1998 roku, razem z Tadeuszem Podhornym, członkiem Polish Hunting Club w Toronto, udałem się nad jezioro Kawagama do łowieckiego obwodu 53A, nieopodal hrabstwa Muskoka.

Mój przyjaciel tam właśnie otrzymał licencję na odstrze-
lenie czarnego niedźwiedzia baribala na terenie niezliczonej ilo-
ści jezior, strumyków i rzek spływających do szerokiej zlewni
Ottawy i rzeki Świętego Wawrzyńca.

Jest to pieczołowicie chroniony ostatni kompleks leśny,
pomnik kanadyjskiej pierwotnej przyrody, nazwany Algonquin
Park.

Jechałem tam, oczywiście, tylko z lornetką, kamerą i no-
tatnikiem. Najbardziej jednak cieszyłem się z zapewnienia Tade-
usza, że odwiedzimy chatę Orlego Szpona, o którym tyle słysza-
łem od polskich myśliwych.

Jest to po części Kaszub i Francuz, w którego żyłach pły-
nie indiańska krew. Ponoć pędzi żywot samotnika włóczącego się
po puszczy, a także trapera, zbieracza ziół, wypłukiwacza z rzek
i strumieni żółtych kamieni, wreszcie przewodnika wycieczek
śladami pierwszych osadników.

Jak twierdzili myśliwi, Orli Szpon wiedzę o dawnych cza-
sach i puszczy miał ogromną. Zatem jego poznanie było dla mnie
najważniejsze, choć liczyłem też na udane zdjęcia czarnego
niedźwiedzia baribala.

Na zgięciu jeziora Madawaska, z którego wypływa rzeka
o tej samej nazwie i zatacza szeroki łuk, stała okryta mocnym da-
chem drewniana chata Orlego Szpona.

Rzeka stąd płynęła na wschód, poprzez dziesiątki leśnych
jezior i bagien, często w kamiennych i urwistych kanionach. Po-
tem skręcała na północ, przecinała puszcę i wypływała po jej
wschodniej stronie, aby ostatecznie swe wody zanieść do jeziora
Barry's Bay na Kanadyjskich Kaszubach.

Orli Szpon jest najbardziej dzikim typem ludzi żyjących
na obrzeżach Algonquin Park, zaledwie pięćdziesiąt mil od je-
ziora Havelock i ze sto od jeziora Kawagama.

Jest olbrzymiego wzrostu, o wielkich niebieskich ślepiach, zza których zdawała się wyzierać łagodna dusza. Myśliwi twierdzili, że w tym człowieku mieszkają same dobre anioły.

Właściwie ten indiański mieszaniec nazywał się Mieszko Barcz i pochodził z pierwszych Kaszubów, którzy przybyli do puszczy w połowie dziewiętnastego wieku.

Jako mały chłopiec próbował wyjąć z orlego gniazda pisklę, za które bogaci turyści skłonni byli wówczas zapłacić pięćset dolarów. Upatrzył sobie stare drzewo z gniazdem, których tu wiele stało nad rzeką. Długo obserwował jak białogłowa para orłów nosiła pokarm do nowonarodzonego pisklęcia i ze sprytem zwinnego rysia wdrapał się na sam szczyt.

Kiedy włożył rękę do gniazda matka małego orlątka rzuciła się przerażona na intruza i z wrzaskiem, całą mocą swych szponów zatopiła je w barku chłopca. Niczym ostrza noży wbiły się głęboko i wyszarpnęły kawał skóry z ramienia.

To znamię opieczętwoało Mieszka na zawsze. Wśród swoich przyjaciół, traperów i Indian pozostał Orlim Szponem, a u Kaszubów zwano go po prostu Mieszko.

Od poprzedniego dnia zwiedzał linie sideł zastawionych na mokradłach i trudno było przewidzieć czas jego powrót do chaty tym bardziej, że na rzece obchodził swoje siedemdziesiąte urodziny a nigdzie nie było mu tak dobrze jak tam.

W oczekiwaniu na Mieszka robiliśmy długie wyprawy do puszczy. Do kilku drzew przytroczyliśmy przenośne aluminiowe ambony, naprzeciw których, w odległości sztuczerowego strzału, przygotowaliśmy nęciska - jedno z pachnącymi pączkami, a drugie z rybami. Za strumykiem rozwiesiliśmy wysoko na drzewach podziurawione wiadra, a w nich smaczne ciastka oblane aromatycznym olejkiem i obsypane prawdziwą kawą, aby misiu po spożyciu ich nie spał i starał się chodzić po puszczy.

Po gruntownym umyciu i okadzeniu dymem z ogniska, dla usunięcia poprzednich zapachów, zasiedliśmy na czatach.

Dni mijały szybko. Na swojej ambonie już chyba wysiedziałem deskę - od wczesnego ranka do obiadu i od popołudnia do zmroku. Znałem tu każdy szczegół, widywałem szopy pracze, które zapach ciasta przyprowadzał każdego niemal ranka. Stałymi bywalcami karmiska były też kruki, a nawet przebiegły ryś przywędrował z pobliskiego wąwozu.

Niedźwiedzie, owszem, bywały, nawet brały pączki i ryby, rozrzucały i bałaganily wokół, ale przychodziły tu nocą, kiedy w Kanadzie polowanie jest zabronione. Byliśmy bezradni!

Po siedmiu dniach zjawił się Mieszko. Przyszedł jak zwykle spokojny i zadowolony, rzucił na podłogę zdobyte świeżo skórki i wskazał palcem na Tadeusza.

– Popatrz, ten kłusownik znów mi powyrywał z potrzasków bobry, ja go wkrótce dopadnę, przysięgłem to już sobie!

Takie było powitanie nas przez Mieszka.

Minęło już sporo czasu jak Tadeusz widział się ze starym samotnikiem, toteż serdecznie go objął i uściśkał.

Na niewielkim piecyku wrzała w garnku herbata, zaparzona z odrostów jodły. Drażniący zapach gałązek napelniał całą izbę, smacznie też pachniały rumieniące się na patelni bobrowe udźce.

– Jutro ruszymy za tym twoim niedźwiedziem – rzekł Mieszko podając nam herbatę.

Tadeusz odkrył na starej komodzie niewielki drewniany kuferek.

Złoto w tym pudle trzymasz? – zapytał się.

Mieszko podniósł głowę, wytrzeszczył wielkie ślepia i niewyraźnie zamruczał:

– To jest moja skarbnica wiedzy o puszczy. Są tam też akta własności ziemi, przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Na ławę przed nami położył drewnianą, starą skrzynkę. Drżały mu ręce, gdy ją otwierał. Miał tam stary rewolwer, który

przyciskał swym ciężarem mnóstwo papierów. Wyjął go i delikatnie położył na ławie. Sięgnął też po dużą mapę, którą narysował jego pradziad.

Rozłożył i wygładził: mówiąc: Moi drodzy, w tym drewnianym pudle jest zawarta cała wiedza o Kaszubach i puszczy, sposobach chwywania zwierzyny futerkowej i wabienia jeleni.

Niemal całą garść tych papierów rzucił przed nasze oczy, uśmiechając się szczęśliwie :

– Kto oprócz mnie trzyma w tej dziczy tak stare dokumenty? To jest skarbiec warty tysiące dolarów, nieprawdaż?

Spodziewał się naszego potwierdzenia! Pokłoniliśmy się oboje, przyjął to z zadowoleniem.

Na rozłożonej mapie widniała długa kicha jeziora w kształcie bumerangu, z dorysowanymi sylwetkami gęsi.

Wskazał na nie palcem.

– To jest jezioro Hay i dalej Drizzie. Choć jest to po drugiej stronie puszczy, jesienią zapraszam was na kaczki, są tam ich tysiące.

Kwadrans później poszedł z Tadeuszem na zbocze, gdzie miał swoje leże stary niedźwiedź, tak wiekowy, że źle widział i nie miał czym gryźć mięsa.

Pozostałem w chacie sam i z wielkim przejęciem przeglądałem pożółkłe zapiski z drewnianego kufierka.

*

Mieszkał w puszczy okrutny stary niedźwiedź, samotnik, który nie znosił żadnej konkurencji na zajmowanym przez siebie terytorium. Wydawał ryk tak straszny, aż drgały skalne ściany w wąwozie.

Orli Szpon zdawał sobie sprawę z tego, że weszli na jego terytorium. Ale jeżeli jego przyjaciel nie może spotkać nah'haka - selekta, gdzie indziej to on, musi mu w tym dopomóc. Nie na

darmo był uważany za najlepszego tropiciela w całym hrabstwie Haliburton.

Tadeusza usadowił w dziupli starego klonu, a sam oddalił się na pięćdziesiąt kroków. Wyjął z torby dwie tyki jelenia i najpierw głośno uderzał jedną o drugą, mokasynem szurał po ziemi, by znów rogiem uderzyć o gałęzie. I nasłuchiwał. Za jakiś czas powtarzał tę scenę od początku, tylko już o wiele ciszej i rzadziej.

Naraz naprzeciw ich stanowisk pojawił się jelen w irginijski, z porożem w scypule. Przyglądał się długo, szukał rywala, zdenerwowany uderzał kopytami o ziemię, aż leciały odłamki kamieni.

Mieszko sam był zdziwiony ze spotkania z bykiem.

– To jeszcze nie czas rui – zastanawiał się.

Tuż za nim, po jego tropach, bezpiecznie laź wielki niedźwiedź i głęboko wciągał obce zapachy w nozdrza. Kiedy odkrył tropiciela, jego straszny ryk nappełnił cały wielki wąwóz. Ziemia drgnęła, ale równocześnie potężny huk jak grzmot pioruna przewalił się z dziupli nad puszcza i zmieszał z jego ostatnim rykiem.

Trafiony w serce niedźwiedź jeszcze biegł na dwóch łapach w kierunku tropiciela i prawie u jego stóp zwałił się na ziemię.

Orli Szpon miał już nacisnąć spust swego rewolweru, ale nie było to potrzebne.

Zanim Tadeusz zdążył dojść do niedźwiedzia, oniemiał z wrażenia!

Jego indiański przyjaciel odkroił kawał serca zwierzęcia, część ułożył na jodłowej gałązce, zwracając nah'haka puszczy, a resztę, jeszcze drgającą, smacznie pożerał.

Tadeusz marzył o niedźwiedzim selekcje, ale co tu zobaczyć i przeżyć, odebrało mu wprost mowę!



25. JEZIORO MŻAWKI

Trwała pełnia sezonu polowań na ptactwo wodne. Jedni myśliwi polowali w południowym Ontario, wokół znanych bagien i jezior. Bardziej wybredni wyjeżdżali daleko na północ, nie raz nawet ponad tysiąc kilometrów od Toronto. Tam było jeszcze więcej wodnego ptactwa.

Różnica pomiędzy polowaniami w tych odległych rejonach była nie tylko w ilości przejechanych kilometrów, ale również w namiętności do północy i jakości łowieckich przeżyć. Z dala od centrów wielkich cywilizacji i od molochów zurbanizowanych miast, bywało nieporównywalnie mniej myśliwych, a wyprawy te nosły w sobie coś z wielkiej przygody westernu i ciągłego ryzyka.

W końcu października, na zaproszenie Mieszka, razem z Tadeuszem trafiliśmy na obrzeża puszczy, nad jezioro Białego Jajka w krainie Algonquinów.

W nadbrzeżnych wysokich trawach po bagiennych wertepach, niczym w buszu, jego Ford torował sobie drogę wzdłuż akwenu o nazwie Śliczne Siano do miejsca spotkania nad jeziorem Mżawek. Tam miał oczekiwać Orli Szpon, który zaprosił nas na tegoroczne „kacze zapady”.

Łódź, a raczej prymitywna czatownia Indianina, stała już w wyznaczonej zatoce jeziora. Zbudowano ją z myślą o ukryciu łowców, przed bystrym wzrokiem kaczek i gęsi. Z łatwością ślizgała się po wodzie, wpływając do najwęższych kanalików i oczek wodnych, rozrzuconych wśród łoż i trzin.

Na nasz widok Orli Szpon w jednej chwili wyskoczył na brzeg, przymocował swoją łódź do krzaka i pozdrowił nas jak zwykle swoim gardłowym pomrukiem. Dawał znaki wyciągniętą

ręką i złożonymi dwoma palcami, co miało przypominać strzelbę dwururkę.

Wzniósł oczy ku niebu. Zdawało się, że wzywał i błagał swojego legendarnego półboga Manabozho o pomyślność dzisiejszych łowów. A może jednak tylko improwizował?

Indianin należał do naturalnych właścicieli tej ziemi. Towarzyszył mu mężczyzna, którego miała cechować, przebiegłość i spryt Czipeweja w łowach na ptactwo wodne.

Za jeziorem stała puszcza okryta jesienną paletą ciepłych barw - ocean czerwieni i żółci, liści klonów, brzoź, bujnej, żywej zieleni jodeł i sosen, starych amerykańskich dębów tworzących nieprzebyte gęstwiny.

Wody jeziora pokrywały kępy trzcin i całe łany dzikiego ryżu, kaczego przysmaku, który przy podmuchach północnego wiatru kład się i chował w wodzie.

Po zgłoszeniu się do miejscowego "Outfitter", specjalizującego się w tego typu polowaniach i wyznaczeniu Mieszka na naszego przewodnika i organizatora, byliśmy dobrej myśli.

Nasze łowisko zasilały wody z Jeziora Śmierci, które znajdowało się głęboko w puszczy i z rzeki Madawaska, wijącej się jak wąż w leśnych gęstwinach.

Zapewne swą nazwę jezioro zawdzięczało wilgotnemu wiatrowi, wiejącemu z mokradeł w puszczy i gorącym prądom powietrza znad jeziora Ontario, które przed ścianą lasów ścierając się tworzyły ciągle mgły i dokuczliwe mżawki.

Było to istotnie wielkie ptasie Eldorado - od rezerwatu nad jeziorem Carson i Kamaniskę, aż do granicy wielkiej puszczy.

Pierwszego dnia wypłynęliśmy dwoma łodziami, a w każdej z nich było po dwóch myśliwych - w pierwszej Tadeusz z przewodnikiem parku Karplą, w języku miejscowych Indian zwanym Rakietą Śnieżną, a jednocześnie strażnikiem duchowym

przodków opiekujących się bagnami i wodami Czipewejów i Algonquinów. W łódce czatowni Mieszko płynął ze mną.

Ten metys to całkiem przyjemny facet, niemal powieściowy oryginał, z unikalną strzelbą przystosowaną do tamtejszych warunków polowań.

Nastawał wczesny, mroźny ranek. Na wodzie panował jeszcze półmrok. Płynęliśmy zawietrzną stroną jeziora, niesieni wolno przez prąd wody razem z kożuchami skłębionych trzciny i zielska, wzdłuż sporej ilości kaczycy bałwanków, zwanych tu „decoys”, pokrytych tego ranka częściowo lodem.

Pomiędzy pływającymi drewnianymi atrapami kaczek było sporo czystego lustra wody, miejsc, jak się później mogłem przekonać, do lądowania kaczycy stad.

Ptaki tu przylatywały razem ze sztormowymi wiatrami, przez Mieszka zwanymi „blizardami”. Przy minusowej pogodzie widzieliśmy na niebie nie setki, a tysiące ciągnących z północnych terenów Ontario, z rejonów James Bay – „millards”, „black ducks” i innych.

Czatownia zatrzymała się przy kępie trzciny, w oczekiwaniu na ptasie klucze.

Dawno temu – opowiadał mój towarzysz łowów – Czipewejowie nauczyli się wabić kaczki ustawiając bałwanki, wykonywane z uschłych traw i sitowia i naśladując głosy tych ptaków.

Ukryci w czatowni obserwowaliśmy nadlatujące stadka. Mieszko wskazał ręką mówiąc:

– Jeżeli kaczki chcą wylądować już w powietrzu przebiegają łapkami, a jeżeli je mają podkurczone, to tylko sprawdzają teren. Wówczas nie wolno wykonywać żadnych zbędnych ruchów. Zafurkoczą nad bałwankami i znikną na długi czas, zatem musimy być cierpliwi.

W czasie naszej rozmowy niespodziewanie jakaś pstrakata, północna ogorzałka siadła bardzo blisko skraju pływających bałwanków.

– Jeżeli uda się i ona pozostanie, będziemy strzelać do kaczek – cicho wyszeptał Orli Szpon, jednocześnie kładąc palec na ustach byśmy nie rozmawiali.

Ptak interesował się dosłownie wszystkim, nawet podpłynął pod nasze czatownie i sprawdzał swym czarnym, bystrym okiem ewentualne zagrożenie. Było jednak wszystko w najlepszym porządku, bo zadowolony odpłynął. Teraz znów sprawdzał ruszające się na falach atrapy kaczek, podpływał blisko i nawet dotykał je dziobem.

Huk wystrzałów z łódki Tadeusza poderwał do lotu olbrzymie stada żerujących tam kaczek, które teraz unosiły się niczym ciężkie „ołowiane”, burzowe chmury i pokryły niebo.

Po chwili spore stadko, lecąc bardzo nisko, niemal muskając grzbiety fal, wylądowało przed nami wśród pływających kaczyczych bałwanków. Nasza kryjówka, oplecioną trzcina, gałęziami i trawą, nie wzbudzała żadnego zainteresowania ptaków.

Mieszko osłonił dłońmi małą miseczkę pancerza żółwia i niczym stary kocur zaczął pomrukiwać. Kniazianie kota niosło się po powierzchni wody i było powtarzane kilka razy, przerywane kwaknięciem kaczora. Mój towarzysz chwycił w swe żyłaste ręce strzelbę i oczekiwał na podpływające ptaki.

Powietrze stawało się coraz bardziej słotne i dżdżyste, lekka mżawka wyrównywała powierzchnię wody.

Stadko kaczek, głośno kwacząc, zbliżało się do naszych bałwanków i wypływało na czystą wodę niczym cele na strzelnicy. Wystarczyło teraz głośniejsze stuknięcie o dno łódki, aby z tuzin kaczek z wielkim hałasem poderwał się do lotu.

W tej samej chwili padły dwa strzały i dziewięć wielkich kaczorów, wprawionych w korkociąg, opadło na wodę. Odwróconymi ku górze łapkami wiosłowało, zapisując swój ostatni testament.

Mieszko zadowolony odłożył swą jeszcze dymiącą strzelbę i oświadczył:

– Na dziś limit mamy wykonany!

Rozmawiając już tylko czekaliśmy na Karpla z psem, który by pozbiarał nasze trofeum.

Z drugiej strony jeziora do naszych uszu dochodziła spora kanonada, a szczególnie głośno grzmiąca strzelba Czipewej, stara, przystosowana do tutejszych warunków polowań na ptactwo. To nie była strzelba, to rusznica, która swym doniosłym hukiem podrywała całe ptactwo na jeziorze.

Tadeusz z Karplą pływał na małej łódeczce, do której boków były przywiązanych po kilka sylwetek bałwanków. Pomimo, że obaj zbytnio się nie maskowali, to i tak kaczki lądowały obok ich łódki.

Pies Karpla, podobny do lisa biegał po brzegu jeziora, w tę i z powrotem, robiąc dużo hałasu, płoszył ptaki i zwracał na siebie uwagę. W tym czasie Czipewej delikatnie wiosłując podpływał zupełnie blisko stadka.

Wiele z kaczek było nad tymi wodami po raz pierwszy, nie znały zagrożeń, siadywały spokojnie obok zestrzelonych kaczek i najczęściej podzielały ich losy.

Byliśmy zziębnięci, utrudzeni, przemoczeni. Tylko tacy „maniacy” jak my decydują się by zmierzyć z kaczkami na ich odwiecznych terenach, by zakłócić ich pierwotny spokój.

Niesamowite zimno i zacinający deszcz ze śniegiem, zasłaniał nam pole obserwacji i zniechęcał do dalszego polowania na jeziorze Mżawek.

Jeżeli zatem ktoś z myśliwych zechce skorzystać z usługi Orlego Szpona i zapolować na północne gęsi i wilki, musi przywieźć ze sobą, oprócz gotówki, ciepłe upranie i buty, biały kamufaż w postaci kombinezonu, rakiety i skuter śnieżny.

Orli Szpon zaprasza do swej drewnianej chaty na zakręcie jeziora Madawaska. I gwarantuje sukcesy w polowaniach na niedźwiedzie, wilki, gęsi i kaczki! W tym mu pomaga jego indiańska natura, słowiańska dusza i leśny półbóg Manabozho!



26. D Z I E Ń I N D Y K A

Łódź spokojnie osiadła na piasku. Barcz wywlókł ją na ląd, wyciągnął pudełko machorki nałożył do fajki i zapalił. Szybko pykał, aby utrzymać w niej żar.

Wyraźnie był zmęczony, nawiosłował się sownie. Pływając po gęstych zaroślach i wodnych szuwarach poprawiał i zastawiał żaki na ryby. Ponieważ noc była spokojna i jasna, to jego pułapki były dzisiejszego dnia puste.

Do chaty miał zaledwie kilkadziesiąt metrów, choć z wody była ona niewidoczna. Otaczały ją wyniosłe cedry, a splecione ich gęste gałęzie nawet zasłaniały niebo.

Wyszedł z ciemności, niczym z tunelu.

– Po waszemu Darz Bór – wykrzyknął!

Był wyraźnie rozbawiony naszym spotkaniem.

Za pewno przyjechaliście na Thanksgiving Day, a więc będziemy jedli wątróbkę, moi drodzy! Łosie już przywędrowały z północy i jest wśród nich kilka o medalowych łopatach. Widuję je niemal każdego dnia naprzeciw Wyspy Niedźwiedziej.

Dzień Dziękczynienia był obchodzony jak zwykle, bardzo uroczyście. Dla myśliwych z Polskiego Klubu Łowieckiego w Toronto był od wielu już lat wyjątkowym świętem dziękowania Bogu za dary, otrzymane tak hojnie i za wzniosłe chwile przeżyte w puszczy. Obchodzą je tak jak myśliwi w Polsce Dzień św. Huberta. Tutaj też na łonie przyrody ocenia się czy dobrze i mądrze korzystano z darów natury, a obowiązkiem

myśliwych jest w tym dniu przebywanie nad rzeką, w lesie, czy nad jeziorem.

Było w tradycji Polskiego Klubu, że na powitanie Święta Indyka jego członkowie małymi grupkami, wyjeżdżali do puszczy, nad Temagami, Manitouwadge, Huntsville, czy Parry Sound. Każdej jesieni puszcze kanadyjskie były najokazalsze i najbardziej kolorowe ze wszystkich lasów Ameryki. Cieszyły oczy i dusze tych osób, które mogły je w tym czasie oglądać.

Tym razem do leśnej chaty nad jeziorem przybyłem razem z Tadkiem i Józkiem. Właśnie tego roku, w tym obwodzie, koledzy wykupili licencje na odstrzał łosia. Ale kto by w tym tak uroczystym dniu myślał poważnie o polowaniu?

Przed wszystkim przybyliśmy tu, aby godnie uczcić to amerykańskie święto, które jest uroczystie obchodzone przez niemal wszystkich na północnej półkuli - od prezydenta do zwyčajnego farmera.

Barcz odszukał klucz, odsunął zasuwę drzwi i zaprosił nas do środka chaty. Poczuliśmy na twarzach nagrzane od kominka powietrze, a pod stopami miękkie, włochate skóry.

Gospodarz skierował nas przez próg do drugiej izby

– Tu będzie wasze spanie i proszę się rozgościć – powiedział!

Światło w izbie dawała wielka naftowa lampa, wokół panował prymityw i staroświeckość.

Mój wzrok przykuwała leżąca na ławie księga. Kronika, jak się później mogłem przekonać, zapisywana z determinacją klasztorного mnicha przez gospodarza chaty. Oprawę miała zmurszała i pożółkłe strony ze starości.

Wyobrażałem sobie Mieszka jak po powrocie z puszczy siada przy ławie, żyłastymi dłońmi chwyta ołówkę i kreśli dalszy ciąg swego życia, w ten sam sposób jak to czynili jego przodkowie - kaszubscy wygnańcy.

Siedzieliśmy przy rozgrzanym kominku, popijając gorącą herbatę i słuchając zwierzeń gospodarza o puszczy i przeżywanym tutaj dniach i latach.

Mieszko był starcem siwym jak gołąb. W świetle lampy sprawiał dostojne wrażenie. Ubrany był w miękkie skóry, jego brody i włosów zapewne dawno nie dotykały nożyce.

Mimo podeszłego wieku umiał trzeźwo oceniać sytuację, służyć swym bogatym zasobem wiedzy i trudno było w jakikolwiek sposób podważyć jego oceny. Wydawało się, że puszcza powierzyła mu swoje najskrytsze tajemnice i to bez reszty.

*

– Pierwsi osadnicy na tym kontynencie wiele zawdzięczają dzikim indykom, dzięki którym byli w stanie przetrwać najtrudniejsze chwile – mówił gospodarz. – Większość z nas dla zachowania tradycji nabywa indyka w hodowlanych farmach, jak to dziś zrobił Józek i delektuje się pieczystym. Ci z was, którzy mieli to szczęście upolować indyka wiosną, dobrze wiedzą, jaka jest różnica między mięsem z farmy a dziczyzną przyrządzoną na leśnym ognisku a pachnącą żywicznym dymem. Tak, więc jutro podziękujemy Bogu za te dary, choć ptak ten będzie tylko symbolem. A to tylko, dlatego że przed wami polowali tu nie prawdziwi gospodarze, ale lekceważący sobie te ptaki strzelcy.

Indianie tylko dwa razy w roku polowali na nie - wiosną w czasie pękania pąków drzew i jesienią w czasie opadania liści, dlatego ten szlachetny gatunek ptaka w tutejszych lasach był powszechny. Po przybyciu nowych osadników uczyniono z polowania na indyki sport, który do dzisiejszego dnia ma wielu zwolenników, choć jest prawnie zabroniony.

Na początku osadnictwa do indyków strzelało się w Boże Narodzenie. Zwyczaj ten łączył się ściśle z trybem życia ludzi, którzy musieli odłożyć siekiery, aby chwycić za strzelby i uzupełnić zapasy żywności na zimę.

Indykom wówczas poświęcano ceremoniał specjalny i strzelano do nich kulami, co było nie lada już sztuką i wielkim hazardem, nabijającym pieniędzmi kieszenie tutejszym cwaniakom. Indyka za nogę przywiązywano do drzewa. Zabawa bywała pyszna, a strzelcy słono płacili za każdy nabój i każdy strzał.

– Jeszcze za moich czasów zbierało się z dwudziestu chłopów o sokolim oku i jedni drugim imponowali, a najczęściej popisywano się przed dziewczętami, przy tym tracąc niekiedy całe fortuny, czy wypłukane w rzekach żółte kamienie – wspominał Mieszko. Mnie też, moi drodzy, przypadł ten zaszczyt zdobyć pióra indycze i pocałować śliczną, czarnooką córkę Irlandczyka Braiana, organizatora indyczego strzelania. To było w latach dwudziestych. Przed samą Wigilią Bożego Narodzenia spadły wielkie śniegi, że chaty nawet pozakrywały. Z trudem można było wyjść na zewnątrz. Ludziska kopali tunele, było smutno i panowała nuda. Wówczas przyjechał do osady na saniach ciągnionych przez psy Braian ze swą córką o imieniu Nancy.

Od Fortu Irwin wieść o konkursie strzelania do indyka rozeszła się lotem błyskawicy. Ja też tam przybyłem z ciekawości. Wówczas uchodziłem już za niezłego strzelca. Miałem na swym koncie w naszej okolicy największego niedźwiedzia, ponad trzysta pięćdziesiąt funtów wagi. Nie miałem nawet zamiaru strzelać do tego ptaka. Zabawa ta wydała mi się niehumanitarna i głupia. Ale zadanie to było diabelnie trudne i ludzi wciągało do współzawodnictwa.

Przywiązany do drzewa, w dołku wykopanym w śniegu, siedział ptak i udawał zadziwionego taką chmarą ludzi stojących o sto kroków od niego. Od czasu do czasu wystawiał tylko łeb z czerwonymi koralami, a kiedy świsnęła mu nad głową kula podskakiwał wyżej i otrzymywał gromkie brawa, że jeszcze żyje. Kiedy wyżej wyciągał łeb i pokazywał wszystkim swoją zwi-

jącą barwną brodę, choć sam ważył z dziesięć kilogramów, to wystający ze śniegu cel był zaledwie wielkości pudełka zapalek.

Wielu tu było łowców i traperów zaprawionych w strzelaniu do ruchomych celów. Umieili z przerzutu stłuc butelkę po whisky, rzuconą w górę. Wierzono, że uda się im też zdobyć wielkiego indora. W czasie strzelania uniki indyka rozbawiły wszystkich. W zabawie brali też udział żołnierze - strzelcy wyborowi z pobliskiego fortu.

Ptak przeżył istną kanonadę. Kiedy uznano, że nikt nie trafi indyka i ludzie zaczęli się rozchodzić, a Braian nie miał chętnych do kupowania nowych naboji, jako zdolny hazardzista w zastaw postawił swą córkę Nancy. Zrobił to ponoć już nie pierwszy raz.

Teraz napięcie sięgało zenitu i ludzie znów powrócili. Zdecydowałem się i ja spróbować swych sił, odmierzyłem sam sto kroków od ptaka. Odległość była prawidłowa, jednak kiedy popatrzyłem na srebrną muszkę mej strzelby i ujrzałem łeb indora, to był mniejszy od niej. Ciągle też chował się za śnieg i na chwilę ukazywał. Nie było w żaden sposób jak wycelować i trafić ptaka.

Ale zaryzykowałem. Postanowiłem niczym kowboj strzelić z przerzutu, aby mi nie drgnęła ręka w czasie celowania, tak jak to już niejedną raz czyniłem podczas polowania na wilki.

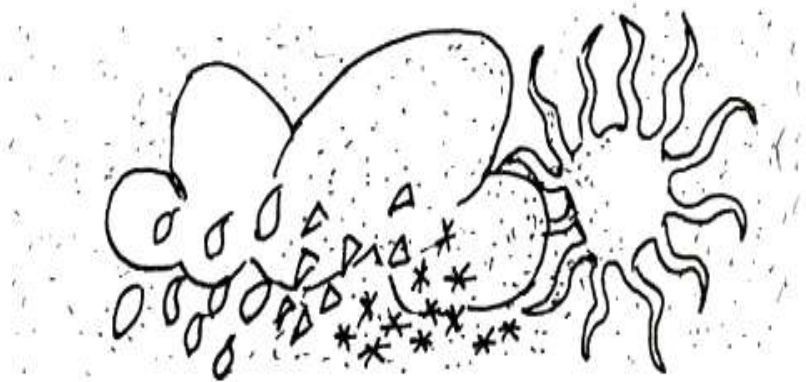
Jeszcze huk mojego wystrzału nie ucichł, a już usłyszałem gromkie oklaski i klątwę hazardzisty. Chwycono mnie na ręce i zaniesiono pod drzewo. Wielkiego indyka z obciętą głową, rzucono na mnie i zaniesiono do Braiana po nagrodę.

Wówczas stałem się znany na całym zachodnim obrzeżu puszczy, a nawet o mnie pisano w prasie.

Były to szczęśliwe moje lata, dziewczę też dostałem na jakiś czas.

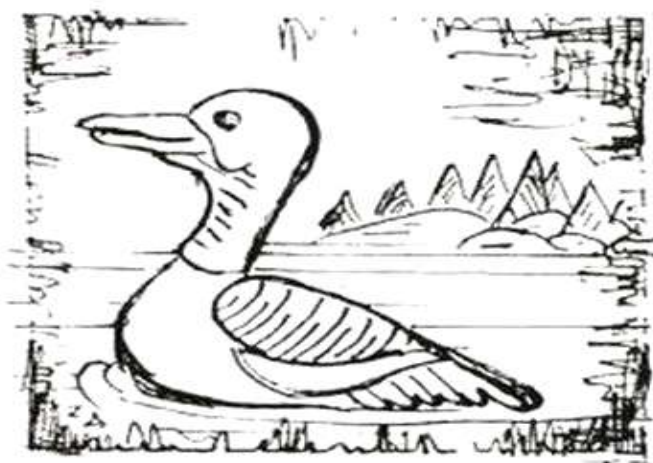
Choć „Dzień Dziękczynienia” obchodzony jest teraz jesienią, to ja pamiętam ten pierwszy, w czasie wielkich śniegów, w samo Boże Narodzenie.







CZĘŚĆ TRZECIA
Na turystycznym szlaku



27. MAŁA OJCZYZNA

Polskie dzielnice - kanadyjskich miast i osiedli niekiedy mieszkańcy nazywają Little Poland - „Mała Polska”. Do nich należą między innymi: ulica Króla i Królowej, Roncesvalls (Kazimierzowo) w Toronto, czy Barry’s Bay na Kaszubach. Zamieszkują je Kanadyjczycy polskiego pochodzenia, często czwarte a nawet piąte ich pokolenie.

Zwarte skupisko polskie znajduje się również Montrealu i stolicy kraju - Ottawie.

Symbolami polskości w Toronto są dzielnice z romantycznymi kafejkami, restauracjami i piwiarniami, sklepikami cukierniczymi, piekarniami, kwiaciarniami z napisami w języku polskim, zachęcającymi do ich odwiedzania i zakupów. Wzdłuż uliczek dwupiętrowych domów z czerwonej cegły, do złudzenia podobnych do naszych z przedwojennych miast, stoją drewniane słupy ze zwisającymi elektrycznymi i telefonicznymi przewodami. Ludzie mówią po polsku. Boczne uliczki z drewnianymi domkami stwarzają wrażenie prowincjonalności, ale wszędzie panuje porządek i zadziwiająca czystość.

Dzielnice te słyną również z luksusowych, willowych domów, gdzie często wywieszki w języku polskim informują o „pokojach do wynajęcia”.

Są tu polskie urzędy, biura podróży, siedziby stowarzyszeń, parę polskich kościołów w niedziele zapelniających się do ostatniego miejsca.

Znajduje się też tu najstarsza przystań dla nowoprzybyłych emigrantów, szczególnie tych, dla których świat na zewnątrz jest obcy ze względu na barierę językową.

Mieszka w Toronto około 80 tysięcy Kanadyjczyków, polskiego pochodzenia. Z tej oazy polskości z czasem niektórzy Polacy przenoszą się do innych dzielnic, aby osiedlić się np. w High Park, czy też na wzgórzach Don Milles, Mississauga, Brampton, itp.

W tym mieście mieszka wielu emigrantów, którzy nigdy nie uczestniczyli w polonijnych imprezach, zawodach sportowych, pikniku, nie odwiedzili polskiej Credit Union, jednak sporo osób korzysta z propozycji Centrum Kultury im. Jana Pawła II w Mississauga, które wydaje też polskojęzyczny miesięcznik „Centrum”.

Jest to kawałek Polski, który może być wzorem dla naśladowania w dalekiej ojczyźnie. Dotyczy to przede wszystkim pracy z młodzieżą, wzorowego wychowania harcerskiego i skautowego, nauki i sportu, prezentacji wybitnych ludzi ze świata kultury i sztuki. Odbywa się tu wiele polonijnych imprez: kiermasz książek, dzieł sztuki, promocje turystyki i wypoczynku, mistrzostwa w tenisie, targi ekologiczne, koncerty zespołów, piosenkarzy i grup recytatorskich.

Przykładem tej bogatej działalności jest Klub Judo „Sakura”. Trenerem był mój dobry znajomy ze wspólnych wyjazdów na zawody Krzysztof Tracz. „Sakura” kształtowała postawy moralne i społeczne młodzieży polonijnej.

Klub zrzeszony jest w Ontaryjskiej Federacji Judo, co umożliwiła start zawodników w najbardziej prestiżowych imprezach, w turniejach międzynarodowych organizowanych w Stanach Zjednoczonych i innych państwach amerykańskich. Młodzież z „Sakury” dorobiła się 130 medali, nie licząc wyróżnień i pochwał.

Ten skrawek torontońskiej ziemi jest przesiąknięty polskością od zarania powstania Kanady. Tu, w parku nad samym jeziorem Ontario, stoi pomnik Wielkiego Polaka, któremu szczególnie Kanadyjczycy wiele zawdzięczają – inż. Kazimierza Gzowskiego, w dziewiętnastym stuleciu gubernatora prowincji Ontario.

Gzowski, syn hrabiego Stanisława Gzowskiego, urodził się w Petersburgu, ukończył szkołę inżynierską w Kamieńcu Podolskim. Po upadku Powstania Listopadowego tak jak wielu Polaków, po licznych internowaniach, trafił do Nowego Jorku, by w 1846 roku stać się obywatelem Kanady. Był dobrym inżynierem, miał bystry umysł, a jego wizja rozwoju węzłów komunikacyjnych w często dziewiczej jeszcze puszczy nad rzeką Św. Wawrzyńca, zachwyciła rząd kanadyjski.

Zatrudniony został w Departamencie Dróg i Mostów, jako naczelný inżynier. Pod jego kierownictwem powstało w Ontario siedem mostów, sześć portów na jeziorach Erie i Ontario oraz setki kilometrów torów kolejowych. Kierował budową międzynarodowej linii kolejowej z Kanady do Stanów Zjednoczonych.

Jednak najbardziej znaną jego budowlą jest ażurowy most nad Niagarą, łączący miasto Buffalo w USA z Fortem Erie w Kanadzie, za co mieszkańcy pogranicza nazwali jego imieniem piękny park położony nad samym wodospadem.

Gzowski był także projektantem i współtwórcą szosy Toronto - jezioro Simcoe, kolei żelaznej z Montrealu do USA i utalentowanym administratorem prowincji.

Jego pomnik ma swój niepowtarzalny wygląd, na miarę tamtych czasów. Zbudowany jest z brył betonu, stali i szyn, a pod tym kilkutonowym ciężarem stoi na cokole brązowe popiersie Gzowskiego.

Trudno go sfotografować, gdyż samo popiersie ukrywa się we wnętrzu trójkątnych filarów, za fragmentem torów kolejowych umieszczonych na pierwszym planie. Stoi w najbardziej

publicznym miejscu miasta, pomiędzy trasą szybkiego ruchu Leke Shore, a brzegiem jeziora Ontario, na murawie, którą upodobały sobie stadka dzikich gęsi bernikli kanadyjskich.

Obserwowałem je przez dłuższy czas. W upalne dni ludzie tutaj się opalali, a one spokojnie obok żerowały, pomimo że wokół bawiły się dzieci, jeździły na rowerach i wrotkach. W niczym to nie przeszkadzało tym ptakom, choć nie pozwalały się zbliżać do siebie na więcej niż dziesięć metrów. Kiedy zaś ludzie opuszczają park oraz w dni słotne i dżdżyste, gęsi wracają pod swój pomnik i tam odpoczywają.

Olgierd Budrewicz w książce „Rodacy spod Klonowego Liścia” pisał, że syn Gzowskiego, Peter, redaktor magazynu ilustrowanego „Star Weekley”, odmówił zamieszczenia w swoim piśmie zdjęcia pomnika ojca z uroczystości jego otwarcia, motywując to tym, że pomnik jest okropny.

Myślę, że prawda leżała w tym, że dobra jego fotografia, która oddawałaby w tym momencie prawdziwy wysiłek bohatera narodowego Kanady, nie istnieje. Można ją jednak sobie uzmysłwić oglądając poszczególne elementy pomnika i chyba oto chodziło budowniczemu Philipchowi Givensowi.

A jak ważną dla Kanady była postać Gzowskiego niech świadczy fakt, że odsłonięcia pomnika dokonał sam premier Kanady, Pierre Trudeau.

Do mniej znanych historii należy zaliczyć odwiedzenie pogranicza amerykańsko-kanadyjskiego przez P.E. Strzeleckiego, urodzonego w 1797 roku w Głuszynie pod Poznaniem, uczonego, podróżnika, który wsławił się badaniami Australii.



... Jest to kawałek Polski... Mieszka w Toronto około 80 tysięcy Kanadyjczyków polskiego pochodzenia. .



...Dzielnica ta słynie również z luksusowych, willowych domów.



...Od roku 1950 dzięki Kongresowi Polonii kanadyjskiej działają 72 polskie szkoły...



Ostatnia fala emigracji, rozpoczęta w latach osiemdziesiątych, znacznie zmieniła charakter dzisiejszej Polonii...



...Tysiące młodych Polaków, z reguły dobrze wykształconych, znających język angielski...z marszu weszło do pracy w instytucjach i biznesie kanadyjskim. ...

...Tu w parku nad
samym jeziorem
Ontario, stoi pomnik
Wielkiego Polaka,
któremu szczególnie
Kanadyjczycy wiele
zawdzięczają
inz. Kazimierza
Gzowskiego.



Przybył do Stanów Zjednoczonych i w 1834 roku do Krainy Wielkich Jezior. Przebywał dwa lata wśród Huronów, zaprzyjaźnił się z wodzem Indian Osceolą. Odbył spotkanie z ówczesnym prezydentem USA A. Jacksonem, ujmując się za polskimi emigrantami i Indianami.

Z nowszej historii polonijnej działalności w Kanadzie wiemy, że przyczyniła się ona wydatnie do walki o odrodzenie Polski w 1917 roku. Zorganizowano wówczas w miasteczku Niagara on the Lake obóz rekrutacyjny Armii Polskiej, w którym wykształcono 22 tysiące żołnierzy.

W tym samym okresie w Toronto przy kolegium uniwersyteckim otwarto Polską Szkołę Oficerską. Później jeden z jej słuchaczy, inż. Aleksander Małkowski, stworzył harcerstwo polskie w II Rzeczypospolitej.

Niecałe ćwierć wieku później historia miała się powtórzyć. W Winsor i Owen Sound od roku 1941 do 1944 wyszkolono 4000 żołnierzy, którzy wzięli udział w walkach jednostek polskich na Zachodzie w czasie II wojny światowej.

W tym czasie powstaje Biblioteka Polska i Instytut Naukowy w Montrealu, działające nieprzerwanie do dzisiejszego dnia.

W 1944 powołano Kongres Polonii Kanadyjskiej - nadrzędną reprezentację ponad 200 organizacji. Od 1950 roku dzięki niemu działają tu 72 polskie szkoły, język polski jest przedmiotem nauczania w szkołach publicznych, a w pięciu kanadyjskich uniwersytetach oferuje się lektoraty języka polskiego. Uruchomione zostały polskie wydawnictwa prasowe. Ukazuje się ponad 40 tytułów.

Polonijny rynek czytelniczy i informacyjny jest tu unikalny. Żadna grupa etniczna nie może się pochwalić zbliżoną choćby różnorodnością, poziomem prasy i innych środków przekazu. Włosi, których w Toronto jest więcej niż Polaków, mają tylko jedną gazetę. Z nami równają się tylko Chińczycy z podobną ilością wydawnictw, jednak myślę, że jakościowo o wiele słabszych.

Mieszkańcy tej metropolii wiedzą, że nie ma lepszego polskiego wydawnictwa jak codzienna „Gazeta”. A przecież obok niej ukazują się takie czasopisma jak: „Związkowiec”, „Pielgrzym”, „Głos Polski”, „Nowy Kurier”, „Hit”, „High Park”.

Jest też dużo wydawnictw fachowych, czasopism motoryzacyjnych, jak „Auto Info”, jest żeglarski miesięcznik „Białe Żagle”, „W Drodze” Tadeusza Wielgołowskiego - magazyn dla „trakerów”.

Jak meteoryty pojawiają się też inne przedsięwzięcia prasowe, takie choćby jak: „Sukces w Ameryce” Piotra Hoffmanna, „Tygodnik Torontoński” Jacka Kozaka i inne.

Działają tu licznie słuchane stacje radiowe, między innymi radio „Polonia” prowadzone przez Piotrowskich.

Przed telewizorami każdego dnia zasiadają Polacy, ci miejscowi i ci przyjezdni, aby zobaczyć, co się dzieje w dalekiej ojczyźnie, w świecie i tu na własnym podwórku. Mają, w czym wybierać. W Kanadzie działa 9 programów radiowych i 9 kanałów telewizyjnych.

Istnieje teatr „Polonia”, kluby wędkarski i łowiecki, dziesiątki wypożyczalni kaset video.

Ostatnia fala emigracji, rozpoczęta w latach osiemdziesiątych, znacznie zmieniła charakter dzisiejszej Poloni.

Według danych szacunkowych w latach 1980 - 1991 osiedliło się w Kanadzie około 100 tysięcy Polaków, najczęściej uchodźców okresu „stanu wojennego”. Dla nich zniesiono w tym czasie limit na pobyt stały. Tysiące młodych Polaków, z reguły

dobrze wykształconych, znający język angielski, przedsiębiorczych, przestało się utożsamiać ze starą emigracją i jak gdyby z marszu weszło do pracy w instytucjach i biznesie kanadyjskim.

Polacy są „dobrą” kategorią emigrantów. Nie boją się ciężkiej pracy, gotowi są na wyrzeczenia, za co są cenieni przez władze kanadyjskie. Pracują w zawodach deficytowych, są lekarzami, specjalistami od spraw finansowych, naukowcami, inżynierami, menadżerami, informatykami itp.

Do polskich dzielnic jeżdżą chętnie po „delicje” - kiełbasy, pamiątki i alkohole. Twierdzą, że nigdy nie przestaną być Polakami!



28. PRZY KAWIARNIANYM STOLIKU

Od niedawna przebywałem w Kanadzie, mieszkałem w Mississauga. Często mnie pytano jak mi się podoba w tym kraju. Odpowiadałem, że jeszcze nie wiem, przyzwyczajam się powoli.

Muszę jednak przyznać, że nie smakuje mi tutejsza kawa, podawana najczęściej w kubkach ze styropianu, choć duża, ale z oszczędnym wkładem. Muszę się też przyzwyczaić do tego, że tutaj chcą wszyscy pracować. Już poznałem dentystę, który zarabia trzy i pół tysiąca dolarów, jego żona pracuje w handlu, a córka przed pójściem do szkoły roznosi gazety, aby zarobić na obóz harcerski. Jego kolega, chirurg z miejscowego szpitala, zarabia pięć tysięcy, żona jest starszą pielęgniarką, a syn przed szkołą, rozwozi pizzę.

Mississauga jest dużym skupiskiem Polonii, jest też tu wiele polskich restauracji i barów, które po dwudziestej wypełniają się ciekawymi ludźmi, którzy tęsknią za krajem. Chcą porozmawiać w języku ojczystym, czy też tylko nawiązać bliższe kontakty.

Po raz pierwszy taką kawę w styropianie piłem z Johannem, emigrantem z Polski, młodym, silnym jak wół chłopem, z zawodu kierowcą samochodu. Wówczas Janek pracy już nie miał, a kawa też mu nie smakowała.

– Proszę pana, ale ja wiem gdzie można napić się dobrej kawy – powiedział i tak znaleźliśmy się w Danka’s Deli, restauracji położonej bliżej centrum Mississauga, przy „polskiej plaży” – Parkerhill.

Wewnątrz, przy małym stoliku z przyjemnością smakowaliśmy małą czarną, taką samą jakiej smak i zapach zapamiętałem z kawiarni wrocławskich, czy warszawskich. Tutaj też można było zjeść typowo polskie przysmaki, nawet schabowego za dwieście dolarów.

Przy przyciemnionych światłach Janek się trochę rozkleił. Powiedział, że jestem pierwszym, któremu się zwierza ze swoich kłopotów.

Kiedy przyjechałem tutaj zaraz po stanie wojennym Kanada była zupełnie innym krajem. Pracę dostałem w firmie transportowej, odpowiednie papiery załatwili mi znajomi, ksero było nie do rozpoznania.

Wówczas wiele ciężarówek tutaj jeździło bez żadnych dokumentów. Kiedyś na trasie nie miałem świateł, patrol policji poprosił jedynie o naprawę uszkodzenia, żadnego mandatu, żadnych punktów. Po prostu uśmiech i rada, abym usunął awarię.

Dziś za to samo przewinienie by mi zabrano ciężarówkę na dwa tygodnie i wlepiono wysoki mandat. Oni nawet teraz chodzą po parkingach i sprawdzają prawidłowość rejestracji, a także ich stan techniczny. Wiele też pojazdów odholowują na policyjny plac.

Mówił z pewną dozą goryczy i niepewności, co do własnych losów w nowej ojczyźnie. Pomyślałem sobie, że w końcu Janek pracę znajdzie, jest młody, miasto rozwija się w niebywałym tempie.

Mój przyjaciel chciał z siebie strząsnąć wszystko, co miał do powiedzenia.

– Źle mi się nie powodzi – mówił – wynajmuję niedrogie mieszkanie, mam spore już konto, ale końcówka ubiegłego roku była dla mnie zła, a nawet tragiczna. Jeszcze do niedawna woziłem deski

do nowo budowanej dachy. W drodze powrotnej z Combermore jakiś pijak wskakiwał mi na pakę i spadł Ponoć złamał nogę, a ja mu nie udzieliłem pomocy. Rozpętało się piekło. Lawina pretensji zakładów ubezpieczeniowych, żądania rodziny, a przede wszystkim policja!

Kiedy w firmie przyjmowałem zlecenie wyjazdu w trasę z nowym ładunkiem zadzwonił telefon. Szef Walter zawołał: „Johan telefon do ciebie z policji”. Wówczas w sercu jeszcze nosiłem wielki uraz do wszelkiego rodzaju milicji i władz bezpieczeństwa, które mnie tresowały po „wydarzeniach poznańskich”. Nogi mi się ugięły. Ręką pokazałem, że mnie nie ma, że jestem w trasie. Równocześnie spokojnie, jak gdyby nigdy nic się nie stało, poszedłem do ubikacji.

Znów jak dawniej w Poznaniu zacząłem się bać tej biurokratycznej maszyny, stałem się małym, bezradnym chłopcem. Zamknąłem się szczelnie w kabinie, usiadłem na sedesie i rzewnie się rozpląkałem. Od szlochu i łkania trząsałem się, jakbym miał silną gorączkę.

Rozczulony, znerwicowany, słaby i bezradny powtarzałem sobie: „Janku, gdzie tobie do interesów, dorównania tym cwaniakom. Może ty byłeś kiedyś gieroj w Polsce, ale nie tu, w Kanadzie. Tu jesteś sam jak ten mały palec, nikt tu ci nie pomoże i ręki nie poda!” I płakałem cicho jak bóbr, a raczej jak polski bóbr w kanadyjskim kiblucy. Takie były początki mojego pobytu w Kanadzie.

*

Na dobrą kawę, na tej samej plaży, chodziłem z przyjaciółmi do „Eldorada”, restauracji, która weszła na rynek z wielkim hukiem i szybko spowszedniała. Ponoć nieudolność właścicieli spowodowała, że nie stała się gorącym miejscem dla Polonii, jak „Klub Żywiec”, położony na południowej stronie ulicy Dun-

das, z restauracją w piwnicy, z wykwintnymi polskimi zabawami, z dużą ilością świateł i bajerów.

Restauracja ta przygarnęła pod swój dach „Klub Polskiego Truckera” założony przez Tadeusza Ted Wielgolawskiego, redaktora naczelnego magazynu dla zawodowych kierowców, „W Drodze”.

Właściciel restauracji, Andrzej Kaminski, na temat Teda może mówić całymi godzinami. Taką wielką charyzmą cieszy się tutaj redaktor tego magazynu. Ładnie o nim napisał niedawno „Związkowiec”, który wychodzi w tym mieście.

Przyszli po niego w nocy z 12 na 13 grudnia. Podobnie jak większość członków „Solidarności” podczas stanu wojennego został internowany i dość szybko, ze względu na stan zdrowia, zwolniony. Długo jednak wolnością się nie cieszył. Ponownie go aresztowano za organizację manifestacji.

Stanął przed obliczem surowego sądu wojskowego. Poszedł za kraty, aresztowano też jego syna!

Czy miał wybór, kiedy zaproponowano mu wyjazd za granicę? W styczniu 1984 roku dostał do ręki wizę do USA i Kanady. Wybrał Kanadę.

Ted kiedyś opowiadał, że będąc jeszcze w Polsce obejrzał film „Konwój” o amerykańskich „truckerach”. Po przyjeździe do nowej ojczyzny spróbował odmienić swój los. Za ciężko zarobione pieniądze, z wożenia pasażerów z Toronto do Montrealu, kupił sobie „trucka”. Od razu uznał, że jest to jego sposób na życie. Tak poznał Amerykę. Wybierał zawsze te trasy, których jeszcze nie znał i miejscowości, których nie odwiedził. Pachniało to wielką przygodą.

Ale była to też ciężka praca, po kilkanaście godzin za kierownicą, bez względu na pogodę i ciągle poza domem. Jeździł z ładunkami do Montrealu, Vancouver, Los Angeles i dopiero potem łapał kurs do Toronto. W sumie przebywał trzy tygodnie w drodze, a tak bywało jeszcze kilka lat wstecz. Teraz bardzo

modne stały się „teamy”, czyli jazda non-stop i prowadzenie samochodu na zmianę z partnerem. Jeden prowadzi, drugi śpi. To zjawisko stało się powszechne wśród polskich truckerów.

Można w Ontario o tym polskim sposobie na życie kierowców mówić otwarcie. Wśród dwustutysięcznej Polonii jest osiem tysięcy zawodowych truckerów, czyli co piąty aktywny zawodowo Polak siedzi za kółkiem. Jeżdżą lekarze, inżynierowie, nawet fotograficy.

Wśród truckerów jest też profesor z amerykańskiego uniwersytetu. Zostawił pracę na uczelni, porzucił dom i jeździ. Mówi, iż żałuje, że nie zrobił tego kilkanaście lat wcześniej. Zapytany o powód takiej decyzji, oświadczył, że jest to jedyny i ostatni już zawód w tym zwariowanym świecie. Dla Ameryki, bohaterem wewnętrznej wolności jest kowboj, teraz jego miejsce zajął trucker.

Ted zapytany kiedyś czy pod łóżkiem ma buty kowbojskie, zaprzeczył, gdyż samochody zawsze prowadził boso. Lubił czuć po prostu pod stopą pedał gazu i hamulec. W sumie przejechał ponad dwa i pół miliona kilometrów.

Pewnego dnia żona powiedziała stop! Było to po tragicznym wypadku, o którym Ted nie chce wspominać. „Truck” był do kasacji, a on sam cudem tylko uratował się z tego wypadku

*

W tym mieście jest też wiele innych, zasłużonych polonijnych restauracji i kawiarni, które przyczerpały pod swoje dachy: brydżystów, wędkarzy, żeglarzy i myśliwych, takich jak: „Fregata”, „Activ-8”, „The Old Stable”, „Theresa Plac Restaurant” itp.

„Atrium”, była „Balada”, położona po północnej stronie Dundas, przy skrzyżowaniu ul. Consitution to znana Polonii od dobrych kilku lat dość okazałych rozmiarów, dwupoziomowa restauracja i bar, gdzie można zawsze spotkać dużo stałych by-

walców. Tu regularnie spotykają się i bawią myśliwi z Polskiego Klubu Łowieckiego i nie zrzeszeni, polujący na północy Ontario.

Andrzej Dachowski, Janek Kozak, Andrzej Pora w Polsce nie mieli możliwości uprawiania łowiectwa. Nie mogli dostać się do koła, podobnie jak ich wielu kolegów. Tutaj, przy małej czarnej, mówili o swoich przeżyciach z peerelowskimi władzami, a niemal każdy z nich miał w rodzinie akowca, lub podpadł rządzącym. Przynależność do koła była, oprócz zezwolenia na broń, gwarantem uprawiania łowiectwa w PRL.

Mówili, że swą pasję życiową i tęsknotę za lasem oraz przyrodą mogli dopiero zrealizować w Kanadzie. Dzięki przyjaściolom poznali arkana sztuki łowieckiej tego kraju, ogromne puszcze, zwierzynę, obyczaje, tereny polowań, często oddalone o setki kilometrów od Toronto.

Od wielu już lat w małych zespołach każdego roku spędzają wakacje myśliwskie, polując na łosie, niedźwiedzie, wilki i ptactwo wodne w uroczej scenerii Północy. Na Ziemi Kanadyjskiej mogli zrealizować swe marzenia z lat młodości. Było to jednak możliwe dzięki ich własnej przedsiębiorczości, wyrzeczeniom, poświęceniu, nie liczeniu godzin pracy społecznej dla dobra Klubu.

Na pewno wymagało też to sporych nakładów finansowych, ale o tym hobbyści nie mówią. Jeden z nich jest szefem sporego warsztatu samochodowego, drugi stolarskiego, a trzeci architektem.

– Sama praca to za mało – mówi Andrzej. – Wprawdzie daje dużo dobrego, ale ważne jest i to, aby naprawdę przysłużyć się czymś konkretnym swoim kolegom po strzelbie. Jesteśmy zaangażowani w przekazywanie dobrych obyczajów łowieckich naszym nowym kolegom. Znajomość łowiectwa, traperki, wielkiej ilości często groźnych zwierząt w tutejszych ogromnych połaciach puszczy, to nie to samo, co w Polsce. Ochrona bogactw tej przyrody, która na

szczęście uchowała się do naszych czasów, jest zupełnie odmiennie traktowana niż w Europie.

Chcemy też przekazywać nowo wstępującym nemrodom tradycje naszych Ojców, które są odmiennie, bogate i zaskakujące dla Kanadyjczyków. Jeżeli św. Hubert uzna, że to, co tu robimy jest potrzebne, to wierzymy, że nam pomoże.



29. GWIAZDA KASZUBSKICH JEZIOR

Nasi praojcowie podejmowali wszystkie ważne decyzje od prośby do Boga o pomoc. Przed decydującym bojem zgromadzone hufce pochylały odkryte głowy z ciężkich stalowych przyłbic i szyszaków, aby zaintonować „Bogurodzicę”. Również ważne uroczystości, czy narady, rozpoczynano od modlitwy. Do dzisiaj przetrwała ta tradycja. Nie dziwi nas widok tak często spotykanych kapliczek i krzyży na rozstajach dróg, w pniach sędziwych drzew i miejscach wypadków.

W lasach leśnicy i myśliwi mają swoje święte miejsca. Stawiają pomniki patronowi, św. Hubertowi, z prośbami, aby „bór im darzył”.

Takie same kapliczki i krzyże, najczęściej poświęcone kultowi Maryjnemu, można również spotkać na rozstajach dróg kanadyjskiej puszczy, obok Barry’s Bay i Wilna w Dolinie Madawaskiej na Ontaryjskich Kaszubach. Wiele z tych kapliczek pamięta czasy pierwszego księdza parafii, Ludwika Dembskiego.

Po wybudowaniu w stolicy Kaszub, Wilnie, kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Królowej Polski przeniesiono na przykościelny cmentarz kapliczki rozsiane po wielkiej puszczy, dla ich ocalenia i ochrony. Jednak nie wszystkie. Pozostały na dawnych miejscach te, o które nieznanne ręce stale dbały, upiększały kwiatami. Ustawiano też nowe, coraz okazalsze ołtarzyki

leśne, wśród jezior i pagórków, na polanach obozów harcerskich, przy domach letniskowych, a nawet wśród leśnych ogródków. Wszędzie gdzie mieszkają Polacy można spotkać te dziękczynne vota. Mają swoją niepowtarzalną wymowę i swoje piękno, nadane im przez miejscowych, ludowych artystów.

Te zagubione głęboko w puszczech są najczęściej zbudowane z czerwonego drewna cedrowego, o stuletniej wytrzymałości, a swym kształtem przypominają nasze leśne karmniki dla sarenek. Okryte są dachem z gontów, z krzyżykiem na szczycie dachu, a za drabinkami widnieją zasuszone leśne kwiaty i Madonna Częstochowska lub Ostrobramska.

W otoczeniu wiekowych drzew, tworzących miejsca powagi, piękna, ciszy i kultu, są to swoiste Sanktuaria Kaszubów, w puszczach prowincji Renfrew.

Nad jeziorami można spotkać również krzyże zbudowane z dziesiątków małych kamyków, wybranych z uprawnych pól i misternie zlepiionych gliną.

Najbardziej znaną kapliczką, przed którą najczęściej pochylają się Polacy i ci tutaj mieszkający i ci, którzy przybywają na kolonie, obozy harcerskie, uroczystości patriotyczne, czy też wypoczynek, jest replika, słynącej cudami patronki Ludu Kaszubskiego, Matki Boskiej Swarzewskiej. Ludzie klękają tutaj z pokorą i modlą się słowami:

Panno łaskawa,
Promieniami jaśniejąca,
Chroń nas,
Przybyłych do Kanady,
Której malutką cząstkę,
Znaną jako Kaszuby,
W przedziwny sposób,
W swą opiekę wzięłaś....
W trudnych chwilach
Życia naszego,

Gdy Ciebie
O ratunek czy radę prosimy
Nie odmawiaj swej pomocy.....
Matko Boska Swarzewska
Promieniami jaśniejąca
Opiekunko Kaszub Ontaryjskich
Módl się za nami.

Kopia Matki Boskiej Swarzewskiej, Gwiazdy Morza, często nazywanej Gwiazdą Kaszubskich Jezior, znalazła się w Kanadzie, jako wotum Hieronimy i Władysława Wrażeńów. Jest też przykładem ciężkich, krętych losów Polaków, którzy na tych ziemiach zamieszkują niemal od półtora wieku.

– To dziękczynne wotum zostało ofiarowane w podzięcie Bogu za wysłuchanie modlitwy o zwolnienie z więzienia córki Marii, niedoszłej uciekiniarki z Polski Ludowej – powiedział na spotkaniu z młodzieżą ojciec Rafał, opiekun Katedry pod Sosnami.

Marysia trafiła do więzienia na początku lat pięćdziesiątych za próbę ucieczki z kraju. Chciała połączyć się z rodziną w Kanadzie.

Po ukończeniu Politechniki Gdańskiej i uzyskaniu dyplomu magistra inżyniera urbanistyki postanowiła starać się o wizę i wyjechać do swej rodziny. Wówczas Polska stawała się coraz bardziej zamknięta, a odmowy wyjazdów za granicę były nagminne. Po kolejnym niepowodzeniu Marysia, tak zresztą jak wielu młodych Polaków, postanowiła zaryzykować i opuścić kraj nielegalnie, przez tak zwaną „zieloną granicę”.

Do ucieczki przygotowała się drobiazgowo. W zupełnej tajemnicy wyjechała do Szczecina. Tutaj, dzięki znajomościom i pieniądзом, wypłynęła statkiem w bardzo długą podróż. Na nim jednak dosięgła ją ręka, „sprawiedliwości ludowej” i trafiła na cztery lata do więzienia.

Po zatrzymaniu córki Wrażejowie byli załamani. Swoim nieszczęściem podzielili się z ojcem Rafałem Grządzielą. W ich imieniu ojciec odprowadzał błagalne nabożeństwa w kościółku na Kaszubach, tu też państwo Wrażejowie polecieli się opiece Gwiazdy Morza.

Żarliwe błagania o wolność dla Marysi trwały długie miesiące. Wówczas już rodzice postanowili, że z chwilą opuszczenia więzienia przez córkę wybudują w podzięce wotum dziękczynne i postawią przydrożną kapliczkę z repliką cudownej figury Madonny Swarzewskiej.

Kiedy w 1957 roku dotarła radosna wiadomość do państwa Wrażejów, że Marysia jest wolna, poprosili ją o kopię dziękczynnej figurki. Marysia zamówiła ją na Podhalu u miejscowego rzeźbiarza i bez problemów wysłała w pudle po obuwie. Madonna dotarła do Kanady.

Uznano to również za cud, że bez cła, cenzury, w ciągu zaledwie ośmiu dni replika Madonny Swarzewskiej znalazła się u rodziców Marysi.

Przez ojca Rafała z wielką czcią została umieszczona na ołtarzu w małym kościółku, którym on się opiekował. Teraz zamieszkała na Polskich Kaszubach, nad jeziorem Wadsworth.

Po wybudowaniu obiecanej kapliczki przy skrzyżowaniu dróg Barrys' Bay Road i Chapel trafiła tam, poświęcona przez ks. L. Raca i o. Rafała.

W uroczystości wzięła udział rodzina Wrażejów, Kaszubi, wczasowicze i harcerze.

Ustawiono figurkę Madonny za szkłem, w kapliczce zbudowanej z lokalnego granitu i różowego kwarcu, pod bacznym okiem Wrażejów. Odtąd stała się ozdobą Polskich Kaszub, odwiedzana przez gospodarzy z rozsianych tu licznie farm, zadbana, ze stale nowymi kwiatami składanymi przez wiernych.



...Najbardziej znaną kapliczką,
nad którą najczęściej pochylają
się Polacy to replika słynącej
cudami patronki
Ludu Kaszubskiego,
Matki Boskiej Swarzewskiej. ...





Bazylika Ile-Notre-Dame, jest jedna z najwspanialszych przykładów neogotyku w architekturze Ameryki Północnej. ..



...Wielka kopuła ze stali po wystawie Expo 67...



...Naprzeciw wzgórze Mont Royal z kopułą kościoła Oratorie St. Joseph i ujmujący widok miasta ...



...Żegnając Montreal i naszych uprzejmych gospodarzy
obiecaliśmy sobie jeszcze tam powrócić. ...

Jednak życie dopisało następne strony i ciąg dalszy historii Gwiazdy Kaszubskich Jezior.

Wykonano następną replikę Madonny, ale już nie z drewna, a z porcelany, trwalszą, droższą, okazalszą i wymieniono ją na tą prostą, podhalańską.

Pierwsza Madonna wróciła znów do kościoła, ale już nie na tak eksponowane miejsce. Po remoncie ołtarza znalazła się razem z zbędnymi meblami na ognisku.

Kościółek ten przebudowywał już następca ojca. Rafała, ks. o. Pasiecznik z Montrealu. Dawne wotum, ofiarowane w obliczu wielkiej tragedii, zaczęło nie pasować do obecnego bogatego wystroju świątyni. Na ognisku znalazły się stare, wysłużone ołtarzyki, klęczniki, ławki, a także figurka, nasiąkniętą modlitwą, miłością, bólem i nadzieją wiernych, którzy się tu do niej modlili.

Jesienią, kiedy zaczerwieniły się ontaryjskie klony i babie lato zawitało w kaszubskie doliny, niebo zarumieniło się ze wstydu.

Na wierzchu stosu, przygotowanego do spalenia, znalazła się figurka Madonny Swarzewskiej, Gwiazdy Kaszubskich Jezior. Jednak wcale nie chciała spłonąć i opuścić raz na zawsze Polskie Kaszuby. Zauważył ją na szczycie stosu ogniska jeden z mieszkańców i z odłamanym berłem, uszkodzoną, przyniósł do domu.

Odtąd jednak sumienie dręczyło go okropnie, nie mógł spać, miał sny, który mówiły mu, że miejsce tej Pani jest na ołtarzu. Zwrócił ją franciszkanom, którzy ze wstydem schowali figurkę do szafy. Tam przebywała dość długo, ale było wiadomo, że nadal nie pasowała do nowego wystroju kościoła. Wówczas o. Rafał odebrał Madonnę i ustawił w swojej domowej kapliczce.

Losy Gwiazdy Kaszubskich Jezior poruszyły wielu. Jedna z wiernych napisała krótką modlitwę do Matki Boskiej Swarzewskiej z Kaszub Ontaryjskich, której część przytoczyłem.

Pragnieniem wiernych jest, aby Matka Boska Swarzewska wróciła na dawne, honorowe miejsce w kościółku na Polskich Kaszubach.



30. KRÓLEWSKIE WZGÓRZE

Był gorący, upalny lipiec. Wczesnym rankiem opuszczamy nasz dom przy Havenwood w Mississauga i kierujemy na wschód. Naszym celem jest sąsiednia prowincja Quebec, a w niej największa, bo trzymilionowa metropolia Montreal i jej turystyczno - historyczne osobliwości.

Jedziemy w gęstej mgle, a raczej w dymie, w słynnym to-
rontońskim smogu na autostradzie 401. Również inne samochody
jadą ostrożnie, wyczuwa się niebezpieczeństwo.

Ostatnia dzielnica, Scarborough i gęsta mgła ustępuje.
Znikają ciemne chmury, zamglone miasto pozostaje za nami. Po-
ranne słońce świeci nam prosto w oczy, przed nami ponad
600 km asfaltowej drogi prowadzącej wzdłuż olbrzymiego jeziora
Ontario.

Błękit nieba i jeziora jest tak intensywny, że na szmarag-
dowo zabarwia szyby samochodu. Brzegi jeziora łagodnie scho-
dzą do wody, pełno tu niskiej zabudowy, przystani i portów, da-
lej, za Trenton, rozlewisk i jezior.

W Kinkston mamy połowę drogi. Dalej już jedziemy
wzdłuż szerokiego ujścia rzeki Św. Wawrzyńca. Po przeciwnej
jej stronie jest stan Nowy Jork i Stany Zjednoczone.

Za Lancaster wjeżdżamy do prowincji Quebec. Tam autostrada 401 przechodzi w nr 20. Duże tablice informują nas, że jesteśmy poza Ontario, o tym zaświadcza też nienajlepsza powierzchnia drogi. Dotąd znaki drogowe w dwóch językach - angielskim i francuskim, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znikły, teraz są tylko w jednym, francuskim.

Czyżby w dwujęzycznej Kanadzie prowincja ta lekceważyła angielskie napisy? Później mieliśmy możliwość się przekonać w warsztacie samochodowym o tej nietolerancji. Udawano, że nas nie rozumieją.

Polacy to, co innego. Z sympatią naprawiono nasze auto. Należało tylko nie rozmawiać po angielsku.

A przecież w Ontario nauka prowadzona jest w obu językach, a bliskie współzycie francusko - angielskie leży u podstaw kanadyjskiej egzystencji.

Większość obywateli mówiących po francusku mieszka w tej prowincji, w Montrealu zaś połowa całej ludności Quebecu. Dominuje tu wiara katolicka. Strzeliste wieżycy kościołów, przydrożne kapliczki, wiejska zabudowa są nam, Polakom bardzo bliskie, choć znacznie różnią się od innych prowincji Kanady. Widywaliśmy tu dość często zakonników, jak mieliśmy możliwość się przekonać, proboszcz jest ważną osobą we wsi.

Kiedy Jack Cartier przybył na te ziemie Indianie, mieszkańcy wioski otoczonej palisadą o nazwie Hochelage, zaprowadzili go na szczyt góry. Przed nim roztoczył się tak wspaniały widok na rzekę Św. Wawrzyńca, jakiego dotąd w życiu nie widział.

Podróżnik zasadził tam drzewo, dziękując Bogu za udaną podróż, a wzniesienie nazwał Mont Royal (Mon Real) – Królewskie Wzgórze.

Nasza droga prowadziła przez piękny, ażurowy most Królowej Victorii na rzece Św. Wawrzyńca, do dzielnicy Greenfield Park, ciągnącej się wzdłuż szerokiej, majestatycznej rzeki.

Zamieszkaliśmy w kilkurodzinnym domu, u naszych dobrych znajomych, przy placyku parkowym noszącym nazwę Baron, wśród kortów tenisowych, boisk i obiektów sportowych. Stąd do centrum miasta mieliśmy 15 minut drogi, pod warunkiem, że nie natrafimy na korki uliczne.

Ujmujący widok roztaczał się znad rzeki - na mosty, drapacze chmur, teraz zatopione w różowej mgiełce zachodzącego słońca.

Miasto, położone w centrum szlaku wodnego, założone w 1642 roku, stało się najbogatszym ośrodkiem handlowo-przemysłowym, także głównym śródlądowym portem. Kiedy w 1885 roku połączyła je linia kolejowa z zachodnim wybrzeżem, z Pacyfikiem, przewodziło rozwojowi kraju.

Na południe od Montrealu mieszkają Indianie w dwóch rezerwach – Mohawkowie i Khanesetake i właśnie ci drudzy są znani z walki o swoje prawa i często się o nich pisze w tutejszej prasie.

Nasi przyjaciele zaproponowali nam odwiedzenie rezerwu Indian, z czego też skrzętnie skorzystaliśmy. Jechaliśmy wzdłuż brzegów rzeki, szeroką asfaltową drogą nr 15, do Candiac, a następnie drogą 132 do miasteczka Kannawake. Za oknem samochodu przesuwiała się szeroka rzeka, o dość wartkim prądzie, niskich kamienistych brzegach, porośniętych olchą, topolami i wierzbami. Na przeciwległym brzegu widniały niskie zabudowania i las stalowych masztów, a droga wydawała się monotonna.

Był czas na rozważania. Powracały zapamiętane z młodzińszych lat opowieści o Indianach Karola Maya i Jacka Londona. Rzeczywistość okazała się jednak zupełnie inna. Domy zamieszkałe przez Indian były niewielkie, o kształtach baraków. Przy każdym stały drogie auta, choć niektóre mocno zdezelowane. Obok baraku z pamiątkami były dwa wigwamy, aby turyści mogli zobaczyć jak mieszkali pradziadkowie dzisiejszych Indian.

Towary codziennego użytku są tu tańsze niż w mieście, ale zabronione jest ich nabywanie osobom spoza rezerwatu.

Czarnooka Indianka widząc mój aparat zaproponowała wypożyczenie odpłatnie do zdjęcia pióropusza, wartego ponad 900 dolarów kanadyjskich, a zrobiła to z taką gracją, że trudno było odmówić.

Nie było wcale proste założenie na głowę tego kłębu piór. Wreszcie stanąłem przed wigwamem, starałem się wyglądać jak czerwonoskóry, a może jak Grey Owl, który tu niedaleko na granicy Quebecu mieszkał wśród Indian i bobrów, ale to tylko było marzenie. Zdjęcie w ubraniu turystycznym, z pióropuszem na głowie, to już zupełna karykatura.

Oglądamy jeszcze wielkie łopaty łosia, niedźwiedzie skóry, canoe, rakiety śnieżne i wracamy do miasta, do jego najstarszej części - Vieux Montreal i Vieux Port nad rzeką Św. Wawrzyńca, budynków, brukowanych ulic z XVIII i XIX wieku. W ich tle znajduje się panorama nowoczesnych drapaczy chmur.

Naprzeciw mamy w kolorach oświetlone Wzgórze Mont Royal z kopułą kościoła Oratorie St. Joseph, niżej po stronie wschodniej wyspę Ile-Ste-Helene. Obok stoi wielka kopuła ze stali, budynki po wystawie Expo 67 i kolejka górską La Ronde.

Bazylika Ile-Notre-Dame jest jednym z najwspanialszych przykładów neogotyku w architekturze Ameryki Północnej. Żadne słowa, żadne fotografie, nie oddadzą piękna tego kościoła, jego wystroju, kolorytu barw i mistycznej atmosfery. Przy wejściu słyszymy polską mowę. To wycieczka Amerykanów pol-

skiego pochodzenia z Nowego Jorku. Przyjechała autokarem, miło jest spotkać rodaków.

Obok, w sercu dzielnicy, leży Plac Jack Cartier, a na nim stoi fontanna przed bogato zdobionym ratuszem miejskim. W tym miejscu w 1967 roku prezydent Francji Charles de Gaulle wniósł słynny okrzyk: „Niech żyje wolny Quebec”. Dziś jest tu pełno kwiatów, starych, rzemieślniczych sklepów, kawiarenek i barów, czuje się dziewiętnastowieczną atmosferę Paryża.

W nozdrza wdiera się zapach kwiatów i końskich odchodów, jeżdżą bajecznie kolorowe dorożki o żółtoczerwonych kołach. Obwożą turystów po wąskich uliczkach. Elegancko ubrany woźnica i zgrabne dziewczyny wyprzedzają stojące w korkach limuzyny.

Z przyjemnością i my zanurzamy się w ten paryski nastrój. Trochę zmęczeni, odurzeni, wśród muzyki, szumu samochodów, miejskiego gwaru, zajmujemy miejsce w kawiarence przy samym chodniku. Jest tu parę osób w roboczych dżinsach.

–To na pewno przybysze z zewnątrz, mówiący po angielsku. Większość jednak jest ubrana wizytowo, elegancko. Zachowują się swobodnie – to Quebejczycy. Panie w sukienkach z żurnali mody, szczupłe, zadbane, jest bardzo mało osób otyłych, chyba dzięki francuskiej kuchni. Nie widać tutaj Mc Donalds i Burger King.

Pod wieczór kafejki i bary zapełniają się. Wszędzie słychać muzykę, śpiew, czasem oklaski dla występujących aktorów, gimnastyków i cyrkowców. Urocze hostessy wręczają menu i zapraszają do wnętrza.

Odurzeni nastrojem paryskich uliczek Montrealu wracamy na parking już po północy. A nasi przyjaciele tyle mieli nam jeszcze do pokazania.

Następnego dnia rano był rześki, znad rzeki ciągnęła siwa mgiełka niosąc zapach zbutwiałego drewna. Przy pierwszej kawie Grzesiek bardzo żałował, że nie mógł nam pokazać, jak

mówił, istnego cuda, które miasto ufundowało sobie z okazji Expo 67, a jest nim „podziemne miasto”. To arterie, ulice bez jezdni, z rozświetlonymi sklepami, skrzyżowaniami prowadzącymi do kin, teatrów, hoteli, restauracji. Wszędzie jest nadzwyczaj czysto, widać setki osób wędrujących w obu kierunkach. Podziemia to raj dla kupujących i turystów.

Żegnając Montreal i naszych uprzejmych gospodarzy obiecaliśmy sobie jeszcze tam powrócić, bo tyle ciekawego zostało do zobaczenia, ale przede wszystkim dla tego nieznanego gdzie indziej na tym kontynencie „paryskiego nastroju i stylu życia”.



31 INHAKE I JEJ TROĆ

Przed nami rozpościerał się nieprawdopodobnie piękny krajobraz. Liczne zakręty rzeki Nottawasaga witały radosnym odbiciem różowego nieba, a za nimi stała mroczna ściana puszczy.

Podeszliśmy z Józkiem pod sam brzeg. Tyraliera okoni przecinała toń. Pędziły za wyskakującymi z wody uklejami. W tych miejscach rzeka zaczynała się gotować, pulsować, drgać i burzyć, jakby uderzał w nią niewidoczny grad.

Wyskakujące rybki niczym srebrne płomyki zatrzymywały się chwilę nad wodą i ginęły w paszczach wodnych otmętów.

Obserwowaliśmy razem ten wspaniały spektakl ontaryjskich okoni, który, jak twierdził Józek, stawał się coraz większą rzadkością na tutejszych wodach.

Brzegi rzeki porastały świerki i karłowate brzoźki, wspierające się splecionymi ramionami o kamienie. Nurt zielonymi plamami wypełniała lancetowata trzcina rozłożona na wodzie. Robiła wrażenie podciętych dywanów. Zakola wolne były od wodorostów i tam harcowały drapieżne garbusy.

Kiedy Józek zaproponował mi tę wyprawę na ryby na obrzeża Prowincjonalnego Parku Przyrody o nazwie Ear Rowe w Huroni, nie spodziewałem się tylu wrażeń tym bardziej, że jechaliśmy na tereny niedaleko Cookstown i Alliston- miasteczek zwanych stolicami ziemniaczanymi w Ontario. Czego, zatem można się było spodziewać, poza widokiem pól uprawnych, rowów i strumyków?

Na miejscu odniosłem inne wrażenie. Świeżo w pamięci miałem jeszcze oświetlone nocą dziewiętnastowieczne miasteczka, przez które przejeżdżaliśmy, a tu ta wspaniała przyroda!

Bagna, strumyki i rzeki przecinały resztki dawnych puszczy, a razem z kompleksem leśnym i Parkiem, Wasaga Beach stały się prawdziwą gratką dla miłośników przyrody, wodniaków, wędkarzy, a obrzeża puszczy także dla myśliwych.

Józek wychylił się zza świerka, by dojrzeć uciekający spławik, tak nie opacznie, że od razu wpadł po kolana do wody.

– Uważaj, do cholery, bo się utopisz! – krzyknąłem.

Nie obraził się na mnie. Trzymał na wędce czerwono-płetwego „garbusa”. Okonie atakowały tu każdą przynętę. Rozochoczone ściganiem ofiar bez opamiętania chwyciły błystkę, czy żywca.

– Prawdziwa gratka dla wędkarzy, prawda Józku!

Potwierdził. Byliśmy szczęśliwi, zauroczeni. Mamy już parę prawie kilogramowych drapieżników. Mniejsze wędrują z powrotem do wody z naszą prośbą, aby nie rozpowiadały, co zobaczyły na brzegu.

Powoli idziemy z prądem rzeki. Przed nami podwodne górki przerośnięte rdestnicą. Wydają się niewyczerpaną ostoją tych drapieżników. Rzucamy i rzucamy. Ostatnie mgiełki, zalegające szuwary, podnoszą się i giną. Wstające słońce zabarwia wszystko na pomarańczowo, woda staje się złocista, ale i ryby ostrożniejsze.

Nad rzeką przelatują dwa stadka krzyżówek.

– Stare kaczki z młodymi to nieodzowny znak szybko zbliżającej się jesieni – zauważył Józek.



...Pozuje nam do zdjęcia, jest szczęśliwa, uśmiechnięta, przyciska rybę jakby to był największy jej skarb. .



... Spotkałem tu ludzi o
niezwykłej gościnności i
przesadnej dobroci, w
tym wędkarza tropera,
Kanadyjczyka, Davida
Morrisa. ...



... wspaniałe połączenie obrzeży pierwotnej puszczy-XIX
wiecznych miasteczek i barwnych domów letniskowych. ...

Wreszcie siadamy. Mój przewodnik zna dobrze ten teren, łowił tu już. Kiedy ma wolny dzień przyjeżdża nad rzekę, bo jak twierdzi, to niedaleko.

Do Nottawasaga spływa wiele pomniejszych rzeczek i strumyków, przez wędkarzy romantycznie nazywanych: Młodzieżowe, Medalowe, Tęskne, Muszelkowe, itp. Wszystkie są wylęgarnią ryb i zapewniają atrakcyjność tych łowisk, jak również siedliskiem licznych gatunków ptaków wodnych, w tym kaczek.

– Wszystkich wędkarzy łączy tu jedno marzenie – sen o wielkiej rybie. Jest ono obsesją, pragnieniem, życiowym zadaniem ludzi z wędką łowiących w Kanadzie – twierdzi Józek. – A czy może być coś wspanialszego, większej frajdy dla oczu, uszu i zdrowia, niż wielokilometrowe wędrówki wzdłuż bagien i rzeki, traperskie pokonywanie przeszkód, licznych topielisk, trzciniowych dżungli, Docieranie do tajemniczych lusterek wody, w której na pewno jest wiele kanadyjskich szczupaków, muskonongów, basów, czy czerwono-płetwych garbusów?

Słońce weszło już nad lasem, zaczęło ostro świecić w oczy, przeszkadzało celnym rzutom błystki. Ryby też stały się leniwe, chodziły wprawdzie za blachą, ale były ostrożniejsze i nie brały.

Mój przewodnik wybrał dziesięć najwspanialszych okazów, ułożył na trawie i powiedział:

– Podziwiam!

Były one zupełnie inne od naszych okoni, matowo zielonych, z różowymi płetwami. Te tryskały barwami, lśniły w słońcu czerwienią, żółcią i zielenią ostrych kolorów.

Zdecydowaliśmy się pójść do stancji kajakowej, leżącej na skraju puszczy. Tam mieliśmy zjeść posiłek. Pomysł był

wspaniały, od razu go zaakceptowałem, tym bardziej, że już byłem głodny.

Za ostatnim zakrętem rzeki spotkaliśmy dwójkę wędkarzy. Jeden łowił daleko, w nurcie rzeki, stojąc po pas w wodzie, drugim była kobieta, młoda Indianka. Przed chwilą wyciągnęła wielką rybę.

Pozuje nam do zdjęcia, jest szczęśliwa, uśmiechnięta, przyciska rybę jakby to był największy jej skarb, wreszcie całuje w hakowaty pysk, odhacza z wędki i powoli układa w wodzie tak delikatnie, jakby to było małe dziecko. Ryba, machając płetwą ogonową, odpływa.

Józek mówi, że to pstrąg morski, albo trochę wędowna. Wskazuje na to ubarwienie ryby, żółtobrązowe i wygięta dolna szczeka. Tutaj złowiono już okazy metrowej długości.

Indianka chce nam się wyraźnie przypodobać. Mówi, że nazywa się Inhake. Prosi żebym zapisał jej nazwisko. Zapytała się czy będzie w gazecie.

– Jestem Irokezką – dodaje.

Wchodzimy na wystający nad wodę pień. Z góry wypatrzymy w nurcie dwie sylwetki wielkich ryb, zwróconymi łbami pod prąd. Czarne torpedy stoją pomiędzy konarami, tuż przy kamieniu.

Józek sięga po wędkę, ale Inhake mówi, że ryby te żerują o zmroku i nocą. Daje nam do zrozumienia, że złowienie takiej sztuki to nie lada wyczyn i szczęście. Jej zachowaniem jesteśmy rozbawieni. Pokazuje przynętę z koralików łososiowej ikry, my takiej nie mamy.

Żegnamy się z Inhaką. Prosi, aby przywieść jej gazetę ze zdjęciami.

Jesteśmy też szczęśliwi, siadamy przy termosach z kawą i gofrach, których Józek wziął pełną reklamówkę. Rozmawiamy jak zwykle o przyrodzie, rybach i ślicznej Inhake. Obiecujemy

sobie tu jeszcze powrócić i zapolować na wielkie, morskie pstrągi, a może i dlatego, żeby spotkać się z Indianką i przekazać ślicznej, czarnookiej Irokezce jej zdjęcie z rybą!



32. MIEDZIANE TORPEDY

Urzekła mnie niezwykła piękność rzeki Bobrowej. Czterodniowa włączęga jesienią 1998 roku nad jej wodami zapadła mi głęboko w duszy i wspomnieniach. Kolejne dwie wycieczki nad przyległe mokradła i zatokę Nottawasaga pogłębiły i przykuły moje serce do tej nieskazitelnie czystej pierwotnej przyrody.

Prowincja Grey znajduje się w zachodniej części Ontario. Była najwcześniej zaludnianym obszarem przez przybyszów z za morza.

Grey znaczy szary. Otóż nic bardziej mylnego! Bujne, dziewicze lasy jak magnes przyciągały pionierów.

Spośród wszystkich regionów południowych prowincji okoliczne tereny stanowią tu najwspanialsze połączenie obrzeży pierwotnej puszczy, mokradeł, rzek i jezior z wdziękiem XIX wiecznych miasteczek, barwnych domów letniskowych i prywatnych willi.

Spotkałem tu ludzi o niezwykłej gościnności i przesadnej dobroci, w tym wędkarza trapera Kanadyjczyka Davida Morrisa. Zaprzyjaźniłem się z nim, spędziłem kilka dni i nocy, wspólnych niezapomnianych wypraw wędkarskich niedaleko miasteczka Kimberly, powyżej specjalnej śluzy dla łososi tęczowych i na ujściu rzeki Bobrowej do jeziora.

W południowym Ontario brzegi jezior i rzek w dostępnych miejscach zabudowano pałacami i restauracjami w różnych stylach. Są one świadectwem zamożności ich właścicieli. Niektóre z nich, ogrodzone kamiennymi płotami wkomponowanymi w krajobraz puszczy lub skał czy wody, robią niepowtarzalne wrażenie.

Niespodziewanie szybko czarna noc nadchodziła z głębi lasu. Jeszcze niedawno nad brzegiem rzeki było jasno jak w dzień, aż tu naraz w oczach krajobraz zaczął się rozpląwać, rzekę nakrywała zasłona mgieł, a plusk wody stawał się bardziej głośniejszy. Był to wyraźny sygnał do odwrotu.

Już po raz drugi miałem skorzystać z opuszczonego, kampu, który stał obok mocarnej jodły, a ona jak gdyby osłaniała go rozłożonymi ramionami. Ten drewniany domek służył kiedyś chyba malarzowi zakochanemu w tutejszym krajobrazie. A że nie żałował on farb i pędzli, ściany w nim były pomalowane dziełami indiańskiej sztuki.

Zewnątrz przeważały barwy żółci i zieleni, a we wnętrzu gorącej czerwieni. Wokoło obłożono go sążniami drewna do palenia w piecu.

Czytałem nie tak dawno w torontońskiej gazecie, że niedaleko stąd, nad jeziorem Reiner, mieszkał z rodziną i tworzył w podobnym kampie znany kanadyjski malarz Gelineau Fisher.

Noc zapadła głęboka i czarna, gdy kończyliśmy z Davidem układanie łupek świerkowych na posadzce leśnego domku. Wnętrze wypełniał ostry zapach igliwia, który nas odurzał i usypiał. Jednak usiedliśmy na zewnątrz przy ognisku, w kręgu przyjemnego ciepła, które blaskiem oświetlało nasz biwak..

Siedząc na pniaku bacznie przyglądałem się Davidowi, wcześniej nad rzeką jego wędkarskim wyczynom, i usiłowałem zrozumieć jego postępowanie. Złowione przy sobie ryby wypuszczał do rzeki, teraz jednak, przy ognisku zrobił mi wielką niespodziankę. Ze swej skórzanej torby wyciągnął okazałą sztukę

o miedzianym kolorze, a raczej przygotowany wcześniej filet gotowy do pieczenia, a później jeszcze mniejszą rybę. Moją polyskującą miedzią i mosiądzem trochę powiesiłem pod okapem domku, aby obeschła.

David obie swoje ryby natarł wcześniej przyniesionym zielskim, podobnym do pokrzyw, silnie pachnącym anyżkiem, posolił, zabarwił papryką i zawinał szczelnie w aluminiowe folie, potem zagrzebał w gorącym żarze ogniska.

Kiedy wyciągaliśmy upieczone trocie, w kręgu blasku ognia, nad naszym biwakiem ukazały się pierwsze płatki śniegu. Po paru minutach sypnęło jak z rękawa. Resztę smacznej ryby zjedliśmy już we wnętrzu naszego leśnego domku.

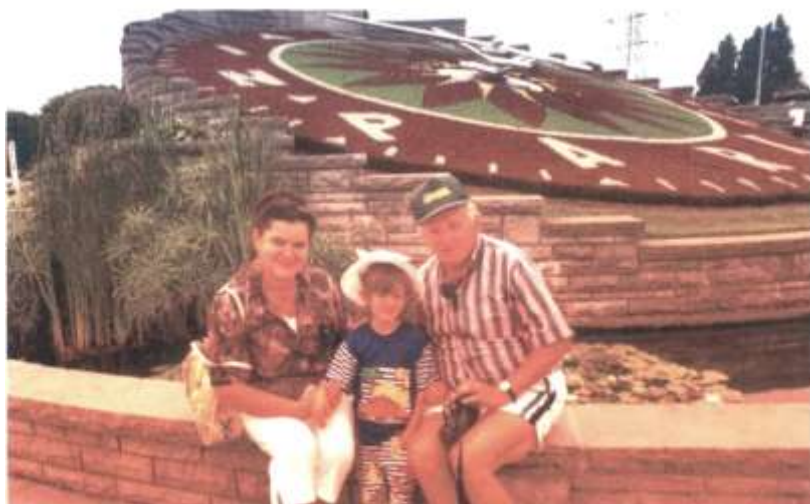
Ogień z ogniska buchał wysoko w niebo, wprawiał w wir padające lodowe płatki, bo i kloce paliły się jak żywe pochodnie.

Kanadyjczyk w nocy rozmawiał chyba z sobą, a może się modlił. Zmęczony szybko wtuliłem się w śpiwór.

Kilka razy potworny hałas na zewnątrz budził mnie, ale skoro David nie reagował, to udawałem, że śpię. Drzwi były zaryglowane. Naraz ktoś zaczął walić w ścianę, przewracał drzewo, wołałem tego nie słuchać, bardziej ukryłem głowę w śpiworze i usnąłem.

Wczesnym rankiem obudziło mnie turkotanie wieczka aluminiowego czajnika. Szybko wskoczyłem w zimne, wilgotne ciuchy i wyszedłem na zewnątrz.

David, zadowolony, siedział już przy rozpalonym od nowa ognisku, wskazując ręką pod okap naszego domku. Teraz dopiero spostrzegłem okropny bałagan, porozrzucane kloce, porozrywany na strzepy stary koc, którym wczorajszego dnia okrywaliśmy zmarznięte nogi. Kanadyjczyk stwierdził, że to wszystko dzięki mojej rybie, której oczywiście teraz nie było. Ślady na resztkach śniegu świadczyły o wizycie wilczej watahy, albo szopów pracy. Było jednak za ciemno, aby to ocenić.



...Łagodny klimat sprzyja turystyce.



do fortecy prowadzi zwodzony most, stoją stare armaty i sprzęt pozostawiony przez amerykańców i Brytyjczyków.



...Polskim akcentem w Midland jest kamienna bryła Pani Jasnogórskiej z Częstochowy. ...



...Swoje sanktuaria mają tu, Indianie, Francuzi, Portugalczycy, Filipińczycy, Słowacy, Ukraińcy, Włosi i Polacy. ...



... W czasie drugiej swojej wyprawy, w roku 1616, spotkał tu niezmiernie przyjaznych Indian. ...



...Kamienne posągi, pomniki
pierwszych Indian, wielki
cmentarz ...



Robiło się coraz jaśniej, a do rzeki mieliśmy spory kawałek drogi. Ruszyliśmy. Mróz szczypał i chłostał policzki, nad wodą nawet najmniejszy powiew nie drgnął gałązkami świerków. David znał dobrze rzekę. Ustawił mnie przed jej zakolem, sam zaś powędrował dalej.

Na spinning założyłem „mepsa 3” z akustycznym ciężarkiem, choć zestaw błystek miałem bogaty: Algi, Gnomy, Cyklopy i wahadłówki. Tę jednak wybrał David i bardzo gorąco zachwalał.

Wiedziałem, że trocie płyną w górę rzeki i że w miarę wzrostu oświetlenia chowają się w coraz głębszych rowach, wśród podwodnych traw, gałęzi zwisających nad wodą.

Po drugim rzucie pomimo mrozu krew w żyłach zaczęła krążyć mi szybciej. Rozpoznałem uderzenie wielkiej ryby. Błystkę rzuciłem daleko, prowadziłem wolno, pod prąd, przy samym dnie. Wskazówki Dawida okazały się skuteczne, ale miałem też wiele tępych zaczepów i nie wszystkie kończyły się atakiem ryby.

Mam dużą rybę, zaciąłem natychmiast. Zahaczony drapieżnik gwałtownie rzucił się do panicznej ucieczki, najpierw w górę, a później w dół rzeki. Ryba gwałtownie ciągnęła próbując wpłynąć pomiędzy pnie podciętych przez bobry drzew. Wyskakiwała z wody, trzęsła łbem, trzęsła błystką.

Całą siłą usiłowałem skierować ją w otwartą strefę wody. Z czasem osłabła, a kiedy holowałem ją do brzegu położyła się na wodzie i szybko wachlowała skrzelami.

Byłem szczęśliwy. Ryba koloru miedzi i mosiądzu przypominała torpedę, która się zanurzała i znów wypływała pod powierzchnię połyskując złotym kolorem.

Różowe blaski wstającego słońca zaczęły się ześlizgiwać po ośnieżonych szczytach świerków nad Bobrową rzeką, a przy-

mrożone ręce niemal zeszywniały, kiedy kończyliśmy tę udaną wyprawę.

Później jeszcze z nadrzecznej skały oglądałem z Davidem jak miedziane torpedy stały w nurcie rzeki, lekceważąc sobie wszystkie blachy i przynęty.

Śnieg znów zaczął gęsto padać!



33. NAD RZEKĄ PINĄ

Z Robertem na ognisku smażyliśmy sporego łososia. Ryby tego ranka nie brały zupełnie.

Mała rzeczka Pine, dopływ Nottawasagi, wydawała się być martwą, choć jeszcze zanim nastał dzień na jej zwężeniu Robert złowił tego wielkiego Salmona, jak go nazwał.

Tymczasem blade słońce podniosło się już wysoko nad leżące na horyzoncie lasy Wassaga Bach i zaczęło oświetlać bagnisko przed nimi, skąd dochodziły głośnie kwakania kaczek i pojedyncze wystrzały.

– Polują na kaczki – powiedział mój przyjaciel.

Jakby na potwierdzenie jego słów po kilku wystrzałach stadko krzyżówek przeleciało nad naszym ogniskiem bardzo nisko, a dalej wzdłuż koryta rzeki, aż znikło za zakrętem.

Teraz przez kratę gałęzi na przyległym mokradle widać było mieniące się brzaskiem oczko wodne. To właśnie zza niego, strzelano do kaczek.

Długie nawoływania psów mieszały się z głośnym kwakaniem.

– Mamy gości – powiedział Robert.

Naraz rozległo się głośnie ujadanie psa i potworny furkot skrzydeł. Nad naszymi głowami przelatywały dzikie gęsi, bernikle kanadyjskie. Szybko chwyciłem aparat i z rzutu, jak do pędzącego dzika, chwyciłem kolejne cele i przyciskałem spust mi-gawki, bez mierzenia i opamiętania.

Zdjęć zrobiłem kilka, choć teraz dopiero uświadamiałem sobie, że wiele z nich będzie nieudanych ze względu na bliską odległość ptaków.

Inne stadko gęsi, niezrażone trwającą kanonadą, wyszło z wody na pobliską skarpe i z niedowierzaniem przyglądało się tym popisom psów i myśliwych, dziwiąc się za pewnie, że ktoś śmie zakłócać ich odwieczny spokój.

Do ogniska przybiegł wyżeł, obwąchał nas, uważnie przyjrzał się temu, co my tu robimy, wziął do pyska pół bochenka naszego chleba i położył się na moim plecaku obok ognia. Tam było mu ciepło i na pewno wygodnie.

Prosiłem Dżeka, aby oddał choć część chleba, on jednak nie reagował.

Niezauważony, ukryty pod kombinezonem, w kamuflażu płataniny wodnej roślinności, stanął przed nami myśliwy ze strzelbą wysoko uniesioną w górę. Myślę, że w ten sposób chciał wzbudzić w nas zaufanie.

– Amerykanin – pod nosem wyszeptał Robert.

Do pasa miał przytroczonego kaczora i robił wrażenie całkiem, całkiem, w odróżnieniu od jego psa. Podszedł jeszcze bliżej, pozdrowił nas i przeprosił.

– Słyszałem polską mowę, czy jesteście Polakami? – zapytał.

Robert odruchowo zaprzeczył, szybko jednak wyjaśnił, że jego rodzice są Polakami, on sam urodził się we Włoszech, a teraz mieszka w Kitchiner.

Oczom i uszom nie wierzyłem, że ten ponad siedemdziesięcioletni facet mówi tak świetnie po polsku.

– Widzę, że ten mój mundur się panom podoba – zagaił rozmowę. Rzeczywiście jest wygodny i ciepły, doskonale kamufluje w czasie polowania na ptactwo. Kurtka jednak kosztuje 259 dolarów, spodnie 159, a jeszcze buty traperskie, nieprzemakalne i akcesoria – to spory wydatek. Ale nie rozmawiajmy o tym! Nazywam się Wojtek

Izdebski, mieszkam w małym miasteczku, osiemdziesiąt kilometrów stąd, w Niagara on the Lake. Przepraszam za zachowanie mojego przyjaciela.

Dżek jakby to zrozumiał, bo pomerdał ogonem i oczami dał znać, że jego pan postępuje uczciwie nas przepraszając.

Robert już się przedstawił. – Przyjechałem z Polski i jestem tu u przyjaciół – powiedziałem, dodając, że wolny czas dzielę pomiędzy wyprawy na ryby, fotografowanie i myślistwo.

Wojtek uśmiechnął się, jakby trochę zastanawiał, wreszcie zadowolony odpowiedział:

Przyniosę parę konserw i hamburgery, bo ta ryba wam chyba nie wystarczy i będziecie głodni. Mam trochę czasu. Kolega, Szkot, u którego poluję na kaczki, poszedł po swojego psa, bo nie mógł sięgnąć postrzałka, a Dżek nie znalazł. Znam wielu ziomków, którzy tu, do Kanady przyjeżdżają i harują od świtu do nocy, kupują dzinsy i kartonami wysyłają do kraju, a pan łowi ryby. Żartując wyjaśniłem, że to Robert złowił rybę.

Tak nawiązała się więź pomiędzy mną a panem Wojtkiem. Mieliliśmy wiele wspólnych tematów do opowiadania. Lubił też łowić ryby, był ciekawy polskiego łowiectwa, czytał prasę przyrodniczo-łowiecką przysyłąną z kraju.

Nasze rozstanie zakończyło się na zaproszeniu mnie do jego domu w Niagara on the Lake gdzie, jak powiedział, pokaże mi Grzmiące Wodospady, czyli Niagarę.

34. GRZMIĄCE WODOSPADY

Niemal zawsze, kiedy zdarzała mi się okazja zwiedzenia wodospadów Niagary czułem niepokój, jakieś wewnętrzne podniecenie. Dziś wiem, że było ono udziałem wszystkich ludzi, którzy wybierają się nad ten fenomen natury.

Wodospady leżą na obrzeżu olbrzymiej wyspy, otoczonej jeziorem Erie, rzeką Niagarą, oddzielającą Kanadę od Stanu Nowy Jork, jeziorem Ontario i kanałem odcinającym je bezpośrednio, a łączącym obydwie wielkie jeziora. Na wyspie poukładano wszystkie elementy architektury, wkomponowując je w krajobraz głębokiego kanionu rzeki. Architekci robili istne cuda, aby zabudowa Niagary była godna uwagi i robiła iście amerykańskie wrażenie.

Z kilku ażurowych mostów, wiszących nad kanionami, jeden łączący przez Niagarę miasto Buffalo z Fortem Erie, jest dziełem Polaka – Gzowskiego.

Drogi są wspaniałe, miasteczka to istne cacka XIX - wiecznej architektury, stale upiększane i odnawiane. Łagodny klimat sprzyja turystyce, dlatego o przeżywaniu w samotności tego piękna i chłonięciu wrażeń w spokoju, nie może tu być mowy.

Zaproszony przez Wojtka do Niagara on de Lake spodziewałem się zobaczyć miasteczko jak dziesiątki innych w Kanadzie, byłem jednak mile zaskoczony. Położone nad jeziorem Ontario, u ujścia rzeki Niagara, jest chyba najładniejszym z wielu, które widziałem dotychczas. Stoją tu dobrze zachowane domy z ubiegłego wieku. Kiedyś nosiło nazwę Newark i było stolicą Górnej Kanady. Główna ulica Queen Street robi wrażenie dostatku i elegancji, a stare sklepiki, restauracje i hoteliki przyciągają wzrok przybyszów.

Powiedziałem Wojtkowi, że bardzo podoba mi się jego miasto. Odpowiedział, że on po raz pierwszy zobaczył je na pocztówkach w Montrealu, gdzie okrętem przyplłynął z Europy w 1947 roku.

– Opowiedziano nam wówczas – wspominał – że jeszcze w 1917 roku Polonia Kanadyjska zorganizowała w nim obóz rekrutacyjny Armii Polskiej, w którym wyszkolono 22 tysiące żołnierzy. Tu też przyjeżdżał z Toronto inż. Aleksander Małkowski, twórca polskiego harcerstwa i skautingu, do którego ja na Pomorzu należałem. Bez zastanowienia i wahania wybrałem to miasteczko na nowe miejsce zamieszkania. Jak zauważyłeś zegar na wieży w rynku poświęcony jest ofiarom pierwszej wojny światowej, w tym i żołnierzom polskim.

Wojtek mieszkał w zielonej dzielnicy, nieopodal Fortu George, prawie przy skarpie granicznej rzeki, za którą było miasteczko Village of Youngstown w Stanie Nowy Jork.

W jego domu pełno jest zabytków, książek, map, zdjęć, dyplomów i odznaczeń, a w pokoiku myśliwskim trofeów z polowań na północy.

Dwie moje córki – mówił – ukończyły studia i pozostały w Montrealu, a mnie zostawiły samego. Dobrze, że gospodyni opiekuje się domem i psem, dzięki temu mogę bez obawy posiedzieć wiele dni w lesie. Skoro mnie odwiedziłeś, to proponuję ci wspól-

ny wypad nad Niagarę, choć teraz we wrześnie spodziewam się tam tłoku. Myślę też, że pojedziemy do Fortu Erie!

Z propozycji Wojtka bardzo się ucieszyłem.

Przygotuj te swoje kamery – dodał – bo ja mam niezły aparat, tylko te żółtki knocą w tych swoich minilabach, robią szybko i bele jak.

Jechaliśmy Toyotą drogą wzdłuż rzeki, wśród winnic i ogrodów w miarę zbliżania się do wodospadu płynącej w głębo- kich, wapiennych przepaściach. Tak jak Wojtek przewidział, obok kamiennego parkanu nad wodospadem stały setki osób, rządnych wrażeń i trudno było zza nich zobaczyć Niagarę w jej całej krasie. Jedyne wysoko w niebo zataczała wielki łuk barwna tęcza, która łączyła oba przeciwległe brzegi, a raczej oba wodo- spady - ten amerykański i ten kanadyjski.

Sam wodospad tonął w unoszących się oparach, które wydobywały się jak z gotującego kotła, przecinały tęczę i ginęły w błękitnym niebie.

– Jak sam widzisz, lepiej kupić gotową pocztówkę z wodo- spadem niż samemu go fotografować – zauważył mój przewodnik.

Brak miejsc na parkingach spowodował, że dość szybko pojechaliśmy dalej nad południowe ujście rzeki, do Fortu Erie. Obok, za mostem, wznosi się duże miasto amerykańskie Buffalo.

Fort jest odrestaurowany. W 1813 roku został spalony przez Amerykanów, dziś po pożarze nie ma śladu. Do fortecy prowadzi zwodzony most, stoją też tu stare armaty i sprzęt pozostawiony przez Amerykanów i Brytyjczyków.

Pomimo, że twierdza jest stara to tętni życiem wojskowej musztry żołnierzy ubranych w stare stroje i rządnych wrażeń gapiów i turystów.

Spodziewałem się zrobić o wiele lepsze zdjęcia wodospadu i kupić jakiś folder – myślałem w drodze powrotnej.

Wojtek to zauważył, położył rękę na moim ramieniu i powiedział.

– Nie martw się, informacje o Niagarze uzupełnię ci w domu. Po drodze jeszcze zwiedzimy ogród zwany Queen Victoria Park i zegar kwiatowy ponad 12 - metrowej wielkości, zrobiony z 20 tysięcy kwiatów.

Tego wieczoru świecznik z jelenich rogów długo palił się w myśliwskim pokoiku Wojtka, on zaś z wielkim wdziękiem gałędził o wodospadzie.

Siedzieliśmy do późna w nocy przy herbacie i opowieściach Wojtka, które znał od przyjaciela z północy, trapera, szamana z plemienia Czipewejów, nazywanego tam Orlim Szponem.

Uważnie słuchałem, a on mówił:

Sama natura dała Indianom Mississauga ten wspaniały zakątek ziemi, gdzie w gorącym klimacie, wśród wapiennych skał rosły gęste lasy. Wśród nich przelewały się przez liczne progi kręte bystrzynie i rzeczki. Wypływały z mokradeł nad jeziorem Erie, pełnych dzikich indyków i gęsi bernikli, bobrów, niedźwiedzi i spadały do Wielkiej Wody, co oznaczało w języku Indian Ontario. Ta wspaniała rzeka wypływała z Wielkich Jezior, do których wpadają setki północnych rzek i strumieni, niosąc ze sobą ponad 6000 metrów sześciennych wody w ciągu jednej sekundy. Natrafiła tu na olbrzymie progi skalne, rozdzielone wyspą. Indianie nazwali je Wodospadami Grzmiącymi, huczącymi jak potężna burza, a ich ogrom, moc i wdzięk zawarli w jednym słowie - Niagara. Zburzone po horyzont wody spadają tu z wysokości 49 m, z szerokiej na 800 metrów skały na wschodniej stronie wyspy. Po przeciwległej ma ona szerokość ponad 300 m. Towarzyszy temu unosząca się gęsta para i mgła, załamująca w swych kropelkach miliardy iskier światła i jak błyszczące brylanciki osiadająca w mroźnym powietrzu na nadrzecznych igłach sosen. Latem tworzy się wielobarwny łuk tęczy, łączący oba brzegi rzeki.

To zjawisko fascynuje i zadziwia turystów o każdej porze roku i dnia, przysparza coraz innych doznań i wzruszeń, budzi podziw i zachwyt. Tak się dzieje od niepamiętnych czasów.

Kiedys irokeskim szamanom Niagara dawała boską moc, a wzburzone wody leczyły wszystkie choroby skóry, a zwłaszcza przywleczoną przez białych osadników czarną ospę. Wzmacniały wzrok, dawały siły do pokonania potężnego niedźwiedzia.

Kiedy pierwsi biali osadnicy przywędrowali tu około roku 1770, byli tym wspaniałym zjawiskiem natury zachwyceni, oczarowani. Niagarę zaliczyli do „siedmiu cudów świata”.

Obecnie wodospad stał się największą atrakcją, którą każdy musi obowiązkowo zobaczyć. Przemysł turystyczny rozwinął się tu do granic absurdu i śmieszności. Każdy dom, wieże, drzewa, opleciono pajęczyną kolorowych lampionów, drgających reklam. Po skwerkach i klombach w Niagara Falls chodzą świetlne postacie z bajek i filmów z „Dzikiego Zachodu”.

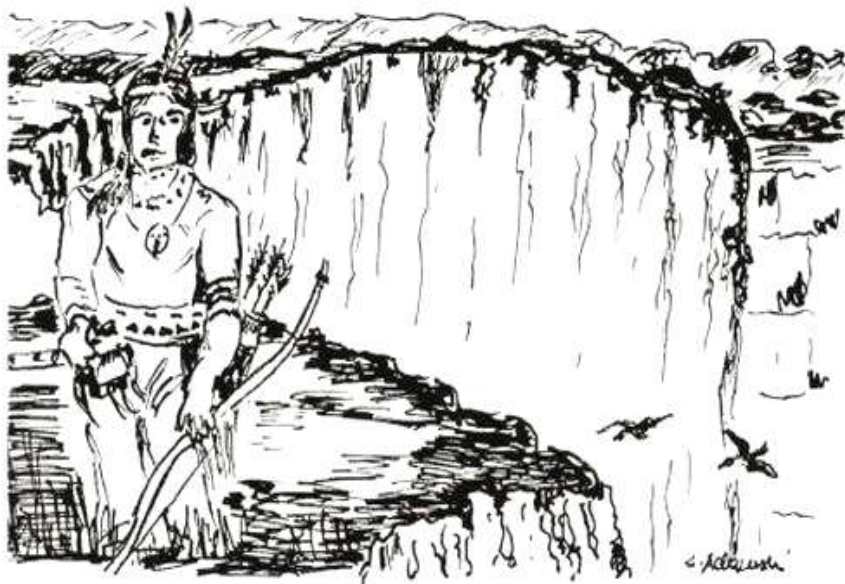
O zmierzchu warto jeszcze raz pójść na promenadę wodospadu, kiedy Niagara mieni się orgią barw. Spadające warkocze wody są różnokolorowe, a przytłumione przez mgiełkę zamieniają się w wielki obraz, wspaniały pulsującym życiem pejzaż, którego nie można zatrzymać na fotografii, czy uwiecznić pędzlem.

Oba kraje wiele pieniędzy przeznaczają na ratowanie wodospadu przed naturalnym niszczeniem. Wprawdzie górne jego warstwy zbudowane są z twardych skał dolomitowych, pod nimi jednak jest wapień, glina i piaskowiec, które woda ciągle wypłukuje. W ten sposób łamią się nawisy skalne. Spadając w dół, cofają progi wodospadu w stronę jeziora Erie.

Ponad siedemdziesiąt lat temu oderwała się olbrzymia, osiemdziesięciometrowa skała o ciężarze prawie stu tysięcy ton i runęła w dół, obniżając o dwanaście metrów wysokość wodospadu. Również w 1994 oddzielił się głaz o wymiarach 100 na 40 metrów i też runął w dół.

Legenda Indian Massassuga, po których tutaj pozostały tylko nazwy miejscowości, mówi, że ten sam los, który im biali zgotowali, czeka Grzmiącą Wodę.

Czyżby te przepowiednie miały się wkrótce spełnić?



35. OSADA INDIAN WENDAT

W moim notatniku w niedzielę, 12 lipca 1998 roku zapisałem: „Płyniemy do osady Indian w Huronii”.

Nadchodził bezwietrzny, słoneczny poranek. Nasza motorówka właśnie minęła skalistą Wysepkę Węży i kierowała się na jezioro Midland. Woda w nim tego ranka zastygła w bezruchu. Nastąpiła zupełna cisza, tylko do naszych uszu dochodził szum wirującej śruby wkręcającej się w przezroczystą toń. Nad głowami niziutko wisiało niebo, może o połowę bliżej niż nasze, polskie, takie przynajmniej miałem wrażenie. Do brzegów było daleko, rysowały się na horyzoncie zaledwie cieniutką nitką.

Na samym środku jeziora usłyszeliśmy najpierw niewyraźne, potem powtarzające się echem dudnienie dzwonów kościoła stacji misyjnej Sainte Marie. Przypominał mi ten dźwięk podobną muzykę dzwonów płynącą po tafli jeziora Wigry, kiedy z odległego klasztoru kamedułów uderzał o ściany wysokiego lasu Puszczy Augustowskiej i wzmocnionym echem zatykał oddech w piersiach kajakowców. Było to wprawdzie bardzo dawno, bo tuż po wojnie, ale chwila była podobna, tak doniosła, wspaniała.

Zrobiło się cicho, kiedy wpłynęliśmy w szeroką gardziel rzeki Wey. Jej brzegi porastały wysokie drzewa, tworzyły półmrok, który gęstniał w miarę oddalania się od jeziora. Napotkaliśmy dwa canoe i wędkarzy. Płynęliśmy wolno, spokojnie, aby nie mącić ciszy. Naraz po obu stronach naszej motorówki zaczęły wypływać jakieś olbrzymie ryby, zachowywały się tak jak delfiny

towarzyszące statkom. Trudno je było rozpoznać. Każda z nich ważyła po parę kilogramów.

Przypominały karpie lub bassy. Byliśmy zdziwieni, bo pod pływały tak blisko, że można je było wyjąć podbierakiem. Bawiły się z nami w chowanego.

Zapytaliśmy przepływającego Kanadyjczyka co to za ryby. Odpowiedział krótko: - Walleye, okonie bielmowate. Mój przewodnik, Kintpuash, miał jednak wątpliwości.

Wylądowaliśmy przy moście drogi numer 12, łączącej Coldwater z Midland. Od razu wyciągnąłem dwa spinningi - jeden z woblerem, drugi z akustyczną wirówką, bo chciałem z bliska zobaczyć te wścibskie ryby.

Okazało się to jednak nie takie proste. Biczowałem wodę w różnych kierunkach. Rzucałem przynętę pod same ich pyski, ale one miały ją za nic.

Po trzydziestu minutach dałem za wygraną. Ręka mnie bolała, a ja dalej nie rozpoznałem gatunku. Myślę, że były to jakieś łososiowate, śmiałe, syte, duże osobniki, które bawiły się ze mną w ciuciubabkę.

Przed południem stanęliśmy pod wysokim ostrokołem, odgradzającym osadę Indian Huronów.

Odtworzono ją tak pieczołowicie, aby wglądała tak samo jak ją zobaczył pierwszy raz Samuel de Champlain, Francuz, katolik, wielki twórca imperium francuskiego na tej ziemi, często zwany Ojcem Kanady. Miał instynkt kartografa, antropologa i wnikliwego obserwatora. W czasie drugiej swojej wyprawy, w 1616 roku, spotkał tu niezmiernie przyjaznych Indian Wendat z wielkiej rodziny Huronów, ubranych w futra z bobrów, szopów.

Zamieszkiwali bagienne tereny nad jeziorem i rzeką, łowili ryby, polowali na niedźwiedzie i jelenie, budowali ziemianki, wigwamy i tipi oraz duże largas – domy o łukowatych sklepieniach, pokrytych brzoźową korą. Uprawiali kukurydzę, słoneczniki, dynie, dla celów rytualnych tytoń.

Wyprawa Champlaina okazała się korzystna dla obu stron. Załadowano statek skórami bobrów, szopów i niedźwiedzi, płacąc za nie toporami, nożami, garnkami, kocami i odzieżą. Transakcja ta załodze statku przyniosła fortunę, Indianie Wendat oniemieli ze szczęścia. Pierwszy raz w życiu w rękach mieli metalowe igły, haczyki na ryby, a panie założyły na szyje przezroczyście korale ze szkła.

Zachęcenii gościnnością Indian francuscy jezuici w 1639 roku wybudowali tu stację misyjną Sainte Maria. Rozpoczęli nawracanie na wiarę katolicką.

Jednak na nieszczęście nie było trzeba długo czekać. Biali sprowadzili do Kanady europejskie choroby. Dziesiątkowały one nieodpornych czerwonoskórych. Ponadto zazdrość sąsiadów, wojowniczych Irokezów - przeciwników bratania się z Francuzami i ciągle ich napady, spowodowały, że Indianie Wendat i francuscy mnisi w roku 1648 spalili własną misję. Również osadę zniszczono, a Indianie przenieśli się do Quebecu oraz na wyspy zagubione na Wielkich Jeziorach.

Tych czasów, niestety, nie doczekał Champlain. Ostatnie dwa lata spędził wśród miejscowych Indian i wdał się w wojnę z Irokezami.

Dzisiejsi Indianie potrzebują wiele pieniędzy na odbudowę swej pierwotnej osady. Są zatem bardzo uprzejmi, zwłaszcza kiedy zobaczą w ręku zielone papierki.

Bobrowych skórek już nie sprzedają, tylko foldery i souveniry.

Z istic amerykańskim rozmachem prowadzi się tu wykopaliska, a osadę odwzorowano tak jak wyglądała w pierwszych latach po jej odkryciu przez Francuzów.

Po wykupieniu biletów weszliśmy za bramę zewnętrznej palisady, zbudowanej w kształcie wielkiego prostokąta, wtłoczonego w półwysep i rzekę. Tereny za płotem stanowią tylko otulinę dla wielkiej osady. Tutaj znajdują się pastwiska dla bydła

i koni, cmentarz, stoi parę wigwamów i tipi, pasterski szałas, a całość zamyka rozległy dom odwiedzin Huronów i jezuitów, są pola uprawne kukurydzy, słonecznika, tytoniu i bliżej nieznanych krzewów, z których sok służył do konserwacji mięsa, stojaki i koła do suszenia skór, większe niedźwiedzi, mniejsze bobrów, szopów i wiewiórek.

Dopiero za drugą palisadą wybudowano wielkie largas, dużo wigwamów pokrytych brzoźową korą, w środku wysłanych świerkowymi gałązkami, teraz służących do modlitwy i rytualnych obrzędów.

Stoi też tu kilka drewnianych domów podobnych do naszych góralskich chałup spod Limanowej, dalej mniejsze largas, suszarnie skór, kopyt. Dziś można by je nazwać warsztatami rękodzielniczymi. Wiszą tam koszule ze skór, rakiety śnieżne, strzały, łuki, pęcherze na napoje i rum, łyżki i chochle z drzewa oraz z żółwi.

Na zewnątrz widać dużo kamiennych kręgów na ogniska, pnie do bielienia skór, latrynę z dachem, ale pod gołym niebem. Chaty kryte są korą, pod okapami poustawiano grabie, beczki i obrzyny.

W remontowanym canoe stare skóry poszycia łodzi wymienia na nowe puszysta Indianka. Lepi je żywicą. Uśmiecha się do mnie, gdy przy jednej z nich pozuje do zdjęcia.

Dalej jest kuźnia i drewniany kościółek z pięknie zdobionym białym ołtarzykiem.

Wszędzie kręciło się tu wiele Indian. Szczególnie bacznie przyglądał mi się jeden z nich, ubrany w skórzane spodnie i białą koszulę. Chyba denerwuje go mój aparat i fotografowanie.

Dotychczas rąbał drzewo wielkim tasakiem. Chciałem go mieć na zdjęciu. Odwracał się ciągle, aż z całą siłą wbił swój wielki topór w pień, a w jego ręku błysnął nóż.

Aparat natychmiast odłożyłem. Wlepił we mnie czarne, wielkie oczy, a jego kobieca twarz się zaczerwieniła. Instynkt podpowiadał mi żebym uważał.

Chyba się zrozumieliśmy. Dałem mu spokój. Nawet ofiarowałem te dziesięć dolców za te zdjęcia, ale już się jego bałem.

Wszędzie panował prymityw, choć biali wybudowali przed osadą centrum informacji reklamujące kulturę i obyczaje czerwonoskórych. Przysparza ono Indianom sporą kasę i możliwości egzystencji, szczególnie przeżycia ciężkiej zimy, kiedy tu nikt nie zagłada.

Myślę, że wówczas wracają oni do swoich tradycyjnych zajęć: łapania bobrów, wyprawiania skór, szycia koszul delikatnych jak puch, a drogich jak szlachetny kruszec. Zimą próbują swoje nowe skidu. Po zasypanych śniegiem i zamarzniętych mokradłach z łatwością doganiają wirginijskie jelenie.

Z białymi się kontaktują tylko wtedy, kiedy potrzebują benzynę do swych szalejących maszyn.

Na ogół są małomówni, nie przepadają za towarzystwem, jednak chcą mieć wszystko, czym biali dysponują, włącznie z mocnymi trunkami.

36. MIDLAND - POLSKA CZĘSTOCHOWA

Kolejnym, 26. gubernatorem Kanady została kobieta. Nazywała się Adrienne Clarkson. Jej rodzice byli Chińczykami z Hong Kongu. Przyjechali tu w roku 1942 jako uchodźcy. Pani gubernator wcale nie ukrywała tego faktu, jednak najbardziej interesujące stały się jej poglądy na społeczeństwo kanadyjskie, które, jak sama mówi, poznała od samego wnętrza.

– W swej mowie „tronowej” powiedziała między innymi:
„Wydaje się, że istnieją dwa rodzaje społeczeństwa w dzisiejszym świecie i być może, że były zawsze – społeczeństwo karzące i społeczeństwo wybaczące.

Istniejące społeczeństwo kanadyjskie, ze swą czterowiekową tradycją kompromisu i akceptacji, jest społeczeństwem wybaczącym. Chcemy zapomnieć o tym, co należy do przeszłości, bo pracujemy na konto przyszłości. Ułatwiamy ludziom dobrze się traktować, budować od początku społeczeństwo nadziei i miłości”.

Wypowiadając się o „geniuszu kanadyjskiej cywilizacji” madame Clarkson, mówiła o podstawach społecznych Kanady, z których najważniejszą jest zasada włączania, przygarniania wszystkich do kanadyjskiej mieszanki na równych prawach i z równymi szansami w życiu.

Te wzniosłe zasady jak w soczewce skupiają się w jednym miejscu Kanady - uświęconym krwią, męczeństwem i boha-

terstwem Sanktuarium Maryjnym w Midland. To ciągle wybaczenie, ta wrodzona na tym kontynencie przyjaźń pomiędzy ludźmi trwa i jest pielęgnowana stale, tak jak wrodzony jest tu jakiś mityczny stosunek do przyrody i poszanowania jej dla przyszłych pokoleń.

Nam, Europejczykom, trudno jest to zrozumieć, bo byliśmy na tej ziemi zaczątkiem wielkiego niepokoju, kolonizując te ziemie. Wówczas to powiedział jeden niewykształcony Indianin do wykształconego Europejczyka.

„Dalej jesteś od siebie samego, niż jastrzęb od księżycy”. Tak prości Indianie traktowali postępowanie białych osadników przed czterystu laty, przy tym starając się ich nie obrażać i wybaczać, co powtórzyła i głosiła pani gubernator.

Niemal na krańcach wielkiego, słodkiego morza, wśród trzydziestu tysięcy wysp, żyli spokojnie Huronowie, Algonquinowie, a za rzeką Św. Wawrzyńca - Irokezi. Ci ostatni, a szczególnie wielki szczep Mohikanów, cechowali się nieposkromioną wojowniczością. Życie ludzkie nie miało dla nich żadnego znaczenia. Byli specjalistami od zadawania wymyślnych tortur, zdejmowania jeńcom skalpów.

Z czasem stali się przyjaciółmi Anglików i Holendrów, a kiedy szczepy Huronów i Algonquinów zaprzyjaźniły się z Francuzami, z którymi prowadzili dochodowe interesy handlując futrami, nastąpiła krwawa rywalizacja o tereny łowieckie.

W tym też czasie wielki twórca imperium francuskiego na terytorium Kanady, Samuel de Champlain, nieopatrznie, wraz z Huronami i Algonquinami, wdał się w wojnę z Irokezami. Spowodowało to, że wysiłki chrystianizacji Indian i budowa misji katolickich w puszczech przez francuskich jezuitów, legły w gruzach.

Irokezi spalili wiele misji, także tą nad jeziorem Georgian Bay, założoną w 1625 roku jako Sainte Marie. Dla Huroków stała się bastionem, twierdzą, bronioną przez nich i jezuickich misjonarzy.

Nierówna walka i obrona Maryjnego Sanktuarium trwała ponad dziesięć lat, a na miejscu misji w 1650 roku pozostała tylko sterta kamieni, wielki cmentarz i ziemia stwardniała od przełanej krwi.

Dziś, po czterech wiekach, odbudowano dawną misję. W roku 1926 wybudowano z białego kamienia Sanktuarium Maryjne na słonecznej polanie, wśród kanadyjskich sosen. Odtworzono wiernie budowle na podstawie oryginalnych planów, zrekonstruowano starą chatę indiańską, kuźnię i liczący ponad trzydzieści lat cmentarz. Midland stało się międzynarodową, duchową stolicą Kanady. Miejsce tak ciężko doświadczone w Północnej Ameryce jest celem licznych pielgrzymek, cudownych doznań i wielkiej wiary w boską pomoc. Przyciąga ludzi różnych narodowości, ras, religii.

Swoje sanktuaria mają tu: Indianie, Francuzi, Portugalczycy, Filipińczycy, Słowacy, Ukraińcy, Włosi, Polacy i wiele innych narodowości. Najwięcej jest jednak tu pamiątek po Hurokach i pierwszych pionierach.

Zwiedzając dawną Misję Sainte Marie doznaje się cudownego olśnienia. Kamienne krzyże, pomniki pierwszych Indian, wielki cmentarz, ułożony na ziemi różaniec, dużo stale świeżych kwiatów, wota Maryjne z różnych krajów, pierwsi misjonarze, ojciec Brebaut i Lalamon, krzyczą do zwiedzających o poszanowanie drugiego człowieka, o budowę społeczeństwa nadziei i miłości.

Polskim akcentem w Midland jest kamienna bryła i ołtarz poświęcony Pani Jasnogórskiej z Częstochowy. Do tego miejsca każdego roku pielgrzymują Kanadyjczycy polskiego pochodzenia. W parafii Św. Maksymiliana Kolbe w Mississauga, pod duchową opieką proboszcza ojca Adama Filasa, organizowane są pieszne pielgrzymki parafii rozrzuconych po różnych zakątkach tego wielkiego kraju.



37. REJS DO KRAINY WIELKICH JEZIOR

Marek jest dealerem samochodowym. Na motoryzacji zna się jak mało kto i na niej dorobił się w Kanadzie nie lada fortuny.

Z handlem i wodą związany był od samego dzieciństwa. Pracował w rodzinnym sklepiku w Olsztynie. Często po szkole i w chwilach wolnych uciekał na łódkę, jak mówił na pobliską rzekę Łynę i do lasów Taborskich. Tam dopiero był szczęśliwy.

A kiedy silniej wiatr dmuchnął w jego żagle, nie wyobrażał sobie życia bez łódki. Przeżywał pustkę na wodzie, jako najwspanialszą chwilę w swoim życiu.

Stale pamiętał o słowach ojca, który powtarzał mu często, że „każdy ma swoją szansę w życiu, ale tylko nieliczni ją wykorzystują – zastanów się, więc kim chcesz być”.

Później zaangażował się w ruch solidarnościowy i po wielu perypetiach i upokorzeniach trafił do Kanady. Był młody, pełen zapału do pracy. Kursy języka angielskiego, później biznesu i mechaniki samochodowej, dały mu zawód, którego niejeden przybysz tutaj mógł mu pozazdrościć.

Kupowanie w pobliskich Stanach dobrych, tanich samochodów, po stłuczce, czy lekkim uszkodzeniu i to w prowincjach, gdzie deszcze należą do rzadkości, a karoserie nie rdzewieją, stało się jego domeną. Ich remont w tanich, polskich warsztatach

oraz oferowanie na giełdach i wysyłki za granicę, przynosiły wielokrotne korzyści.

Marek szybko stał się cenionym i bogatym dilerem samochodowym w Toronto. Zaczął też realizować swoje najskrytsze marzenia posiadania prawdziwego, pełnomorskiego jachtu, którego cena w Kanadzie przekracza często wartość domku jednorodzinne.

Szybko dorobił się willi z basenem, najpierw mniejszego jachtu „Fregata”, a później komfortowego olbrzymia „Maria”, z bazą w Marinie na Georgian Bay.

Jego nowy jacht to istne cacko. Marek stale go upiększał we wszystkie weekendy. Odkręcał każdą metalową część, zdejmował wielokrążki i okucia, aby w warsztacie samochodowym je polerować, jak mówił, na błysk i lustro.

Kiedy poznałem Marka, pochwaliłem się, że kiedyś pływałem „Omegą” na Noteci i po Gople. Opowiedziałem o nocnych rejsach i wrażeniach, jakie wówczas przeżyłem.

Tymi moimi zwierzeniami był rozbawiony. Obiecał, że kiedyś spotkamy się na jego prawdziwym jachcie.

Po kilku tygodniach, kiedy nasza rozmowa już zacierała się w pamięci, niespodziewanie Marek zaprosił mnie na rejs do Krainy Wielkich Jezior.

Zaszumiało mi w głowie. To, co dotychczas było w sferze moich marzeń stawało się realną rzeczywistością. Wówczas przypomniałem sobie słowa Marka ojca, że każdy ma swoją w życiu szansę i natychmiast zgodziłem się, choć w głębi duszy sądziłem, że to po prostu bluff.

Marek miał na mnie czekać w Ceder Point, 13 czerwca, o godzinie 16. Na miejscu znalazłem się o trzy godziny wcześniej. Z Toronto do Barrie dojechałem autobusem, a następnie autostopem na sam półwysep Thonder Beach, za Lafontaine, w umówione miejsce nad Chrystian Channel.

Usiadłem na głazie, obładowany plecakiem i ciepłymi ciuchami. Podeszła do mnie Indianka z oswojonym szopem i zapytała czy może mi pomóc. Kiedy podziękowałem, poinformowała mnie o godzinach odpływania promu na Indiańskie Wyspy.

Uśmiechnęła się i trochę zdziwiona brakiem mojego zainteresowania i odeszła, zabierając na ręce swego pupila.

Był to dla mnie rok niezwykły, rok powrotu do żeglarstwa po prawie dwudziestu pięciu latach przerwy, powrotu do mojej uśpionej pasji i miłości, o której myślałem, że dawno minęła. Teraz nad Georgian Bay z szybkością błyskawicy przypominałem sobie trudy i niebezpieczeństwa z młodzieńczych lat znad Gopła i Noteci, potem jezior Śniardwy i Mamry, z pływania „Bora Bora” i „Tahiti”.

„Maria II” to piękny jacht, o jasnym, przezroczystym wnętrzu, z doskonałym wyposażeniem. To prawdziwe cacko na wodzie sprawiało wiele przyjemności w sterowaniu.

Okolo ósmej wieczorem wypłynęliśmy z przystani promowej kierując się na Indiańskie Wyspy, a raczej na najmniejszą z nich - Wyspę Nadziei, leżącą najdalej w głębi jeziora. Po dwu godzinach z lewej burty zaważyliśmy ogniska na Chrystian Island, a dalej następne na piaszczystej wyspie Backwith. Do naszej dopłynęliśmy dopiero mocno po północy.

Ognisko trząsało iskrami, dziesiątki ich wirowało nad naszymi głowami. Komandor z kulera wysypał ziemniaki i rozgarniając żar układał je w popiele. Nawigator i tramp łamali na kolanie gałęzie i dokładali do ognia.

Atmosfera była wspaniała, humory dopisywały. Tej nocy nad Indiańską Wyspą popłynęła dawna harcerska pieśń: „Płonie ognisko i szumią knieje”, a potem piosenki szantowe, wykonywane przez Marka przy akompaniamencie gitary.

Swym głośnym zachowaniem przebudziliśmy nietoperze, które zaczęły nad naszymi głowami zataczać beczki i kółka, a na

krańcu wyspy zahuczał puchacz. Potem nagle wszystko ucichło i tylko pozostał rytmiczny plusk fali obmywającej brzegi wyspy.

Następnego ranka komandor rzucił komendę: „cała naprzód” i nasza Maria pruća na północny zachód. Płynęliśmy w kierunku Szarych Wysp, powoli też wchodziliśmy w strefę szkwałów. Pogoda zmieniała się gwałtownie, fale wzrosły, szkwały były wściekłe i dzikie.

– Nic nadzwyczajnego – mówił komandor. – Na tych szerokościach już wiele jachtów wcześniej traciło maszty od huraganowych uderzeń blizardów.

Przez cały czas mieliśmy silne podmuchy. Jacht podskakiwał, uderzał burtami o fale, miotany jak pudełko. Wydawało się, że rozpadnie się na strzępy.

Georgian Bay stawał się biały. Teraz frunęliśmy jak na skrzydłach, pchani całą mocą wichury. Jacht trzymał się dobrze fali, mimo to z pewną obawą czytaliśmy faksy pogodowe.

Ciągle było zimno i teraz jeszcze na dodatek deszczowo. Żeglowaliśmy ubrani w ciepłą odzież, zmienialiśmy się co godzinę. Kalorie uzupełnialiśmy słodkimi waflami i kawą, której picie przy dużych falach wymagało istnej akrobacji.

Płynęliśmy w kierunku Manitoulin Island, największej wyspy Indian w Kanadzie. Wokół nas tylko pustka. Jest to miejsce zagubione, na wielkiej wodzie jeziora Huron i Georgian Bay, wokoło żadnego skrawka ziemi, woda po prostu na horyzoncie stykała się z niebem.

Noc minęła szybko. Zimny ranek zamienia horyzont w jaszkrawy pożar wschodzącego słońca. Nad nami dalej unosi się brunatny pas chmur, a pomiędzy nimi iskrzy diamentem Venus. Zmęczeni całonocnym zmaganiem z żywiołem, z zadowoleniem przyjmujemy decyzję komandora o lądowaniu na piaszczystej plaży jednej z niewielkich wysepek.



...Płyniemy w kierunku Manitoulin Island, największej wyspy Indian w Kanadzie. ...



...Urocze zakątki tych wysp są trochę przytłaczające, mocno zaludnione. ...

Starym zwyczajem siadamy przy ognisku, ogrzani, znów szczęśliwi, przecież skończyła się noc grozy. Znów wybuchamy śmiechem, kiedy komandor próbuje wyrwać z ognia kiełbasę, która mu wpadła w żar. Gorącą podrzuca z ręki do ręki i puszcza, jakby była z ołowiu. Wreszcie siada zadowolony, nie wiadomo czy z tego, że udało mu się ocalić śniadanie, czy też ze swej zręczności.

Humor wraca po mozolnej nocy. Komandor celebryje spożywanie śniadania. Robi to z wielkim wdziękiem i smakiem.

Mówi przy tym, że kto zaraził się bakcylem żeglarstwa, wędkarstwa, czy traperki, nie potrafi posiedzieć długo w jednym miejscu. Nie umie być człowiekiem miasta, każdą nową wyprawę traktuje jak wielkie przeżycie.

Po obiedzie wypływamy w kierunku południowo - zachodnim do największej z wysp i rezerwatu przyrody Beausoleil Island.

Pod wieczór docieramy do Honeymoon, a następnego dnia rozpoczęliśmy kilkudniową podróż do Godettes, Baie Himnei, Mc Cabe, Tonch Horth, Thomb i wielu pomniejszych przystani, aby naszą wyprawę zakończyć w Beausolleil Point.

Urocze zakątki tych wysp są trochę przytłaczające, mocno zaludnione. Jeżeli nie zaklepie się miejsca na odpoczynek z samego rana, to nocowanie na lądzie jest problemem.

Ze względu na ściany skalne i zatopione głazy jezioro jest mało żeglowne. Dużo trzeba pływać na silniku. Za to ryb tu, co nie miara. Niemal każda zatoczka obfituje w najrozmaitsze gatunki - od barwnych słonecznic, poprzez sumy, szczupaki, bassy, a nawet maskonnongi.

*

Marek należy do Polsko-Kanadyjskiego Jacht Klubu „Biały Żagiel”, który powstał w 1997 roku jako organizacja non profit pod angielską nazwą „White Sail” Polish Canadian Yacht. Zrze-

sza 200 członków, sympatyków mórz i oceanów. Ma też swoje floty i sekcje na jeziorze Ontario i na Georgian Bay, gdzie skupione są łodzie pływające po tym akwenie.

Reszta naszej trasy to już otwarta woda. „Maria” z braku wiatru płynie na silniku, woda jest coraz mniej klarowna, wreszcie brudna. Widać, że zbliżamy się do cywilizacji.

Schodzimy na ląd, przebieramy w garnitury, w workach pozostaje nasza polska sarmackość, a w nas wspaniałe przeżycia i wspomnienia!



38. EXPRESS POLARNEGO NIEDŹWIEDZIA

Przed naszą czatownią w prowincji Muskoka wielki jak morze stał zwartą ścianą tajemniczy las jodłowy, pod wieczór cichy, pachnącym igliwem i coraz bardziej niewyraźny, ginący w mlecznych oparach pobliskiego bagna.

Tego dnia przyjechaliśmy z Andrzejem do puszczy, aby sprawdzić czy po zimowym śnie czarne misie już chodziły po lesie.

Po południu usiedliśmy na składanej ambonie, zawieszonej wysoko na rozłożystym świerku. Wybraliśmy go spośród wielu stojących nad bagnami, przy bobrowych żeremiach.

Stary Muskawa powywracał tu wielkie kamienie, za pewne szukając pod nimi pędraków i dżdżownic.

Przez kilka godzin ze sobą nie rozmawialiśmy, aby nie zdradzić naszej kryjówki. Sztucery oparliśmy o żerdź przywiązaną do pnia i tylko w lornetkach wypatrywaliśmy czarnej plamy misia. Kiedy było już jasne, że niedźwiedź nas przechytrzył i nie wyjdzie, mój towarzysz łowów przemówił, choć myślę, że mówił do siebie.

Szumieć na szczęście dzikiego zwierza, na szczęście wolnej wędrówki, na szczęście lęgu i żeru, stworzenia żywego w moich gąszczach i cieniach. Szukasz, szukasz mieszczucha szczęśliwości poznania, ale ze mnie wyszedłeś i do mnie powrócisz.

– Andrzeju, wiedziałem, że jesteś wytrawnym myśliwym, ale że poetą, tego się nie spodziewałem – wyznałem po cichu.

– Przyjacielu uśmiechnął się szczerze Andrzej. – Tak kończy się ostatni rozdział „Sobola i panny” Józefa Weysenhoffa, wielkiego pisarza i myśliwego, który opiewał dawne litewskie puszcze. Ale chcę ci powiedzieć, że te za Cochrane, w strefie subarktycznej, są jeszcze piękniejsze od tych opisywanych przez poetę.

W powrotnej drodze, zawstydzony nieznajomością polskiej literatury, nie odzywałem się wiele. Głęboko jednak utkwily mi w pamięci słowa Andrzeja o wspaniałych północnych puszczech.

Jakie one mogą być? Leżą ponad tysiąc kilometrów stąd na północ. Nie prowadzi tam żadna droga samochodowa.

Odtąd Andrzejowi nie dawałem spokoju. Ciągle pytałem o północne lasy. Zauważyłem, że go to w końcu męczy. Jednak z jego oczu widać było wyraźnie, że coś przede mną ukrywa.

W połowie maja szykowaliśmy sprzęt na wyprawę do puszczy: canoe, wędkę, śpiwory, pakowaliśmy żywność do kuleków i dziesiątki innych drobiazgów upychaliśmy w wory. Napracowaliśmy się solidnie. Gospodarz widząc nasze poświęcenie, wyciągnął jakąś okropną nalewkę meksykańską z zielonym robakiem z kolcem, który siedział w butelce.

Po kilku kieliszkach świat zaczął przed nami wirować, a zwierz w puszczy kładł się pokotem po każdym strzale w opowiadaniach myśliwych. Przechwałkom nie było końca. Andrzej teraz wyjawiał plany swej arktycznej wyprawy, a jego zwierzenia aż podnosiły mnie z krzesła. A może jednak uda mi się zobaczyć puszcze nad Zatoką Hudsona, krainę Indian Algonquinów, Cree i Montagnais, bobrów, rosomaków, rysy i łosi i puszcze, na których wzbogacili się Francuzi i Anglicy, a dzięki bobrowym futrom Paryżanki podbijały najmodniejsze salony dziewiętnastowiecznej Europy.

Jednak moje marzenia o wyprawie na Północ ostudził zimny kubeł wody, który poczułem na sobie i przysło chwilowe szczęście jak bańka mydlana. Szybko okazało się, że Andrzej,

z trzema Kanadyjczykami, kupił niewielki samolot zdolny do latania do Mossonee nad Zatokę Hudsona, a więc do puszczy na terenach arktycznych, ale licencję pilota otrzyma dopiero wiosną następnego roku, a wówczas mnie już w Kanadzie nie będzie.

A więc klapa z moich marzeń!

Andrzej moją konsternację szybko zauważył. Poklepał mnie po ramieniu i dodał:

– Ominie ciebie jeszcze niejedna przygoda, albo zostań dłużej, polecimy razem.

Zmartwiłem się szczerze.

– Nie martw się – kontynuował po chwili.

Jednym ze współwłaścicieli samolotu jest metys Oskar, który licencję pilota otrzyma jeszcze później niż ja. On planuje podróż samochodem do Cochrone, później ciuchcią na koniec świata, do Mossonee. Tam ma do załatwienia sprawę związane z lądowaniem samolotu. Z nim już o tobie rozmawiałem i ma miejsce w aucie. Nawet ucieszył się z tej propozycji, bo syn jego prowadzi stadninę koni razem z Polakiem, Grzeńskim, i trochę mówi po polsku.

Teraz mi naprawdę zaszumiło w głowie, na pewno bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Nie chciałem już więcej nic słyszeć. Jeżeli to nie był bluff podchmielonego Andrzeja, to będę miał wielkie szczęście.

Więcej już nie wracaliśmy do tego tematu, a kiedy bywałem w puszczy, w Algonquin Park, czy nad rzeką Madawaska i oglądałem urocze leśne krajobrazy, stale myślami byłem na Północy.

Arktyka nie dawała mi spokoju, śniła mi się po nocach. Tamtejsze puszcze widywałem na jawie - krwiożercze rosomaki, wilki i łosie.

Oskar Grey słowa dotrzymał. W połowie sierpnia wyruszyliśmy na spotkanie subarktycznej przyrody.

Autostradą z Toronto do miasta Barrie jechaliśmy z włączonym „cruise control”, czyli ustawioną szybkością, którą stero-

wał komputer. Dobierał gaz i przerzucał biegi automatycznie. Mknęliśmy na północ z szybkością 120 km/h, chociaż prawnie można było jechać 100. Tak porusza się tu większość samochodów. Policja nie reagowała. Ponoć jednak nie należy przekroczyć tej magicznej szybkości, bo tak tu dawniej się jeździło i stare zwyczaje się toleruje.

Syn Oskara, czarnooki i kruczy Michael, szczupły, wysportowany młodzieniec, z rysów twarzy podobny był do Indianina, bo też w jego żyłach płynęła krew Algonquinów. Jego pradziad budował kolej żelazną od Quebecu do Cochrane, a później do Moosonee. Zapoznał Indiankę w zagubionej w puszczy stacji Clova. Pochodziła z rezerwatu w Abidżuanie.

Michael reprezentował już nowe amerykańskie pokolenie i obyczaje. Był odważny i mimo młodego wieku dobrze wykształcony. Prowadził auto jak nonszalanckiego konia, z werwą, ale pewnie.

Zwiedził Południową Amerykę, żenił się dwukrotnie i chętnie o tym opowiadał. Mnie jednak interesowała przyroda i życie Indian w subarktyce, do której piękna zostałem zarażony przez Andrzeja.

– Jedziesz w swoje rodzinne strony? – zapytałem.

– Niezupełnie odrzekł – ale niezbyt daleko z Cochrane do Seneterre i Clova, a stamtąd już tylko dwa dni canoe do rezerwatu mojej babki. Muszę ci powiedzieć, że ze cztery lata temu byłem tam z Grześkiem. Z Montrealu pojechaliśmy pociągiem do Clova, a później zaopatrzeniowym wodnopłatem do rezerwatu. Jednak moje wrażenia stamtąd są nieciekawe. Przyczepiło się do się nas kilku pijanych wyrostków i omal nie doszło do bijatyki. Dali nam do zrozumienia, że nie chcą nas tam widzieć. Domy jak po huraganie, okna pozatykane szmatami, chaty drewniane, a wokół puszcza, woda nadzwyczaj czysta i krystaliczne powietrze. Jedyne, czego nigdy nie

zapomnę, to szczupaków, które łowiliśmy dla zabawy. Była to tam wędkarska uczta.

W tamtejszej puszczy jest wiele rezerwatów i stoi wiele wigwamów, jest jednak niebezpiecznie. Policja indiańska nie wszędzie dociera, a opryszków nie brakuje, szczególnie zimą, kiedy warunki do przeżycia są bardzo trudne i wszystkiego brakuje. Ustawicznie ludzie są okradani z zapasów żywności przez głodne, leśne zwierzęta, najczęściej rosomaki. Bez sensu jest stawianie pułapek, gdyż stale są puste, a wielkie śniegi leżą tu od września do czerwca i tylko młodzi i zdrowi myśliwi odważą się wtedy pójść do puszczy i polować.

W Barrie Michael na liczniku nastawił zero, wjechaliśmy w drogę 11, wiodącą prosto na północ poprzez krainę jezior i skał.

Jedziemy pomiędzy różowymi skałami porfirowymi, zielenią drzew i błękitem strumieni, jezior i nieba. Na asfaltowej drodze sporo przejechanych szopów i skunksów porozciąganych przez kruki, sanitariuszy tutejszych lasów.

Przekroczyliśmy dział wodny Oceanu Atlantyckiego i Arktycznego. Wita nas miasteczko Cobalt, słynące z wydobycia srebra. A wszystko zaczęło się od drwala. Wycinał drzewo na podkłady kolejowe. Broniąc się przed wilkiem rzucił w niego toporem. Nie trafił, ale ostrze odłupało skałę z widokiem na żyły srebra.

Jedziemy dalej przez miasteczka górnicze, wzdłuż jeziora Timiskaming, do Iroquis Falls, gdzie w tutejszej zabudowie wyczuwa się atmosferę pionierów. Przed nami niewielkie miasteczko Cochrane i koniec używania samochodu.

Zakwaterowaliśmy się w pensjonacie „Pod Zorzą Polarą”. Dalej już nie ma żadnej drogi. Na północ prowadzi tylko pojedynczy szlak kolejowy, wybudowany po 1900 roku.

Właśnie przy jego budowie pracował pradziadek Michaela oraz wielu Indian z pobliskich rezerwatów. Dobre za-

robki i postępowanie białych ludzi spowodowało, że Indianie z pobliskich rezerwatów spędzali swój wolny czas w budowanych przy kolei drewnianych szopach, pijąc na umór. A Indianki, łase na podarki, nie ustępowały swym współplemieńcom i stąd zaczęło się tutaj to zło.

W centrum miasteczka powitał nas polarny niedźwiedź. Znajduje się tu początkowa stacja pociągu Polar Bear Express, kursującego tylko od końca czerwca do początku września, ze względu na zlodowacenie ziemi.

Tego ranka na stacji spora krzątana, hałas, słyhać rozmowy w kilku językach, najwięcej francuskim. W swoim języku rozmawiają Indianie Cree, którzy wysiadają po drodze w puszczy, sporo jest pasażerów z Kanady i USA. Pociąg, nie zatrzymuje się na żadnej ze stacji, tylko we wskazanych miejscach przez podróźnych. Maszynista przyjmuje zamówienia na zabieranie i wysadzanie nawet na tydzień naprzód.

Ładowane są canoe, namioty, garnki, tobogany, psy. Wchodzi cały zastęp Indian z torbami pełnymi potrzebnych w puszczy zakupów.

Siadamy w wagonie wygodnie, chcąc być blisko okna. Rozgrzani kieliszkiem rumu, z wolno jadącego pociągu, ogarniamy połacie puszczy, która mieni się w sierpniowym przepychu.

Maszynista, chyba jest poetą. Zachwala przez głośniki tę jedyną niepowtarzalną podróż do krainy sprzed tysięcy lat. Będzie mówił, co ciekawego za oknem i będzie zwalniał bieg pociągu, abyśmy mogli nasycić wzrok subarktyczną puszcza.

Wiezie nas po przez gęste lasy, trzęsawiska, kryształowo czyste rzeki.

Nigdzie nie ma ani jednego człowieka, chaty, dymów, drutów telegraficznych, ani najmniejszego śladu cywilizacji, tylko jak okiem sięgnąć knieja, mokradła porośnięte dzikim ryżem, mateczniki puszczańskiego zwierza.

Znów pociąg zwalnia. Podrywamy się z wygodnych siedzeń i nosy przyciskamy do okien. W sierpniowym słońcu wygrzewa się w kolorowej mozaice bagna łosza z cielakiem. Powoli otacza i pochłania nas puszcza, ciemna, o zielonych ścianach świerkowego lasu. Przez chwilę towarzyszą nam dwie sójki - liczą na poczęstunek, a może tylko z ciekawości. Las szybko umyka. Nastaje jakaś wielka cisza i spokój, tylko ożywczy zapach ciągnie od lasów.

Jedziemy wzdłuż rzeki Abitibi, mijamy stacje Otter Rapids, Corpe i Onakawana. Dalej trasa żelazna wiedzie szeroką doliną rzeki Moose.

Michael dotychczas przeżywał tę podróż, podobnie jak ja, w ciszy i skupieniu. Teraz mówił, że za parę miesięcy ludzie tu mogą ginąć z głodu. Ci, którzy odważyli się tu wysiadać, nie wiedzą, że zostaną w czasie snu pozbawieni żywności. Taki los spotyka tu większość traperów i śmiałków.

Zuchwała i pierwotna puszcza jednak przyciąga jak magnes, zwłaszcza ludzi ze zurbanizowanych miast USA, żadnych przygód i wrażeń.

Wreszcie koniec podróży. Michael mówi koniec świata. Docelowa stacja nazywa się Moosonee, co w języku Indian Cree oznacza dziką gęś.

Miasto położone na południowym końcu Zatoki James Bay, w subarktycznej Kanadzie, było niezbyt interesujące. Ale można stąd takim większym canoe z silnikiem popłynąć do rezerwatu ptaków, właśnie gęsi kanadyjskich bernikli i ich największej na kontynencie wylęgarni - Shipsands Island.

Wsiadamy do oczekującego autokaru, który nas wiezie nad brzegi rzeki Moose. Na tych terenach żyje najwięcej łosi, stąd nazwa rzeki. Miasto jak z westernu - obok siebie kościółek, sklepik z alkoholem i posterunek policji z aresztem, dwie restauracyjki, parę sklepików i chałup, a wszystko na pięćsetmetrowej ulicy.

Płyniemy canoe przez rzekę Moose na wyspę Moose Factory, gdzie była kiedyś siedziba angielskiej Hudson Bay Company, założonej w 1673 roku firmy handlującej skórkami zwierząt, przeważnie bobrowych, na których wzbogaciła się też i Kanada. Bóbr stał się niemal narodowym symbolem, w dowód wdzięczności widnieje teraz na monetach.

Stąd można wynająć mały samolot i polecieć dalej na północ, około 300 km do Polar Bear Prowincjal Park obfitującego głównie w wielkie skupiska białych niedźwiedzi, ale również łosi i karibu. Jednak ta podróż wymaga specjalnego zezwolenia. O nie właśnie ma zabiegać Michael.

Liczę na to, że w nocy uda się zobaczyć i sfotografować falującą zorzę polarną, które bywają tu wielką frajdą dla turystów.

Michael twierdzi, że to jeszcze za wczesny okres i rzeczywiście tej jasnej jak w dzień nocy zorzy nie było.

Zapamiętałem jednak tą najwspanialszą Puszcę Północną. Dopóki ona tu będzie i nie zniszczy jej cywilizacja, Indianie będą polować i żyć w dostatku.

39. GARŚĆ ŻÓŁTYCH KAMIENI

Mój przyjaciel, wędkarz znad rzeki Nottawasaga, Beny Marriot, był wielkim miłośnikiem złotego kruszcu. A może tylko jego kolekcjonerem, czy też zwykłym handlarzem złota. Nigdy tego się nie dowiedziałem.

Źle mu się nie wiodło. Miał dom w Burlingtonie, z zawodu był truckerem. W nowym volvo przynajmniej raz w tygodniu jeździł z towarami do Minnesoty, Michigan, Ohio, a nawet Kentucky w USA.

Kiedy zaproponował mi wyjazd do kopalni złota w Timmins na północy Ontario, zdziwiłem się bardzo, ale w końcu propozycję przyjąłem.

Wprawdzie na złocie się nie znałem, ale wiedziałem, że będziemy musieli przejechać trasę Canadian Pacyfic Railway, a ta przecież prowadzi przez dziewicze puszcze i obok indiańskich rezerwatów.

Niebieski opel szybko sunął autostradą 400 do miasteczka Victoria Bay, położonego nad zatoką wielkich jezior Georgian Bay i Huron, do Sudbury - zagłębia górniczego w Ontario. Po obu stronach trasy mijaliśmy wspaniałe, chwytające za serce widoki: ścielące się do ziemi choiny kanadyjskie, cedry, czerwone klony, parki i rezerваты leśnych Indian - Algonquinów, Czipewejów i Cree, Rezerwat Gipsona, Parry Island, Moose Point, Hevey Intel i Whitefish.

Z lewej strony szyby naszego samochodu zabarwiły się od niebieskiej tafli bezkresnej wody, a z drugiej była ciemnozielona, pierwotna i tajemnicza puszcza.

Po kilku godzinach jazdy w zielonym tunelu drzew, odu-
rzeni szybkością i eterycznymi zapachami puszczy, wjechaliśmy
w krajobraz nie z tego świata, w języku Indian zwany Złe Ziemi.

Gdyby nie czarna, asfaltowa droga, która wiodła wśród
licznych, mniejszych i większych kraterów, zwałowisk ziemi,
plątaniny suchych parowów, można by przypuszczać, że jesteśmy
na powierzchni księżyca. Ziemię zdewastowano, pozbawiono ją
życia.

Jednak niedaleko stąd wybudowano miasto i to nawet
wielkie. Mieszka w nim 160 tysięcy osób. W Sudbury znajdują
się największe na świecie złoża niklu, a symbolem jego jest pię-
ciocentowa moneta stojąca tu na wysokim cokole. Ponoć odlano
ją z czystego niklu o powierzchni ponad dziewięciu metrów
i grubości sześćdziesięciu centymetrów.

Jakoś z zadowoleniem opuszczamy miasto i ten krajobraz.
Ponownie zagłębiamy się w puszcę. Wybieramy malowniczą
trasę 144, która prowadzi na północ do Timmins, miasta słyną-
cego z kopalń złota. Jedziemy wzdłuż jezior Onapina, Kona-
gamissi, do miasta i okolicy, której symbolem jest czarny
niedźwiedź. Puszcza dotyka tu drogi, a niedźwiedzie są tak
liczne, że spotkanie ich na trasie stanowi jedną z wielu atrakcji
turystycznych.

Już przed miastem tablice informują, że to pięćdziesię-
ciotysięczne miasto słynie z kopalń złota, których największy
rozwój nastąpił w początkach XX wieku. Na wielkich billboardach
reklamuje się też znana kanadyjska piosenkarka country i pop,
Shani Twaine.

Nas jednak interesuje płukanie złota z miejscowych poko-
palnianych hałd. Ponoć niektórym płukaczom, jak mówi Beny
zacierając ręce, dopisało szczęście i stali się w ciągu zaledwie
jednego dnia milionerami.

Najpierw jednak zwiedzamy kopalnie Hollinger i uczymy się odróżniać złotodajną skałę od połyskującego kolorem złota pirytu, na którego tyłu poszukiwaczy dało się nabrać.

Zapoznajemy się też z historią kopalni. Dowiadujemy się, że B. Hollingerowi, poszukującemu w tej okolicy złota, obsunął się but na skałe obrosniętej mchem, odsłaniając żyłę złota. Znacznie później ponoć, też butem, odkrył tu złoto inny szczęściarz, Sandy Melentyre.

Świeżo nabytą wiedzę staramy się zastosować w praktyce. Chwytny do ręki patelnie, nabieramy piasku i płuczemy tak jak to robi kilku innych poszukiwaczy. Pracujemy z wielkim zaangażowaniem i werwą, zadowoleni z siebie i z nadzieją, że może nam się poszczęścić i zostaniemy milionerami. Wszyscy są tu szczęśliwi i zadowoleni, chociaż po wyglądzie ubrania i spracowanych dłoniach Menengawy, płuczącego obok nas, tego bogactwa i szczęścia nie widać.

Kiedyś oglądałem konkurs płukania złota pod Złotoryją. Tam jednak celowo wrzucano do rzeki okruchy złota, tu zaś one znajdują się w zmielonej przez młyny skałe.

Złoto ma ponoć magiczną moc, przyciąga wielu takich niedoszłych milionerów jak my. Niektórzy mają kompletne laboratoria. Mieszają roztartą skałę z rtęcią, do której przylepia się złoty pył, inni wypłukują złoto oleistą cieczą. Stali wypłukiwacze przypominają ludzi z początków kolonizacji i zdobywania Dzikiego Zachodu - twardych, upartych, spalonych, słońcem, o twarzach porzeźbionych przez ostre północne wiatry.

Menangawa odłożył swoje patelnie. Podchodzi do nas, rozkłada szmaciane zawiniątko, a w nim widać błyszczące złoto. Proponuje sto dolarów, jak mówi, za „garść żółtych kamieni”.

W jego mniemaniu jest to śmiesznie niska cena i na pewno będziemy szczęśliwi, jeżeli je od niego kupimy.

Kiedy jednak odmawiamy, spuszcza cenę o połowę, wreszcie dopytuje się o rum, bo go bardzo boli głowa.

– Menangawa – mówię do niego – my twoich kamieni nie chcemy, a na ból głowy dostaniesz pastylkę extra strength.

Wzbrania się, w końcu bierze, ale razem ze szklaneczką rumu.

– Dostaniesz nawet dwa kieliszki, ale powiedz gdzie znalazłeś te żółte kamienie.

Powrócił do swojej patelni bez słowa.

Mój przyjaciel Beny dalej wytrwale płukał piasek, ja poszedłem do samochodu po rum, bo żal było mi Menangawy.

W kopalni powiedziano nam, że z jednej tony zmielonej skały otrzymuje się osiem gram czystego złota. Byłem tym stwierdzeniem zniechęcony do ustawicznego kręcenia i podrzucania piasku na patelni. Bo jakie mieliśmy szanse? A obok stojący butik oferował różne wyroby ze złota i było tam coś interesującego dla każdej niemal kieszeni.

Niespodziewanie Menangawa przyszedł do samochodu, uśmiechnął się szczerze. Zapytałem czy znalazł żółty kamień. Zaprzeczył. Miał mi jednak coś ważnego do powiedzenia.

Ty wierzysz, że Hollinger butem odsłonił żyłę złota? Oni tu oszukają naiwnych turystów. Nalej jeszcze kieliszek wody ognistej, to ci powiem prawdę.

Mój rozmówca wydał mi się śmieszny. Chciał chyba sobie porozmawiać, a może zabłysnąć wiedzą, dopóki w piersiówce był rum.

– To złoto – mówił – naprawdę odkryli Indianie Cree znad jeziora Hawk, z głębi puszczy.

.On i jego rodzina jest bogata. Mieszka w prawdziwym domu z drewna, ma dwa nazwiska, tak jak jego ojciec i dziadek.



...Lornetki nie odkładam od oczu, naraz krzyczą są ...



...uśmiecha się do mnie....

Menangawa nazywa się Czerwony Liść, ojciec jego, Szary Wilk, mieszkał w wigwamie pokrytym korą brzozy, zaś dziadek, Przecięta Twarz, w ziemiance bez okien. Miał wygoloną głowę, zdobił ją lok skalpowy. Na głowie pod opaską nosił dwa orle pióra z zębami wyciętymi w kształcie choinki, co świadczyło, że dotknął zabitego wroga. Nosił też purpurowy naszyjnik wampum z muszelek i kłów wilka - znak przynależności do rodziny.

Czerwony Liść miał ośmioro dzieci i musiał zarabiać na ich utrzymanie. Dlatego sprzedawał turystom żółte kamienie. W puszczy polował na jelenie wirginijskie, szopy, kojoty, a nawet raz upolował han'haka - starego niedźwiedzia, dla zdobycia futra. – Nie jest sprawiedliwe – mówił – aby na naszej ziemi biali zarabiali tyle pieniędzy, a moja rodzina musiała korzystać z zapomogi.

Czerwony Liść miał żal do białych właścicieli kopalni, że okłamują turystów, iż to oni odkryli tu złoto, a nie Indianie.

Stąd niedaleko, nad rzeką Mattagami była nasza osada. Tam za wysokim ostrokołem mieszkała moja rodzina, dawniej mój dziadek. Tam też biali voyageurs i traperzy zauważyli na piersiach naszych dzieci uwieszane na rzemykach małe grudki żółtego kamienia. Zaraz sprowadzili czarne suknie, traperów i dużo łaciatych bizonów. Po nocach wysadzali skały, a palby z broni palnej rozbrzmiewały ciągle po puszczy. Na krańcu osady wykopano olbrzymi dół, do którego po każdej takiej nocy wrzucano wiele ludzkich ciał.

Przedtem w strumykach można było znaleźć niejedną garść żółtego kamienia. Mieliśmy go wszyscy. Każdy miał swój święty woreczek z lekami i żółty kamień wskazany przez duchy, który wędrował razem z człowiekiem przez życie, a później ze zmarłym do grobu. Jak w te strony przybyli poszukiwacze złota, to nawet groby poodkrywali, aby znaleźć w nich żółty kamień. Dziś nie ma tam już mojej osady. Pozostała mi tylko ta garść żółtych kamieni, których już nikt nie chce kupować.

Czerwony Liść wierzy jednak, że kiedyś szczęście do niego się uśmiechnie i znajdzie prawdziwe złoto i będzie bogaty. Wybuduje w Timmins własne kopalnie, gdzie zatrudni tylko Indian i dobrych ludzi.

– Hough! – podziękował Menangawa, widząc dno piersiówki.

Beny kupił złoto w butikiu i był bardzo zadowolony. Teraz snuł plany podróży do Stanów.



40. MEDALOWY WIENIEC KARIBU

Z początkiem każdego roku członkowie Polskiego Klubu Myśliwskiego w Toronto organizują wystawę trofeów zwierzyny płowej w restauracji polonijnej „Atrium”. Ta niecodzienna ekspozycja została zauważona przez prasę, radio i telewizję. Jest licznie odwiedzana przez myśliwych i kolekcjonerów łowiectwa.

Na wystawie zaskakujące wręcz wrażenie robił tego roku medalowy wieniec karibu z Północnego Terytorium Kanady, zdobyty przez Mirka Kotowskiego.

Wiele osób, nieobytych z przyrodą północy, nie umiało zakwalifikować tego trofeum i ocenić, do jakiej zwierzyny należało. Wymieniano najczęściej olbrzymiego jelenia wapiti z Gór Skalistych. Ktoś inny twierdził, że widział jelenie z takim porożem w Parku Narodowym Yellowstone i że jelenie te w czasie rui nie ryczą, tylko gwiżdżą, a czasem trąbią. Większość jednak uważała, że ten medalowy wieniec należy do renifera z dalekiej północy.

Z Adamem usiadłem przy stoliku, popijając kawę. Przysłuchiwaliśmy się tej ciekawej dyskusji zwiedzających wystawę. Adam nie był myśliwym, ale kolekcjonował trofea łowieckie. Mówił, że to, co tu zobaczył było dla niego wielkim, wzruszającym wydarzeniem.

Szczególnie chciałby mieć w swej kolekcji dwa regularne poroża jelenia wirginijskiego, których na wystawie eksponowano najwięcej.

Na pewno byśmy opuścili „Atrium”, gdyby przy medalowym porożu nie zjawił się zarośnięty, barczysty facet, o rumianej twarzy i zadziwionym wzroku. Zwrócił wszystkich uwagę mierząc tyki wieńca, jego rozłogi, wielkości kielichów, a potem jakby delikatnie głaskał po uperleniu tego wielkiego karibu kiwał z niedowierzania głową.

Byliśmy przekonani, że ten gość jest z komisji wyceny trofeów.

Kiedy usiadł przy sąsiednim stoliku i zaczął porównywać jakieś cyfry, przeprosiłem go i zapytałem o wyniki wyceny Pan z brodą oświadczył, że tylko porównuje wielkość tu wystawionego wieńca ze swoim, którego zdobył na Labradorze.

– Wie pan – mówił – że ten wieniec wydaje mi się podobny, a raczej bliźniaczy do tego mojego sprzed dwóch lat, choć ma ciekawsze bruzdy i uperlenia.

Opowiedzieliśmy mu o naszych spostrzeżeniach i kibi-cach odwiedzających wystawę. Był rozbawiony.

– Widzę stwierdził – że się z wami dobrze rozmawia. Przy-siądę się na chwilę do waszego stolika. Przeczytałem o tej wystawie w „Związkowcu” i stąd ta moja ciekawość i tu moja wizyta. Chcę się jednak przedstawić: ojciec Mariusz Krótki z zakonu oblatów. Chwilowo odpoczywam w parafii Św. Maksymiliana Kolbe, za dwa tygodnie wyjeżdżam na nową misję do Zambii, a więc tym razem w ciepłe strony, aby trochę podreperować zdrowie. Pochodzę z Beskidu Żywieckiego a dopiero, co wróciłem Northwest Territories Kanady, gdzie prowadziłem misję katolicką wśród Eskimosów.

Tam też polowałem Wracam często do tych wspaniałych przeżyć w moich kazaniach. Zauważyłem, że ludzie lubią takie opowieści związane z daleką północą i przyrodą. Niestety, zauważyliście, że mam ochryply głos i powiedziano mi, że muszę

zmienić klimat. O swojej chorobie nie myślę, bo mam wiele przygód z polowań na karibu, foki, renifery, pardwy i z łowienia wielkich atlantyckich salmonów.

Rozstaliśmy się serdecznie z myślą o rychłym spotkaniu, wymieniając się adresami i numerami telefonów.

Z ojcem Mariuszem przed jego wyjazdem spotkałem się jeszcze dwukrotnie. Opowiedział mi, że przedtem pracował w Barran Graunos (jałowej, nieurodzajnej ziemi), w tundrze kanadyjskiej za Eskimo Point.

Żył i polował z Eskimosami. Był kopalnią wiedzy o ludziach północy, Indianach i Eskimosach oraz zwierzętach żyjących w tundrze.

– Na przełomie dwudziestego wieku zaczęło się masowe niszczenie karibu – opowiadał. - Zaopatrywani w broń przez białych myśliwych Indianie i Eskimosi tak skutecznie przetrzebili zwierzynę, że naraz zaczęło jej brakować tubylcom. Kompanie handlowe skupowały każdą ilość skórek, doprowadzając do wytępienia zwierzyny na całym arktycznym wybrzeżu i nad Zatoką Hudsona. Eskimosi musieli coś jeść. Karibu ma najsmaczniejsze mięso ze wszystkich zwierząt dziko żyjących w Ameryce Północnej, poroże, z którego można wyrabiać cenione przedmioty, ze skór - koszule, ubrania, buty. Sproszkowane wieńce w scypule, od młodych byków, wzmacniają organizm i ponoć zastępują witaminy.

Kiedy tam przybyłem już władze Kanadyjskie policzyły dokładnie, z samolotów, przerzedzone stada karibu i ograniczyły polowania na znacznym obszarze. Przestały wydawać licencje na odstrzał tych zwierząt, rozpoczęto walkę z wilkami, największymi wrogami karibu i reniferów. Przed moim wyjazdem obserwacje lotnicze potwierdzały pewien wzrost pogłowia tych zwierząt.

Karibu jest spokrewnione z reniferem, nazywanym tam często barran ground caribou - zwierzę z jałowej krainy. Żyje na

Alasce i w północnych prowincjach Kanady, w strefie polarnej tundry i niskich lasów szpilkowych. Rozróżnia się trzy gatunki: karibu leśne, górskie i tundry.

Zwierzę to odżywia się mchem i porostami. Tundrowy gatunek jest najlżejszy, nie przekracza nigdy ciężaru osobników z lasów, które ważą do 180 kg. Nakłada na łeb nieproporcjonalnie wielkie tyki, a byki często mają je zakończone palczastą koroną. Poroże również nakładają samice, w odróżnieniu od naszych jeleni, tylko o wiele mniejsze.

W odróżnieniu od renifera nigdy nie dało się karibu oswoić i w Ameryce nigdy nie ciągnie ono sań z podarkami w Boże Narodzenie, tak jak to robią renifery z dalekiej Laponii.

Ten charakter karibu miał dobre zakończenie. Brak w kręgu polarnym silnego zwierzęcia do współpracy z człowiekiem zmusił Kanadyjczyka, A. Bombardiera, do skonstruowania „ski doo” - skutera śnieżnego.

Dziś Kanadyjczycy dbają o karibu, nawet rezygnują z prowadzenia „wielkiej rury”, z odwiertów na trasie corocznej migracji wielkich stad, tych zwierząt.

W tundrze stada karibu, niegdyś liczące dziesiątki tysięcy sztuk, przemieszczają się z południa na północ i z powrotem w poszukiwaniu lepszych warunków bytowania. Trasa ta liczy do tysiąca kilometrów w każdą stronę. Kiedy pokrywa śnieżna zamara i tworzy lodową skorupę, karibu nie może dostać się do porostów przy pomocy swych ostrych kopyt i wtedy opuszcza tundrę. Kieruje się do lasów iglastych, gdzie mimo większego śniegu łatwiej o pożywienie, ale zarazem naraża siebie na stada zgłodniałych wilków. W obawie przed nimi często śpi na tafli zamrzniętych jezior, przepływa wartkie, lodowate rzeki. Chroni go przed zimnem dwuwarstwowe futro z długich rurkowych włosów, wypełnionych powietrzem i spodniej, bardzo cieplej warstwy, utrzymującej ciepło własne. Cały jego kożuch wydaje się być skonstruowany na miarę epoki kosmicznej.

Dawniej przemarsz tych stad trwał „non stop” kilka tygodni i ciągnął się na przestrzeni setek kilometrów. Na czele stada idą cielne łanie. Kierują się do swoich mateczników (wylęgarni) w pobliżu koła podbiegunowego, na tereny trudne dla drapieżników, wilków, niedźwiedzi, rysi, rosomaków i orłów. Stada przystosowały się znakomicie do arktycznych i subarktycznych warunków. Tutaj na świat przychodzą młode karibu, które po kilku godzinach są zdolne do kroczenia za chmurą.

Latem karibu kieruje się na zielone tereny, jednak tam napotyka na wygłodniałe hordy komarów i czarnych muszek. Policzono, że w ciągu 3 minut ofiarę obsiada 20 tysięcy komarów i mustyków, próbujących wypić krew przed złożeniem jaj. Dlatego też wędrówki te są uzależnione od obecności lub braku tych owadów. Obsiadają one też człowieka. Mówi się tu żartobliwie, że ten świat przypomina raz lodówkę, a raz wielki ul.

– Kto zaraził się myśliwskim bakcylem, nie usiedzi na jednym miejscu – mówi ojciec Mariusz – Dwa lata temu zaprosił mnie na polowanie na karibu mój dobry przyjaciel z Kirkland, miasteczka znad granicy prowincji Quebec. Wówczas byłem już myśliwym całą głębą, miałem sporo sukcesów, a zdobycie medalowego wieńca karibu było moim wielkim marzeniem. Wiedziałem już, że dla mnie nie było sztuką go strzelić, ale dotrzeć do rejonu tundry i stada, aby wybrać odpowiedniego byka, choć by takiego jak eksponowany na wystawie w „Atrium”.

Tam przecież trzeba wybrać się samolotem, samochodem, skuterem śnieżnym, a pewne odcinki przemierzyć na nartach. To tysiące kilometrów drogi do pokonania, w łącie arktycznych warunkach. Miałem wprawdzie możliwość polowania na karibu za Yelloknife, na Terytorium Północno - Zachodnim, ale tamto było bardzo drogą imprezą. Przyjąłem zaproszenie od kolegi Petera z Kirkland i dziś jestem z tego polowania i zdobytego poroża karibu dumny.

Z początkiem listopada wyjechaliśmy dwoma terenowymi samochodami. Razem nas była szóstka: Peter, Brendy, Samuel, Francuz z Quebecu i nas trzech Kanadyjczyków. Przekroczyliśmy granicę prowincji i trasą 117, poprzez Arntfield, wzdłuż kolei żelaznej, dojechaliśmy do Rouyn Norada, stamtąd już prosto na północ trasą 101 do Macamic, La Sarre, Radisson - docelowej miejscowości, za którą była już tylko tundra.

Dotąd jechaliśmy „non-stop”, tylko zmienialiśmy się przy kierownicy. W tym ostatnim miasteczku na trasie do pełna, napełniliśmy zbiorniki paliwem. W restauracji zjedliśmy ostatnią kolację pożegnaliśmy uroczą Indiankę i jej oswojonego polarnego lisa.

Dalsza droga prowadziła wzdłuż jeziora. Lasy się skurczyły, stawały się karłowate i coraz to niższe, widoczność coraz gorsza, wreszcie wjechaliśmy w pierwszą burzę śnieżną. Śnieg zakrywał nam szczelnie okna, wycieraczki nie nadążały go zgarbiać. Dziwnie wielkie, wirujące płatki i towarzyszące im trąby dopadały nas na tej siedmiuset-kilometrowej trasie.

Jechaliśmy wolno, w ograniczonej widoczności. Naraz Peter zatrzymał samochód, bo przez drogę przechodziła chmara karibu. Musieliśmy uważać, aby się nie zderzyć.

Po godzinie wleczenia się w śnieżnym pustkowiu minęliśmy hydroelektrownię. Żywego ducha tam nie było. Dalej i zła droga i śnieżycy. Teraz jednak ostre, lodowate płatki śniegu dudniły metalicznie po masce samochodu, robiły wrażenie jak byśmy byli obsypywani gradem.

Nareszcie baza trudniąca się organizacją polowań na karibu, „outfitteres”. Obok stały nakryte helikoptery, skutery śnieżne. Cały potrzebny sprzęt na lodowej pustyni był tu do dyspozycji myśliwych.

Po załatwieniu wszelkich formalności i wstępnym przeszkoleniu, dokładnym instruktażu jak się nie zgubić, jak i gdzie odszukać stado, co można odstrzelić, byliśmy wolni.

Oszołomiony nie mogłem sobie skojarzyć tego, co tu usłyszałem i zobaczyłem na barwnych zdjęciach. Jak to możliwe, że lato tu trwa 3 miesiące, a rośliny wyrosną i są tak piękne? Zachwycają wszystkich swymi barwami fiołkowe i różowe skalnice, białe maki, całe kobierce czerwonej borówki, a drzewa osiągają od 30 do 40 cm?

Szykujemy się na pierwsze polowanie. Wynajmujemy skutery śnieżne i jedziemy w tą mleczną biel, bez początku i końca. Nie jest to wcale takie łatwe. Mimo ochronnych okularów, łzawią mi oczy, nie ma tu, na czym ich zatrzymać. Nawet ubrania mamy białe oraz paski przy broni i kominiarki

Wyglądem przypominamy śnieżne bałwany.

Razem z Peterem robimy dziesiątki kilometrów, pijani od ciągłej huśtawki na śnieżnych muldach i szumu silnika, smagani wiatrem i zimnem. Pod kombinezonami jednak mamy ciepło i wielką wolę spotkania karibu i to medalowego.

Tam gdzie nie ma wiecznej zmarzliny widnieją porosty i maleńkie świerki. Napotykamy wiele tropów. Peter pokazuje mi ślad zająca bielaka, który walczył ze śnieżną sową, później mały otworek w śniegu, gdzie mieszkała zagrzebana sikora.

– Tam, pod lodem – mówił – jest ciepło, różnica dodatnia często wynosi do 20⁰C. Ty tu sobie pooglądaj i poczytaj te tropy, a ja za chwilę wrócę.

Zostałem sam jak palec na monotonnej, lodowej pustyni. Gdybym nie miał broni, chyba zapadłbym się pod śnieg. Niedźwiedzie już śpią, mogę tylko się spotkać z groźnymi szarymi wilkami, które na pewno już złapały mój zapach. Wreszcie, daleko w tej bieli ukazała się kropeczka i warkot - „ski doo” Petera.

Przyjaciel był wyraźnie zadowolony.

– Mamy szanse – powiedział. – Odkryłem zapach piżma wydzielanego przez karibu i trasę nocnego przemarszu sporej grupy osobników.

Spotkanie karibu nie było jednak takie łatwe. Po dwóch dniach wróciliśmy do bazy, bez szansy na spotkanie stada. Byliśmy załamani!

Pilot helikoptera leciał z myśliwym amerykańskim daleko w tundrę. Jak znajdzie stado to go tam wysadzi, do czasu wykonania odstrzału dwóch sztuk.

Po jego powrocie dowiedzieliśmy się, że myśliwy bez problemu strzelił pięknego byka i jedną łanię.

– Wypada nam chyba wypożyczyć helikopter – zastanawiał się Peter.

Jednak w powrotnej drodze pilot zauważył spore stado karibu w kosodrzewinie, o dwie godziny jazdy skuterem w kierunku północnego zachodu. Nie było na co czekać. To był nasz trzeci dzień pobytu na bazie i nasza wielka szansa. Szybka mobilizacja i oba skutery pokonywały śnieżną dal w odległości czterech kilometrów od siebie, aby tylko nie przegapić stada.

Lornetki nie odkładałam od oczu, naraz krzyczę: – Są!

Powiedziano nam, że zbliżenie się do karibu jest nie lada sztuką a nie wolno strzelać do stada. Wybranie medalowej sztuki wymaga trudu i sprytu.

Przy najbliższym kępie kosówki zsunąłem się na śnieg jak worek zrzucony w biegu, uważając jednak, aby nie zapchać lufy sztucera. Peter podążał dalej okrążając stado dużym łukiem.

W pewnym momencie, kiedy już straciłem nadzieję na zobaczenie chmary, na niewielkim wzniesieniu, na częściowo zakrzewionym szczycie zobaczyłem w lornetce trzy łanie. Krew mi w żyłach zastygła. Widzę, że na mnie patrzą. Znieruchomiałem, zamieniony w śnieżny bałwan. Zamknąłem oczy, aby nie widzieć, kiedy się wróca. Czułem ich wzrok na swym ciele, robiło mi się gorąco.

Podświadomie otwieram oczy, żeby znów ujrzeć jednolitą biel, aż tu oczarowanie. Łanie mijają mnie z boku, w zaledwie

sześdzięciometrowej odległości, a za nimi dumnie kroczy stary byk.

Co za okazja! Szybko odsłaniam palec z rękawicy i po cichu modłę się o spokój i opanowanie.

Byk rażony w szyję kulą Magnum wali się na miejscu. Chmara się rozpierzchła, część karibu wraca po tropach do miejsca skąd przyszła i znika w bieli.

Jeszcze nie chciałem uwierzyć, że to prawda. Tundra była dla mnie tego dnia łaskawa i wysłuchał mnie św. Hubert.

Mój byk jednak głęboko zapadł się w śniegu. Przeraziłem się, kiedy zobaczyłem, że on taki wielki, a serce waliło mi jak młotem.

Peter też wkrótce powrócił. Byk leżał w szczelinie, zahaczyliśmy linę i przy pomocy skutera wyciągnęliśmy go na pagórek. Myśliwy nie omieszkał urwać gałązkę świerka. Jej część włożył do gęby byka, a drugą podał mi na swej czapie i pogratulował.

W piątym i ostatnim dniu pobytu w naszej bazie, kiedy mieliśmy już wszyscy wykonane odstrzały, Peter strzelił słabego byczka i białego wilka, którego mu wszyscy zazdrościli.

Po obiedzie wybraliśmy się ze strzelbami na pardwy, buszując na nartach wśród przyległych do bazy pagórkach. Dwa razy udało mi się poderwać stadka tych ptaków i strącić dwie sztuki.

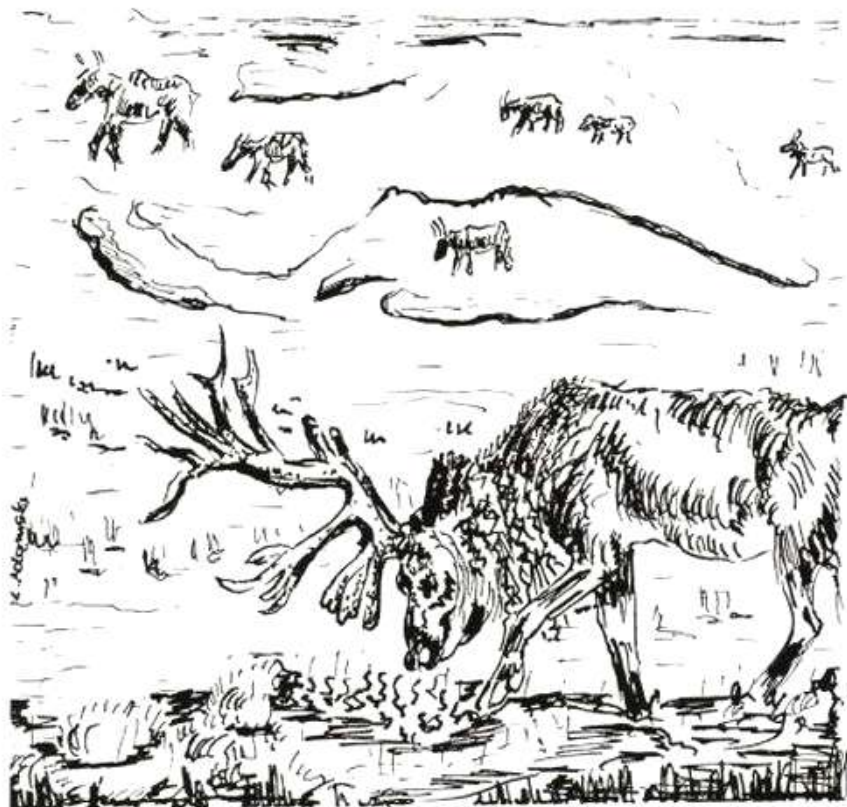
Wieczorem suta kolacja, w tym koktajl, serwowany przez czerwonoskórą barmankę o nazwie „krew karibu”, a opowieściom nie było końca. Zapamiętałem je do dzisiaj.

Wówczas też przypomniałem sobie, że na „ziemi karibu”, jeszcze kilkaset kilometrów dalej, tuż przy granicy Labradoru z Quebeciem, polował R.H. Hupałowski, nasz ziomek, właściciel firmy „Safari Outfitters Incorporated” ze stanu Illinois. Strzelił tam karibu, a rekordowy wieniec tego byka znalazł się na wysokim

miejsu w Księdze Rekordów Safari Club International. Dziś
zdobi salę muzeum Polskiego Związku Łowieckiego w Warszawie.

– Północ niczym magnes przyciągała mnie od dziecka,
stąd moja czteroletnia praca wśród Eskimosów. Teraz otrzyma-
łem inne zadanie, bo tak to jest już w naszym zawodzie – zakoń-
czył swoją opowieść ojciec Mariusz.

Na nowej misji życzyłem mu dużo zdrowia i wspaniałych
wrażeń myśliwskich!



SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA

#Indiańska klątwa#

1. POD KLONOWYM LIŚCIEM	7
2. NAD WIELKĄ RZEKĄ	11
3. CANADA DAY	25
4. PAMIĘTNIKI CZAROWNIKA	29
5. INDIAŃSKIE „MIEJSCE SPOTKAŃ”	34
6. POSŁANIEC Z STANDACONA	37
7. GORĄCZKA OCZEKIWANIA	41
8. FUTRA WAŻNIEJSZE OD ŻŁOTA	46
9. W KRÓLESTWIE SAGUENAY	53
10. EXSODUS KANNATY TORONTO	57
11. MARSZ WIELKIEJ NADZIEI	67
12. PONTIAC I TECUMSEHA	73
13. KLĄTWA SZAMANA	79
14. ŻĄDANIA PIERWSZYCH LUDÓW	83

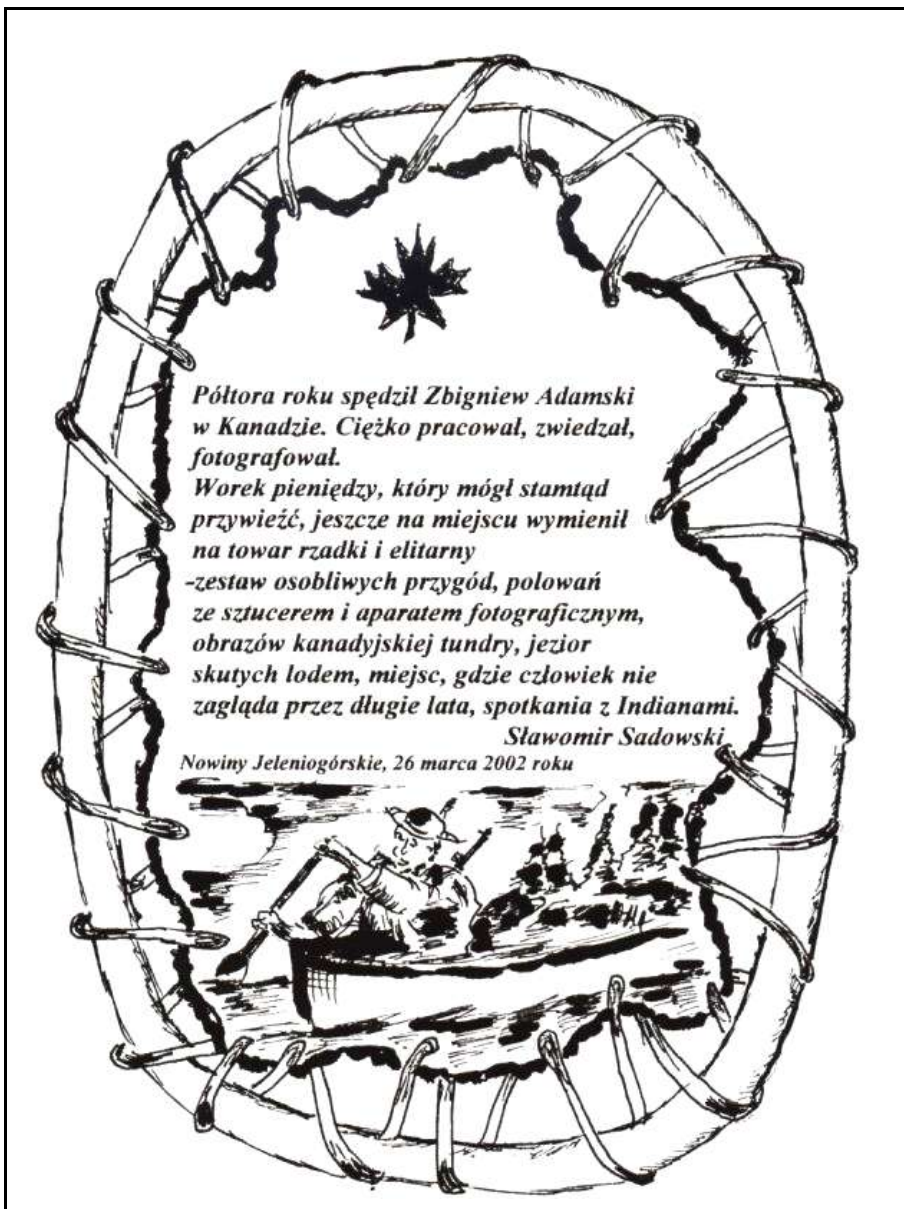
CZĘŚĆ DRUGA

#W kanadyjskiej puszczy#

15. ZIEMIA OBIECANA	89
16. W WIOSCE ALGONQUINÓW	94
17. UPROWADZENIE	100
18. CHATA NIEDŹWIEDZIA	109
19. POGOŃ ZA MISH'WĄ	117
20. ORLE GNIAZDA	126
21. ŁOWCA JELENI	131
22. ŚLUB AGATY	137
23. WŚRÓD CZIPEWEJÓW	146
24. ORLI SZPON	155
25. JEZIORO MŻAWKI	162
26. DZIEŃ INDYKA	168

CZĘŚĆ TRZECIA
#Na turystycznym szlaku#

27. MAŁA OJCZYZNA	177
28. PRZY KAWIARNIANYM STOLIKU	188
29. GWIAZDA KASZUBSKICH JEZIOR	195
30. KRÓLEWSKIE WZGÓRZE	205
31. INHAKE I JEJ TROĆ	211
32. MIEDZIANE TORPEDY	218
33. NAD RZEKĄ PINĄ	227
34. GRZMIĄCE WODOSPADY	230
35. OSADA INDIAN WENDAT	236
36. MIDLAND – POLSKA CZĘSTOCHOWA	241
37. REJS DO KRAINY WIELKICH JEZIOR	245
38. EXPRESS POLARNEGO NIEDŹWIEDZIA	253
39. GARŚĆ ŻÓŁTYCH KAMIENI	261
40. MEDALOWY WIENIEC KARIBU	269



Półtora roku spędził Zbigniew Adamski w Kanadzie. Ciężko pracował, zwiedzał, fotografował.

Worek pieniędzy, który mógł stamtąd przywieźć, jeszcze na miejscu wymienił na towar rzadki i elitarny -zestaw osobliwych przygód, polowań ze sztuczerem i aparatem fotograficznym, obrazów kanadyjskiej tundry, jezior skutych lodem, miejsc, gdzie człowiek nie zagląda przez długie lata, spotkania z Indianami.

Sławomir Sadowski

Nowiny Jeleniogórskie, 26 marca 2002 roku

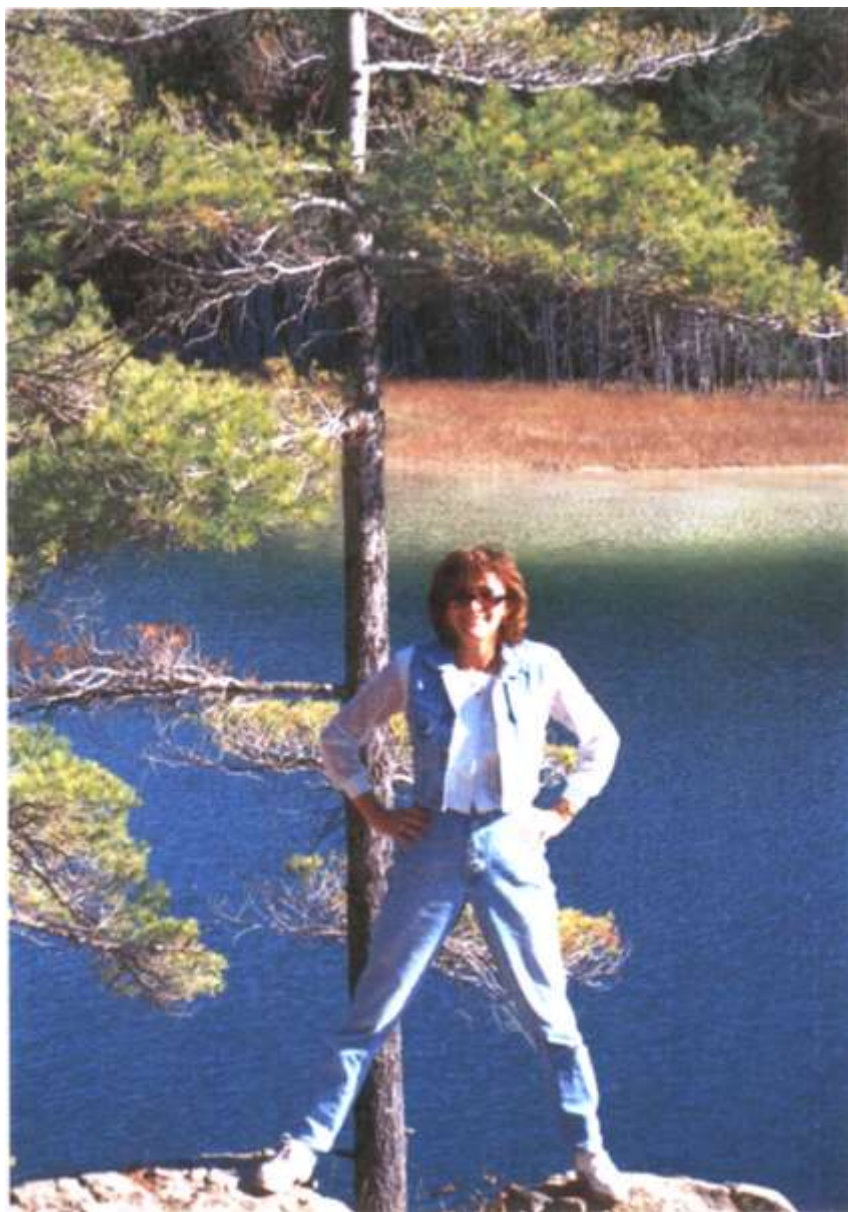
„Właściwie ten indiański mieszaniec nazywał się Mieszko Barcz i pochodził z pierwszych Kaszubów, którzy przybyli do puszczy w połowie dziewiętnastego wieku.

Jako mały chłopiec próbował wyjąć z orlego gniazda pisklę, a za które bogaci turyści skłonni byli wówczas zapłacić pięćset dolarów. Upatrzył sobie stare drzewo z gniazdem, których tu wiele stało nad rzeką. Długo obserwował, jak białogłowa para orłów nosiła pokarm do nowonarodzonego pisklęcia i ze sprytem zwinnego rysia wdrapał się na sam szczyt.

Kiedy włożył rękę do gniazda, matka małego orlątka rzuciła się przerażona na intruza i z wrzaskiem, całą mocą swych szponów, zatopila je w barku chłopca? Niczym ostrza noży wbiły się głęboko i wyszarpnęły kawał skóry z ramiona.

To znamię opieczętowało Mieszka na zawsze. Wśród swoich przyjaciół, traperów i Indian pozostał Orlim Szponem, a u Kaszubów zwano go po prostu Mieszko.”

*Część druga * W Kanadyjskiej puszczy**



Nad Jeziorem Mżawki